



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

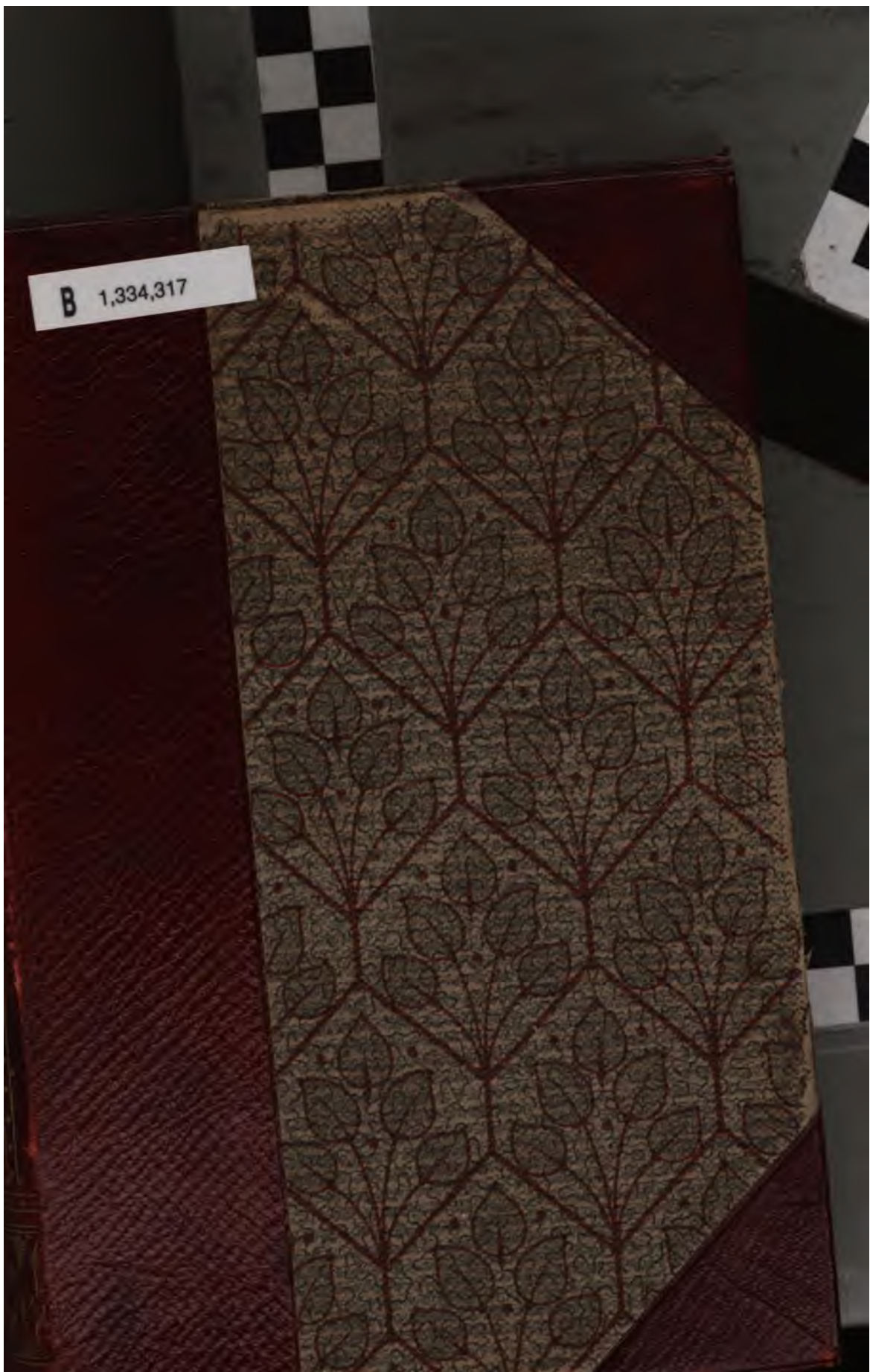
- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

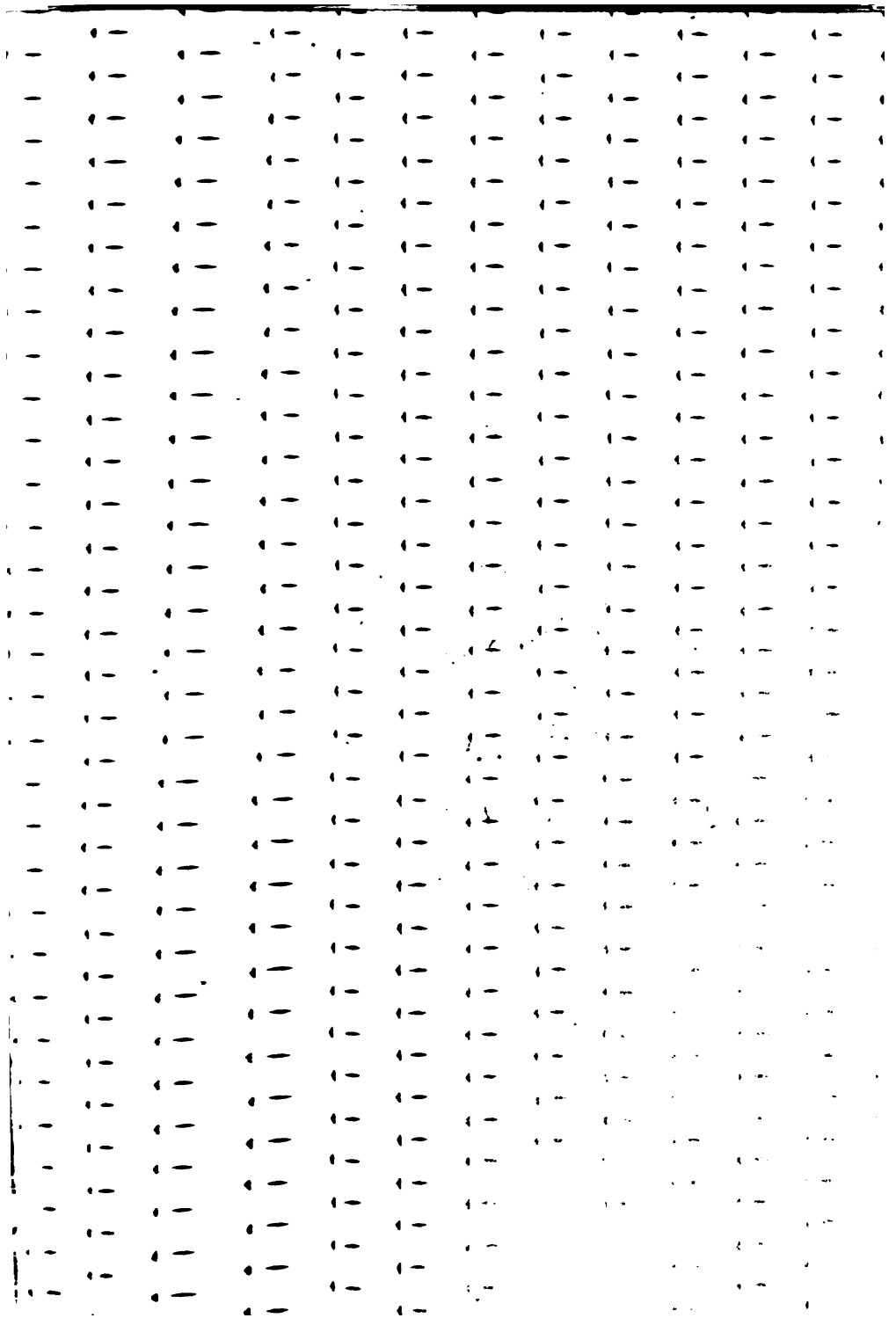
Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

B

1,334,317









KOBIETA W POEZJI POLSKIEJ

KOBIETA W POEZYZI POLSKIEJ



GŁOSY POETÓW O KOBIECIE

ZEBRAŁ

WŁADYSŁAW BEŁZA




WYDANIE DRUGIE



WARSZAWA

NA KŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW. — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1907



891.858

B454-*kn*

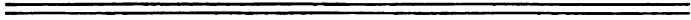
1907

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCYCA I SPÓLKI.

115a - 3.13232

MARYI
ŻONIE MOJEJ

POŚWIĘCAM



SPIS RZECZY.

SPIS RZECZY

W ABECADŁOWYM PORZĄDKU AUTORÓW.

	Str.
1. ANCYC WŁ. L.	
Drapieżne ptaszę	237
2. ASNYK ADAM.	
Legenda pierwszej miłości	188
Nawrócenie	193
3. ASPIS BOGUMIŁ.	
Czarna róża	307
4. BALIŃSKI KAROL.	
Kwiat paproci	130
5. BAŁUCKI MICHAŁ.	
Nie w porę	244
6. BARTELS ARTUR.	
Ideały	255
Kłótnia Mociudzieja z Mociadziką	257
7. BARTUS MARYA.	
Aktorka	221
8. BEŁZA WŁADYSŁAW.	
Piosenka	368
Przy kaganku	369
Do Polek modlących się po francusku	371
9. BERWIŃSKI RYSZARD.	
Pierwsze sny	269
Do jednej — dla wszystkich	271

SPIS RZECZY.

10. BRODZIŃSKI KAZIMIERZ.	Str.
<i>Żona do męża</i>	52
<i>Kobieta</i>	56
11. BIERNACKI MIKOŁAJ.	
<i>Modnie ubrana</i>	249
12. CHAMIEC J. S.	
<i>Ona</i>	247
13. CHŁOPICKI EDWARD.	
<i>Macierzyństwo</i>	276
14. DAWIDOWICZ ALEKSANDER.	
<i>Nie ideały</i>	296
15. DEOTYMA.	
<i>Ptak i dziewczę</i>	105
16. DĘBICKI ZDZISŁAW.	
<i>Mów do mnie</i>	364
<i>Fiołkami ci drogę uścielę</i>	365
17. DOBRZAŃSKI MIROSŁAW.	
<i>Dziewiczy przybytek</i>	310
18. FALEŃSKI FELICYAN.	
<i>Królowa zabawy</i>	162
19. FREDRO ALEKSANDER.	
<i>Z odludków i poety</i>	123
<i>Dziewczyna</i>	125
20. GASZYŃSKI KONSTANTY.	
<i>Mój świat</i>	107
<i>Do młodej dziewczycy</i>	108
21. GAWALEWICZ MARYAN.	
<i>Chichotka</i>	329
<i>Nie kochaj</i>	330
22. GLIŃSKI KAZIMIERZ.	
<i>Kabalarzka</i>	323
23. GODEBSKI CYPRYAN.	
<i>Do płci pięknej</i>	34

SPIS RZECZY.

24. GOMULICKI WIKTOR.	Str.
Musisz kochać	234
Anielskiej	235
25. GOSŁAWSKI MAURZYCY.	
Miłość	110
26. GOSZCZYŃSKI SEWERYN.	
Gwiazda pokuty	92
27. GUMOWSKI FRANCISZEK.	
Kobiecie	300
28. GRUDZIŃSKI STANISŁAW.	
Przy okienku	289
Na balu	290
29. ILNICKA MARYA.	
Do sióstr moich	217
30. JABŁOŃSKI HENRYK.	
Córa Podola	147
Pierwsza miłość	148
31. KARPIŃSKI FRANCISZEK.	
Trzeba się kochać	29
Przypomnienie miłości	30
Do mojej przyszłej	31
32. KASPROWICZ JAN.	
Chłopska dola	333
Czem jesteś dla mnie	335
Twe oczy	336
33. KNIAŻNIN DYONIZY.	
Matka obywatelka	25
Trzy przymioty	27
34. KOCHANOWSKI JAN.	
Szacunek dobrej żony	1
Słodką jest niewolą miłość	2
35. KOCHOWSKI WESPAZYAN.	
Sen o kobiecie	11

SPIS RZECZY.

36. KONOPNICKA MARYA.	Str.
Jej pamięci	224
Swaty	226
Czy zginie	228
37. KORZENIOWSKI JÓZEF.	
Modląca się	127
38. KRASICKI IGNACY.	
Do młodej matki	13
Małżeństwo	14
39. KRASIŃSKI ZYGMUNT.	
O życia ranku	81
Do Beatryczy	82
Po śmierci	83
Módl się ty za mnie	87
40. KRASZEWSKI J. I.	
Dusza kobiety	128
Czy powróci	129
41. KRAUSHAR ALEKSANDER.	
Miłość kobiety	242
42. LANGE ANTONI.	
Fragment	355
43. LENARTOWICZ TEOFIL.	
Kapryśna	155
Zrozpaczona	157
Wspomnienie	159
44. MALCZEWSKI ANTONI.	
Z poematu Marya	62
45. MERZBACH HENRYK.	
Ona	240
46. MICKIEWICZ ADAM.	
Do Maryli	67
Na Alpach w Splügen	69
Śmierć pułkownika	70
Zosia z «Pana Tedeusza»	72

SPIS RZECZY.

	Str.
47. MIRON.	
Spotkanie	161
Sny złote	162
48. MORAWSKI FRANCISZEK.	
Matka do córki	58
Przy grobie żony	61
49. MORSZTYN ANDRZEJ.	
Na oczy	9
Do serca	9
50. NIEMCEWICZ JULIAN.	
Panna Guzdralaska	41
51. NIEMOJEWSKI ANDRZEJ.	
Starowina	358
52. NORWID CYPRIAN.	
Polka	136
53. ODYNIĘC A. E.	
Branka Litwina	101
Dziewczę i gołąb	104
54. Z OPATÓWKA STEFAN.	
Uparta	280
55. OPPMAN ARTUR. — OR-OT.	
Romans Księcia Pepi	366
56. ORDON WŁADYSŁAW.	
Stara panna	314
Nie wesołe wesele	319
57. PAJGERT ADAM.	
Po czytaniu Iliady	273
Do najmilszej	275
58. POL WINCENTY.	
Polka	115
Polskie dziewczę	117
Zalecanki	119
59. PRUSZAKOWA SEWERYNA.	
Do Polek	207

SPIS RZECZY.

60. ROMANOWSKI MIECZYŚLAW.	Str.
Czy ja cię kocham	266
Rozkochany	267
61. RYDEL LUCYAN.	
Bajka o Kasi i Królewiczu	312
62. SIEMIŃSKI LUCYAN.	
Śpiący Milton	180
Sonet	182
63. SŁOWACKI JULIUSZ.	
Sumienie	77
Przekleństwo	78
Stokrotki	79
64. SOWIŃSKI LEONARD.	
Wyznanie	263
Z dytyrambu pierwszej miłości	265
65. STAFF LEOPOLD.	
O tęskniącej królownie	352
66. SZYMANOWSKI WACŁAW.	
Jedna z wielu	171
67. SZYMONOWICZ SZYMON.	
Sielanka	4
68. SYROKOMLA WŁADYSŁAW.	
Co się przyśni	132
Nie kochaj mnie	133
Piosenka wieśniaczki litewskiej	134
69. ŚWIDZIŃSKI KAROL.	
Zośka	282
70. TETMAJER-PRZERWA KAZIMIERZ.	
Dusza kobiety	337
Nie moja lecz twoja wina	338
Szukałem ciebie	340
71. TREMBECKI STANISŁAW.	
Do lrydy	18

SPIS RZECZY.

	Str.
72. UJEJSKI KORNEL.	
Piosenka do snu	140
Spowiedź serca	141
Terkotka	145
73. URBAŃSKI AURELI.	
We śnie	303
74. WASILEWSKI EDMUND.	
Wiązanie Anielce	184
Krakowiak	185
75. WĘGIERSKI KAJETAN.	
Do Rożyny	23
Jaka ma być żona moja	23
76. WITWICKI STEFAN.	
Czary	113
77. WOLSKI WŁODZIMIERZ.	
Akacya	153
78. WORONICZ J. P.	
Ślubny upominek	37
79. WYSPIAŃSKI STANISŁAW.	
Na krakowskim zamku wesele	348
80. ZALESKI J. BOHDAN.	
Skromnisia	88
Oczarowany	89
Zakochana	91
81. ZAGÓRSKI WŁODZIMIERZ.	
Ballada jakich wiele	252
82. ZIELIŃSKI GUSTAW.	
Nie mogę być twoją	151
83. ZIMOROWICZ SZYMON.	
Z Roksolanek	7
84. ZMORSKI ROMAN.	
Odpowiedź na pytanie	231
85. ZNATOWICZ EDMUND.	
Dziewczyzna	286

SPIS RZECZY.

86. ŻMICHOWSKA NARCYZA.

Zakłęcie	201
Oczywistość	202
Miłość kobiety	203

87. ŻUŁAWSKI JERZY.

Przez Cmentarz	203
--------------------------	-----

JAN KOCHANOWSKI.

SZACUNEK DOBREJ ŻONY.

—

Może kto ręką sławy dostać w boju,
Może wymową i rządem w pokoju;
Lecz, jeśli żona męża nie ozdobi,
Mąż próżno robi.

Kto z gospodarstwa, a kto zaś z wysługi
Zbierze pieniądze i z kupiectwa drugi;
Jeśli się żona nie przyłoży k'temu,
Zginąć wszystkiemu.

Żona uczciwa ozdoba mężowi
I najpewniejsza podpora domowi:
Na niej rząd wszystek: swego męża ona
Głowy korona.

Ona mężowym kłopotom zalega,
I jego wczasu na wszystkim przestrzega,
Ona wybawić troskę umie z głowy,
Słodkimi słowy.

JAN KOCHANOWSKI.

Ona dziateczki ojcowi podobne
Rodzi, skąd rosną pociechy osobne;
Ani już spadków upatrują krewni,
Dziedzica pewni.

Trzykroć szczęśliwy, któremu Ty zdarzysz
Ten związek Panie! ale zły towarzysz
Odejmie wszystko, że troski w pół wieka,
Zgryzą człowieka.

SŁODKĄ JEST NIEWOLĄ MIŁOŚĆ.

Złota to strzała i krom wszego jadu była,
Którą mię niepochybna miłość ugodziła,
Bo ja w swem miłowaniu troski nie znajduję,
Owszem, radość na sercu niewymowną czuję.

Nie to niewola służyć temu; ale służyć temu,
Kto twych posług niewdzięczzen, to się największemu
Nieszczęściu równa; tobie dzięki bądź miłości,
Iżeś mię uchwalała takowej żałości.

Ma to twarz twoja panno, wszechpiękniejsza w sobie,
Że człowiek rad i nie rad musi służyć tobie.
Ale to zaś niosą twe święte obyczaje,
Że, by kto mógł być wolen, raczej ci się daje.



JAN KOCHANOWSKI.

Chciałbym być tak szczęśliwym i życzyłbym sobie,
Abym już tę na wieki łaskę znał po tobie;
A bodaj ta wdzięczna twarz odmiany nie znała,
Byś dobrze i Sybillę laty przerównała.

SZYMON SZYMONOWICZ.

SIELANKA.

—

Srocza krzekce na płocie, będą goście nowi,
Srocza czasem omyli, czasem prawdę powie.
Gdzie gościom w domu rado, srocze zawsze wierzą,
I nie każą się kwapić kucharzom z wieczerzą.
Sroczo, umiesz ty mówić, powiedz gdzieś latała?
Z którejś strony goście jadące widziała?
Srocza krzekce na płocie, pannie się raduje
Serduszko, bo miłego przyjaciela czuje.
Jedzie z swoją drużyną panicz urodziwy,
Panicz z dalekiej strony; pod nim koń chodziwy,
Koń łysy, białonogi, rząd na nim ze złota.
Panno! gotuj się witać, już wjeżdża we wrota;
Już z koni posiadali, wszystko się podworze
Roześmiało, jak niebo od wesołej zorze.
Witamy cię paniczu dawno pożądany,
Czeka cię upominek tobie obiecany,
Obiecany od Boga i od domu tego.
Po obietnicę trzeba wsiadać na rączego;

SZYMON SZYMONOWICZ.

A ty się gdzieś zabawiasz, już nam nie stawało
Oczu, wyglądając cię, winienesz nie mało
Sam sobie, a pogonić trudno i godziny.
Cóżbyś rzekł, gdyby to był otrzymał kto iny?
Lecz ty myśli uspokój mój paniczu drogi!
Nie darmo cię tu przyniósł twój koń białonogi,
Pryskał we wrota wchodząc; znać, żeśmy tu radzi,
Radziśmy wszyscy tobie i twojej czeladzi.
Już i matka i panna witać cię wychodzi,
Poprzedź ich ręką: tobie poprzedzić się godzi.
I czołem uderz nisko, jest dla czego czołem
Uderzyć, a nie chciej się za gościnnym stołem,
Aż otrzymasz co pragniesz; wszystko z czasem płynie,
Co ma być jutro, niechaj będzie w tej godzinie.
I ty matko nie zwłaczaj, czyń coś umyśliła,
Żadna rzecz się nie kończy, gdzie rozmysłów siła.
Panno! czas już rozpuścić warkocze rozwite,
Czas oblec szaty, takiej sprawie przyzwoite;
Strójcie pannę do ślubu, sąsiady życzliwe,
Ślub święty jest i wasze prace świątobliwe.
Wszak też wam tę przysługę przedtem oddawano,
Toż i za matek waszych w obyczaju miano.
Kapłanie, gotuj stufę; zbladłeś nam paniczu,
Bo i pannie łza za łzą płynie po obliczu.
Przelekłeś się paniczu, bojaźń ta od Boga,
Szczęście tam bywa, kędy bywa taka trwoga.
Nie płacz panno, bo rzekną, że płaczesz z radości,
Pomyśli kto i gorzej; bo siła zazdrości.
Nie pierwsza ty od matki wychodzisz z opieki;

SZYMON SZYMONOWICZ.

Aboś chciała na łonie jej mieszkać na wieki?
I ona przy matce swej nie wiecznie mieszkała,
I tyś się nie dla tego tak tu wychowała.
Jużeście w stadle świętem, wszyscy wam dajemy
Na szczęście, i miłego życia winszujemy:
Bodajeście wiek długi z sobą pomieszkali,
Bodajeście wszelakich pociech doczekali!
Potrawy postawiono — do stołu siadajcie,
W pośrodku miejsce pannie z panem młodym dajcie;
Im ci z sobą być; tak więc dwa szczepy zielone
Stoją w nadobnym sadzie pospołu sadzone.
Panna nie wzniesła oka, serduszko w niej taje,
A pan młody, długiemu objadowi łaje...
Sroczko! z dobrą nowiną do nas przyleciała,
Bodajes i u sąsiad także zakrzeczała!

SZYMON ZIMOROWICZ.

Z «ROKSOLANEK».

—

Moje miłe rówiennice,
Powiem wam swą tajemnicę:
Żałosna, nie mała,
Szkoda mnie spotkała.

Nie we złocie, ni w dostatku,
Ale w najprzedniejszym statku:
Pół roku minęło,
Serce mi zginęło.

Nie był nikt czasu tej zguby,
Tylko mój jedyny luby;
Przecie z tej przyczyny,
Nie daję mu winy.

Bo nie brał on serca mego,
Gdyż samo zbiegło do niego:
Aż z swej dobrej woli,
Zostało w niewoli.

SZYMON ZIMOROWICZ.

Jeszcze mu dziękuję za tę
Uczynność, że moją stratę,
W tak znacznej potrzebie,
Przytulił do siebie.

Inszej mu nie dam nagrody,
Tylko połowicę szkody;
Na czym mało-li ma,
Niechaj wszystko trzyma.

Nie zechce-li przestać na tym,
Wiem, co ja uczynię zatym:
Bym nie zbyła duszę,
Za sercem pójść muszę.

Żadna panna ani pani,
Wierzę, tego nie nagani,
Ile białogłowie,
Miłe mi jest zdrowie.

Choćbym nie rada, ja tuszę,
Przecie tak uczynić muszę:
Bez serca, wszak wlecie,
Trudno żyć na świecie!

ANDRZEJ MORSZTYN.

NA OCZY.



Zdybała dziecię Wenery w ogrodzie
Rwąc wonne kwiatki Jaga, przy pogodzie;
Chciał przed nią uciec, ale uwikłany
W ziołach, różane wziął od niej kajdany.
Smęcił się z przodku, ale obaczywszy
I twarz piękniejszą i wzrok dobrze żywszy
Niż u swej matki: — polubił okowy,
I rzekł — już z niebem rozstać się gotowy:
Takich mi właśnie oczu było trzeba,
Skąd lepiej będę strzelał niżli z nieba.

DO SERCA.



Serce, nie skarż na okowy,
Całuj ogniwa tego łańcucha,
W którym cię trzyma, na okup nowy,
Dobra otucha.

ANDRZEJ MORSZTYN.

Wolności stracenie,
Miej za zysk i dziękuj unizenie;
Bo dla ślicznej Heleny,
Jak twarz niema ceny,
Tak i więzienie.

Twarde pęta toć osłodzi,
Żeć wiecznie świeci słoneczne lice,
Bo gdzie twarz jej swe blaski rozwodzi,
Niemasz ciemnice.

Ani cię łązy głośnie,
Ani frasunki trapią nieznośnie,
Bo bytność Heleny,
Powypędza treny,
Z ust twych załośnie.

Cierp me serce, cierp niewolą,
Ani się w szczęściu żałuj na szkodę,
Wszystkie me zmysły tę służbę woła,
Niżli swobodę.

Niech cię tylko w wągle
Spalonym, widząc, dozwoli nagle,
Gdy dobry wiatr wienie,
Podnieść ku Helenie,
Nadziei żagle.

WESPAZYAN KOCHOWSKI.

SEN O KOBIECIE.

—

A we śnież to czy na jawi,
Ten mię widok luby bawi?
Czy przez jakie zachwycenie,
Patrzę na śliczne stworzenie?

Nie wiem sami i anieli,
By tej postaci być mieli;
I *Helena* chwalna strasznie,
Przed jej cerą pewnie zgaśnie.

Twarz białością śnieg przechodzi,
W niej rumieniec środkiem brodzi,
Korale te farby mają,
Gdy je z perły pomieszają.

Płeć nadobna, oczy wdzięczne,
Jak w pełni światło miesięczne,
Brwi jej, co kruk są czerności,
A zębki z słońiowej kości.

WESPAZYAN KOCHOWSKI.

Czoło śliczne, wygładzone,
Jak niebo wypogodzone,
Usty kiedy najmniej ruszy,
W zachwyceniu być mej duszy.

W mowie swojej ma te dary,
Że przechodzi i nektary,
Gdy się gniewa, tej postaci,
Jak gdy kanar z miodem zbraci.

W drobne cyrki warkocz kręty,
Tuż się zwiesza nad drażnięty;
Na nie oko snadnie natrze,
Dwa ich ryte w alabastrze;

Z którego kształt wszystek ciała,
Natura uformowała,
Jakby ją przed wszystkim ludem,
Chciała mieć gładkości cudem.

Kiedy chwałę to co widzę,
Lubo się niczem nie brzydzę,
Dopierożbym chwalił i to,
Co przed oczyma zakryto.

Aliści sen ten rozkoszy,
Odbiegłszy mię, w lot rozpłoszy,
I ono śliczne widziadło,
Z oczu moich się wykradło.

IGNACY KRASICKI.

DO MŁODEJ MATKI.

(KATARZYNY Z KRASICKICH STADNICKIEJ).

=

O matko dobra! co za dawnym wiekiem
Idziesz, choć jesteś i młoda i ładna;
Co znasz, iż płód twój przecie jest człowiekiem,
A w czasach naszych zbyt rzadko przykładna,
Żono pocziwa, rozumna i miła,
Śmiesz sama karmić to, coś upowiła.

Taj się, bo cnota teraz pośmiewiskiem,
Taj się, bo dobrą już się być nie godzi;
Tak wiek, nie rzeczą światły, lecz nazwiskiem,
Nad dawną cnotą zuchwale przewodzi:
I gdy przepisy wiekotrwałe maże,
Śmie szydzić z tego, co natura każe.

Pod Jagiełłami, Wazami i Piastą,
Pocziwa dzikość rozrządzała domy:
Lepiej niż damą, było być niewiastą,
Nasz wiek syt w zbytki, istotnie poziomy

IGNACY KRASICKI.

Zrządził, iż zniósłszy dawne grubijaństwo,
Utraciliśmy i cnotę i państwo.

Płci wdzięczna! kiedy męska tak odrodna,
Dawaj przykłady, zawstydz, wzbudź ospałych,
Płci wdzięczna! stań się uwielbienia godna,
Radź, karm, pielęgnuj w umyśle wspaniałych;
Zgładź i wiek przyszedłszy, co dzisiejszy szpeci,
Z pocziwych matek, dobre będą dzieci.

MAŁŻEŃSTWO.

SATYRA.

Chcesz się żenić, winszuję ale nie zazdroszczę,
To więc, co potem poznasz, a co się dziś troszczę,
Ja opowiem. Ów Adam, ów najpierwszy człowiek,
Zasnął; gdy się obudził, za otwarciem powiek
Postrzegł... — Co! — Oto Ewę, dobro nieskończone.
Bóg wyjął mu kość z boku i zrobił z niej żonę.
Gdybyć to tak i teraz; próżne korowodów
Byłyby nasze stadła, a stąd mniej rozwodów.
Ale się świat zestarzał: Adamowe wnuki, *
Porzuciwszy dziadowskie, pocziwe nauki,
Niby to rozumniejsi, źli męże, złe żony,
A nasz wiek osiemnasty niby oświecony,
A w samej rzeczy głupi, cóż zrobił, złe stadła,
Jegomość nadto dobry, jejmość zbyt rozjadła.

A kiedy jejmość dobra, jegomość jak jędza,
Jak ma być dobre pasmo gdy zepsuta przędza!
Cóż więc jest stan małżeński? rzecz w opisie trudna,
Rzecz z jednej strony wdzięczna, z drugiej strony nudna,
Konieczna jednak, muszą być żony i mężo:
Jarzmo jest: tych zysk, miłość tamtych kiedy sprzężo,
Muszą dźwigać. Chcesz i ty, odwaga nie lada:
Ale że dosyć liczna kompanów gromada,
Idziesz śmiało. Poczekaj, nie będę ja bawił,
Kto wie, może dla ciebie los się ułaskawił,
Może za nader szczęsną wyroków spuścizną,
Będzie tobie lekarstwem, co drugim trucizną.
Możesz jeden z tysiąca, ale liczbę zmniejsz. —
Choćby też i fałszywe, niech będą grzeczniejsze
Wyrazy mojej rady: szanujmy płęć piękną.
Jakaż jest twoja Filis? — Niech wszyscy uklękną!
— Toś amant: siądźże na koń a ujawszy pikę,
Nowy Roland, głoś światu twoją Angielikę.
Ścinaj karty, olbrzymy, smoki, czarownice,
Niech zna każdy, nad twoją iż oblubienicę
Piękniejszej w świecie nie masz. Tak romanse kaza
Ale nie zdrowy rozum: ten pod swoją strażą,
Jeśli chcesz, by cię trzymał, posłuchaj co radzi:
Uwaga w każdym dziele nigdy nie zawadzi.
Więc zdatna i w miłości: namyśl się mój bracie,
Lepsza przykrość przed stratą, niżli żal po stracie.
Piękne twojej powaby, lecz to wierzchnie wdzięki;
To co wewnątrz istotne: więc dobrej poręki
Trzeba na to, co wewnątrz. Wdzięczna, hoża, ładna,

Ale myślą pozory a piękna płeć zdrajna.
Przejdzie rozkosz, nastąpi sytość po użyciu,
Znikną wdzięki: a w dalszem natenczas pożyciu,
Jeśli węzły wzajemne nie wzmocni szacunek,
Nastąpi umartwienie, nudność i frasunek,
Dopieroż, kiedy jejność, coć się w serce wkradła,
Stanie się podejrzliwa, i przykra i zjadła;
Kiedy się codzień z nowym humorem popisze,
I coraz w domu inne ujrzysz towarzysze,
Kiedy w zwięzłych przymówkach do serca przygryzie,
A to, co ci przyniosła w swojej intercyzie,
Stokroć na dzień wymówi, odpowiedzieć trudno:
Bić, niegrzecznie; zamilczeć i przykro i nudno.
O! święty Sokratesie — tak cię Erazm mienił,
Nie byłbyś nigdy świętym, gdybyś się nie żenił:
Zyskałeś uwielbienie, zyskał świątobliwość...
Któż cię świętym uczynił? małżeńska cierpliwość.
Dajmy jednak, iż twoja nie w Xantypów rzędzie,
Dobra, cicha, powolna, wstrzemięźliwa będzie;
Pokorna jak dewotka, wstydliva jak mniszka,
Jednem słowem, jak owa w teatrach Agnieszka.
A wiesz co się z Agnieszki oblubieńcem stało?
Wielu się na pozorach płonnych oszukało:
O Arnolfy nie trudno... Aleś ty szczęśliwy,
Wierzę, że twojej pozór szczery i prawdziwy.
Dobry towar, a ja go choćbym mógł, nie kupię.
Wiesz dla czego? Agnieszki kiedy nie złe — głupie. —
— Tem lepiej! — Owszem gorzej, grubo taki błądzi,
Który głupstwo przymiotem dla żony być sądzi.

Najlepiej środek obrać: dumne animuszem,
Umieją mądre, kornet czynić kapeluszem.
Niech będzie oświecona, rozum nie zawadzi,
Ale rozum powolny, co powinność radzi;
Rozum, co zna podległość: może to niegrzecznie,
Przecież żony podległe muszą być koniecznie.
— To się lepiej nie żenić. — Czyż kupiec frymarczyć
Nie powinien dla tego, gdy zysk wyдостarczyć
W jednym handlu nie może? W innym zysku szuka,
Złe stadło nieszczęśliwe, dla drugich nauka;
Zła małżonka, treść nędzy; lecz kiedy pocziwa
W dwójnasób szczęścia, pociech natenczas przybywa.
Jedno słowo, los życia; nieznośny po stracie,
Najszczęśliwszy gdy z zyskiem.

Żeńże się, mój bracie!

DO IRYDY.

—

Od niebieskiej piękniejsza kolorów obręczy,
Ciebie, Irydo, wielbię pod imieniem tęczy;
Zbiorze wdzięków, co innym oszczędnie rozdała,
Na ciebie z rozrzutnością natura wylała.
Do kogo piszę, każda z twych rywalek zgadła,
Ty wątpisz, poradźże się natychmiast zwierciadła.
Jeśli twoja ostrożność schlebne go rozumie,
Radź się czystego źródła, to zmyślać nie umie.
Macie Włosi Wenery posąg przednio ryty,
I obraz, gdzie jest duch jej pod farbą ukryty.
Pysznicie się i słusznie; my się pysznić mamy
Słuszniej, mając piękniejsze w naszym kraju damy.
Z ciebieby starożytni, Irydo, malarze,
Kształtność biorąc, Boginią wstawili w ołtarze.
Nietylko jest serc czułych śliczność twoja celem,
Jeszcze jesteś wybornym grzeczności modelem;
Tobie nasz hołd należy, tobie pełna chwała,
Nie bądź nazbyt cnotliwa, będziesz doskonała:
Skromności dając dowód przez politowanie,

STANISŁAW TREMBECKI.

Po gajku biegając, mijasz inne panie;
Ładnie się wydawały: zszedłszy się na końcu,
Tak przy tobie pogasły, jak gwiazdy przy słońcu,
To dziś dłużej niż wczoraj kilku minutami,
Oglądając się na cię świeciło nad nami.
Sam widziałem, widziałem, gdyś się na upały
Skarżyła, w tym momencie zefiry zawiąły.
Jeżeli fałsz utwierdzam, o grono dziewięci
Dziewcząt, spraw niech północnym mój wiersz lodem
Lubiąc wolność miłości, znając dobrze wniki, [trąci.
Na które ona wpędza swoje hołdowniki,
Umyśliłem nie kochać aż do życia kresu:
Mam ja serce z żelaza, lecz ty masz z magnesu!
Włóczniecia moją rozrywką, mieszkaniem las dziki.
Prześladuję szkodliwe żubry, łosie, dziki,
Aż dotąd sama srogość mą zabawą była,
Tyś mię pierwsza, lrydo, wzdychać nauczyła.
Cóż to jest? gdy cię ujrzę, zaraz kolor mienię,
Albo blednieję, albo zbyttnie się czerwienię.
Gdy chcę do ciebie mówić, miesza mi się mowa.
Źle połączone, często wpół przecięte słowa.
Postępując ku tobie wczoraj w zmrok, dziś rano,
Ledwie mnie moje drżące wstrzymało kolano.
Gdy po dziennych fatygach zaśnie moja dusza,
Twym się cieszy obrazem z łaski Morfeusza;
Różne przyjemne we snach często widzę dziwy,
Powie ci z nich ostatni, bo jest osobliwy.
Nie żartuj ze mnie proszę, że ci chcę sny prawić,
Wiele się ich jawiło i może ujawić,

Mój sen zaś był takowy: — Skorom zamknął oczy,
Widzę, że do mnie jakiś miły chłopczyk kroczy,
Nagi, lecz nie ubogi; bowiem złote strzały,
Łuk, pochodnia, panięciem być go wydawały;
Uśmiech miał ten sam co ty, skład i kolor twarzy
Takowy, wesołość w nim, jak w tobie się żarzy;
Oczka nie wiem czy także miał sobie nadane,
Bo złotolita wstęgą były przewiązane;
Szedł jednak, jakby widział. Lubo wrostem mały,
Ale jak rycerz jaki zdawał mi się śmiały.
— «Pójdź ze mną (mówi do mnie), w te pieczary ciemne,
Moja pochodnia lochy oświeca podziemne;
Wprowadzę cię do skarbów, których strzegą Gnomy».—
Ja, który nawet przez sen nie bywam łakomy,
Odrzuciłem z pogardą radę pacholęcia;
Lecz to, nie odstępując swego przedsięwzięcia,
Ujawszy mię szczupluchną lecz silną prawicą,
Iść przed sobą okropną przymusza ulicą.
Mijam cuda natury, mnogie Pluta zbiory
I niezliczone którem spostrzegł dziwotwory;
Co mnie najwięcej w onej przeraża otchłani,
Gdy je szybko przebiegam — widzę Ciebie Pani,
Do niezbędnego Gnoma zgrzybiałego laty,
Przywiązaną za rączkę plecionymi kwiaty.
Wzrok mój był oszukany, lecz doszedłem uchem,
Że te były straszliwym podbite łańcuchem.
Tu mój wódz z gniewem rzecze:

— «Czy znasz mię Irydo!

Ja jestem ów od ciebie wzgardzony Kupido,

STANISŁAW TREMBECKI.

Jam prosił boga Menhy, ażeby za karę,
Tę nierozdzielnie z tobą powiązał poczwargę;
Okrutna nieużytość i twój umysł dumny,
Nie jednego zapędził kochanka do trumny.
Wszystkich wdziękiem wabiąca, nikomu łaskawa,
Zawsze pyszną deptała nogą moje prawa;
Jesteś więc dla mej zemsty, dla przykładu ludom,
W wieczny pożar oddana tęsknocie i nudom».
Niedość, że mściwy bożek butną mową grzeszył,
Jeszcze ci pierś perłową, srogo strzałą przeszył.
Rzucę się nań, chwytam go, wnet się wyswobodził,
I bełtem jadowitym w serce mi ugodził.
Krzyknę z bólu i mój krzyk przeraźliwy budzi
Smaczno śpiących sąsiadów i służących ludzi.
Pełno ich jest w przysionkach, pełno i na sali,
Ci mniemają że gore, ci że dom się wali!
Powiedziawszy o marze, co mi sen poduszcza,
Ledwie wierząca pokój wróciła mi tłuszcza,
Lecz wprawdzie tak mnie ów sen złudził czy niezłudził.
Lubo już czasu wiele jakem się obudził:
Czuję potężne skutki postrzału mojego...
Powiedz, luba lrydo, czy nie czujesz tego?



KAJETAN WĘGIERSKI.

DO ROZYNY.

Spojrzyj Rozyno, jak świat szeroki,
Na ziemię, morze i na obłoki:
Bogów i ludzi, ryby, zwierzęta,
Słodka miłości wabi ponęta.

Jaki błąd próżny, wielu nas ludzi,
Że miłość służy tylko dla ludzi!
Jak my się dzisiaj bardzo zepsuli,
Ptaszki, ach! ptaszki, kochają czulej!

Czyś nie widziała gołębi dwoje,
Jak dzióbki łączą miłośnie swoje?
Czułość wzajemna, co ich upaja,
Zda się, że każde piórko podwaja.

Dlaczego słowik przed słońcem wstaje?
Bo miłość tkliwa spać mu nie daje...
Czemu tak jego przyjemne pienia? •
Bo to miłości czulej natchnienia.

KAJETAN WĘGIERSKI.

I takich istot w naturze siła,
Którym ze czucia dar odmówiła,
Same się kochać nie będąc w stanie,
W innych przynajmniej niecą kochanie.

Dla tego strumyk szemrze w swym biegu,
By Amant wzdychał przy jego brzegu;
I wonne kwiaty i miękkie trawy,
Są dla miłosnej stworzone sprawy.

Idąc Rozyno za przyrodzeniem,
Żyjmy jedynie miłości tchnieniem,
Związek na wieki słodki i ścisły,
Niech nasze spaja serca i zmysły.

JAKA MA BYĆ ŻONA MOJA?

Pierwej ja się nie ożenię,
Aż póki w mej przyszłej żenie,
Znajdą mili towarzysze
Wszystko to, co tu wypiszę:
Piękne lica, lata młode,
Zdrowie, nadobną urodę,
Dobrą duszę, serce czułe,
I z dukatami szkatułę.

KAJETAN WĘGIERSKI.

Wychowanie w domu dane,
Nie modne, nie formowane;
Ambycję, gust do cnoty,
Te są, których chcę, przymioty.
Miłość pierwszą, rozum zdrowy,
Nie modny, nie romansowy,
Wdzięki w farbach nie szukane,
I pieszczoty nie zmyślane.
Nie chcę ja tych nauk po niej,
Których sama jej płeć broni;
Dosyć tej nauki za nią,
Umieć być żoną i panią.
Przytem, niechaj będzie skromna,
W statku małżeńskim niezłomna,
Bo ja nie chcę być żonatym,
Przeto, żeby być rogatym.

MATKA OBYWATELKA.



Śpij moje złoto, śpiewała,
Kołysząc matka swe dziecię;
Śpij moja nadziejo cała,
Moje ty życie!

Usnęło słabe nieboże,
Dosyć się, dosyć spłakało;
Po płaczu lepiej też może,
Będzie mi spało.

Dziecię! o wieleż to biedy
Matczyna musi znieść głowa,
Nim się pociecha jej kiedy
Z ciebie wychowa!

Wieleż ja z czasem odbiorę
Miłej mi za to wdzięczności,
Gdy z ciebie uznam podporę
Mojej starości.

FR. DYONIZY KNIAŻNIN.

Gdy więc i sercem i głową
Nie dasz przodkować nikomu,
Przydając coraz cześć nową,
Dla twego domu.

Gdy się kraj cały zdumiewać
Nad każdym twej cnoty czynem,
A sława będzie mi śpiewać:
Zęś moim synem!

Któż wie, co jeszcze być może?
Ach! sztylet serce przenika...
Poczwara jakaś... O! Boże!
Staje mi dzika...

Może to nikczemnik jaki,
Co ma swe imię znieważyć,
Lub na postępek wszelaki,
Niecnoty zażyć?

Wstydu on mego przyczyna,
A może i śmierci jeszcze;
Gdy ujrzę niewdzięcznym syna,
Którego pieszczę?

Ojczyzny zdrajca i zbrodzien,
Może krew braci rozleje?
Ach! serca mego niegodzien;
Cała truchleję!

FR. DYONIZY KNIAŻNIN.

Tażby nagroda — i ta mi
Pociecha z ciebie być miała?
Rzekła: i oczy swe łzami,
Gorzko załała.

TRZY PRZYMIOTY.

Ziemijskich niebianek trzy widzę przymioty,
Z których powinny celować:
To jest, z piękności, rozumu i cnoty,
Temi świat mogą zhołdować.

Lub te trzy razem niech własności mają,
Chcąc doskonale przewodzić:
Lub gruntowniejszej niechaj się chwytają,
Chcąc jedną drugie nagrodzić.

Gdy Kupid zechce w kim ogień wyjawić,
Gdy strzałka urani złota:
Piękność poduszcza, rozum umie bawić,
Lecz sama przywiąże cnota.

Słuchaj Klimeno! jedną rzecz ci powiem,
Co młody Doryl uczynił.
Muszę go chwalić, jeden on albowiem,
W miłości najmniej przewinił.

FR. DYONIZY KNIAŻNIN.

Trzy miał kochanki; naprzód Nicę kochał,
Piękniejszą nad inne nimfy;
Palił się do niej, mdlał, wzdychał i szlochał,
Ta zaś czyniła mu finfy.

Drugą w tym razie poznał Amarylę;
Rozum i dowcip jej służył,
U niej przebywał, z nią przepędzał chwile,
I zabaw najmilszych użył.

Trzecia zaś Fillis między nimi była,
Do której najmniej się palił:
Pocziwa, czuła, rzetelna i miła,
Szacował onę i chwalił.

Zgadnij, do której swe serce objawił,
I którą bardziej ocenił?
W pięknej się kochał, z rozumną się bawił,
A z cnotliwą się ożenił.

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

TRZEBA SIĘ KOCHAĆ.



Trzeba się kochać słodka Rozyno,
Póki rzeświejsze lata nie miną,
Nato ci serce i piękność dana,
Żebyś kochała — była kochana.

Trzeba się kochać, wszystko ci gada,
Co tylko żyje, co sobą włada,
Temi prawami rządzi się wiecznie,
Trzeba się kochać, trzeba koniecznie.

Kiedy się trafią oczy przychylne,
Wprzód się szukają przez drogi mylne,
Potem zdybane niby niechcący,
Rozpalają się w płomień gorący.

Zaraz się zwierzą swej tajemnicy,
Żrenica mówi cicho żrenicy,
Co serca słyszą a nikt na stronie,
To przyjacielskie stwierdzają dłonie.

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

Prawda, że czasem miłość dokuczy,
Nie śpi, nie jada, troszczy się, mruczy;
Ale i wtenczas kiedy ją kłamię,
Czułem, że była moim żywiołem.

Miłość sprowadza ludy w gromady,
Matka pokoju, zabrania zwady,
Miłość pociechą w życiu jedyną:
Trzeba się kochać, słodko Rozyno!

PRZYPOMNIENIE MIŁOŚCI.

Potok płynie doliną,
Nad doliną jawiory,
Tam, jam z tobą, Justyno!
Słodkie pędził wieczory.

Noc się krótka zdawała.
Żegnamy się z świtaniem,
Miłość sen nam zabrała,
Miłość żyje niespaniem.

Nikt nie widział, nie szydził,
Niebo świadek jedyny,
Jam się nieba nie wstydził,
Miłość była bez winy.

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

Raz się chmura zebrała,
Piorun skruszył dębinę;
Tyś mię drżąca ścisnęła
Mówiąc: — «Sama nie zginę!»

Oto przy tym strumieniu,
Oto przy tej jabłoni:
Wieleż razy w pragnieniu,
Wodę piłem z jej dłoni?

Dziś, kiedy nas w swym gniewie,
Los rozdzielił opaczny,
Znaki nasze po drzewie,
Popsuł pasterz niebaczny.

I ślady się zmazały,
Las zarasta krzewiną,
Potok, drzewa zostały...
Ciebie niemasz Justyno!

DO MOJEJ PRZYSZŁEJ.

Ty! co mym będziesz przywarom ulegać,
I późny ogień miłości zażęgać,
Czego po tobie żądałbym, i wzajem
Obacz, coć za te ofiary oddajem.

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

Nie chcę cię, młodym ozdobionej wiekiem,
Ani przyprawnych jagód róży z mlekiem:
Zima nadchodzi, minąłem się z latem,
Na cóż na mrozy narażać się z kwiatem?

Z którą się wiekiem różnimy niewiele,
Która ma cnotę i rozum w podziele,
Która zna ludzi, ulega w ich błędzie,
Ta mej wędrowki towarzyszką będzie.

Tą, która ucisk jaki wycierpiała,
Znieść złą fortunę i dobrą umiała,
Dźwigając skromnie nałożone brzemię,
Raz w niebo, drugi spoziera na ziemię.

Przy niej ja stanę, gotów do podróży,
Słota nam, albo pogoda posłuży,
Czy szlak przestronny, czyli się zacieśni,
Szczęścia mojego śpiewać będę pieśni.

Kiedy się burza zawęźmie umyślnie,
I łzy jej z oczu niewinnych wyciśnie,
Ja zebrawszy je, w sercu mojem złożę,
Żal podzielony nie tak trapić może.

Nie przejdą do niej z tej fortuny strzały,
Piersi ją moje będą zasłaniały,
Gdy od pocisków skłonię ją do końca,
Nazwę to szczęściem, raniony obrońca.

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

Dla niej już tylko me poświęcę rymy,
I kiedy zgonem bieg nasz dokończymy,
Jeśli kto zechce o nie pisma pytać,
I o niej będzie wiek potomny czytać.

CYPRYAN GODEBSKI.

DO PŁCI PIĘKNEJ.

(W WYJĄTKACH).

—

O! ty bogów obrazie, śmiertelnych zalet!
Źródło naszych rozkoszy i cnoty podnięto,
Co przez niesłuszne prawa lub ich nadużycie,
Liczysz więcej zasługi przy mniejszym zaszczycie:
Wyzuta w społeczeństwie z władzy i nagrody,
Dzielisz jego ciężary — nie dzieląc swobody.
W czuciach nawet srogimi związana ustawy,
Nieraz tworzysz niewdzięcznych z ofiarą twej sławy;
Co swą krasą podobna wiosennemu kwiatu,
Niesiesz razem ozdobę i nadzieję światu,
Płci piękna! nie gardź słabą ofiarą poety:
Rys błahy, świetnych wzorów nie zmniejsza zalety!

Gdy przedwieczny rzemieślnik na boskim warsztacie
Wyrabiał świat i w różne stroił go postacie,
Pierwej nadał kształt niebu i ziemi i słońcu,
Utworzenie człowieka miało być na końcu.

CYPRYAN GODEBSKI.

Przyszedł człowiek, świat bierze doskonalszą postać;
Ale jeszcze to dzieło nie mogło tak zostać,
I gdy czegoś wszechmocnej robocie braknęło,
Bóg utworzył kobietę i zakończył dzieło.

Płci piękna! mamże tylko opiewać twe wdzięki,
Kiedy świat tyle darów z twej odbiera ręki?
Ja w tobie widzę pierwszą po Bogu istotę,
On stworzył, lecz ty Jego ukształćasz robotę.
Każdy z rąk przyrodzenia wziął zwierzęcia postać,
Tobie winien, jeżeli mógł człowiekiem zostać.
Ty zaraz jego serce zdobisz od powicia,
On ci najdroższe chwile winien swego życia.
O! święte imię matki! za twoje ofiary,
Żadna wdzięczność powinnej nie dopełni miary,
Ani pióro godnego ciebie uwielbienia:
Matka jest najwspanialszym dziełem przyrodzenia!

Wprzód nim geniusz oświaty rzucił blask na kraje,
Wyście były jutrzenką, co przed słońcem wstaję!
Z pośród świętych narodów Grek pierwszym się mie-
Lecz im więcej chciał słynąć, tem więcej was cenił. [nił,
Obok walecznych mężów, ojczyzny zaszczytu,
On wam stawiał wspaniałe posągi z granitu.
Tyś mu wdzięczność w pamiątkach opłacała żywych,
Synów czyniąc walecznych, a mężów szczęśliwych!

Trzeba mieć duszę z lodu lub twardym być głazem,
Ażeby nie ukłęknać przed boskim obrazem...

CYPRYAN GODEBSKI.

**Ty nim jesteś płci piękna! I któryż z śmiertelnych
Może oprzeć się mocy twych powabów dzielnych?
Panujcie więc, lecz bądźcie w zwycięztwie wspa-
Użyjcie władzy waszej na podbitych chwałę! [niałe,
Niech każda z was przez swoje wdzięki i pieszczoty,
Zrobi swego kochanka miłośnikiem cnoty.
Okryjcie nikczemników wzdargą i sromotą,
A tak cnota rozkoszą, rozkosz będzie cnotą.
Jakikolwiek los świata będzie naostatek,
Zawsze trwać będzie władza kochanek i matek!**

J. P. WORONICZ.

ŚLUBNY UPOMINEK.

—

Anielo! Król Aniołów, Bóg i człowiek razem,
Niech cię w tajnikach serca uczy tym obrazem,
Ile go kosztowało ród człowieczy zbawić,
Odziać go swoim bóstwem, obok siebie stawić.

Chceszli wiedzieć co prawda, rozum, szczęście, chwała?
Skąd się powódź nędz ludzkich po świecie rozłała?
Gdzie pośród łez i smutku płynie źródło wesela?
Wszystko to u nóg twego pojdziesz Zbawiciela.

W jego szkole zrozumiesz na czym wielkość stoi,
Świat ją w dumę, bogactwa i rozkosze stroi;
Ten Mistrz uczy, że żadna znikomość przechodna
Ani ciebie ukoi, ani ciebie godna.

On ci wytknął wszelako i doczesne szranki,
W obowiązkach małżonki, matki i ziemianki;
Abyś za trochę trosków w tym wędrownym stanie,
Zasłużyła z Nim wieczne dzierżyć panowanie.

J. P. WORONICZ.

Bez Niego w tym zawodzie nie postąpisz nogą;
On sam jeden jest światłem, prawdą, życiem, drogą.
Kto Go nie zna, po zgubnych przepaściach się miota,
Bez zarzewia rozumu, pociechy żywota.

On jeden cię przewiedzie przez labirynt kręty,
Wskaże zbójcze ustronia, zdrady i ponęty;
Jak w prawości zachować i miarę i środek,
Na wywrocie prawideł szczepić cnót zarodek.

Jak z pożerczych płomieni wynisć bez obrazy,
Tonąć w świecie i świata nie naciągnąć skazy,
Próżności się uśmiechać i od niej odwykać,
Nogą poziom pomiatać, sercem niebios tykać.

Jako siebie nie przeżyć, mieniać się nie mienić,
I krzepkości młodziańskiej świeżością zielenić,
Z wdziękami lat porannych zmierzchły wiek pogodzić,
Codzień z słońcem zapadać, codzień z zorzą wschodzić.

Masz być matką, i pierwszej matki też skosztować;
Więc nawykaj przygodom umysł swój hartować.
Niech cię uczy pod krzyżem Matka Zbawcy Boga,
Że dla Niego ofiara żadna nie jest droga.

On jest Panem: więc wszystko dać i odjąć zdoła,
Jest Ojcem: więc nań próżno dziecię nie zawoła,
Nie zna smutku, kto usnął w cieniu Jego woli,
Która dobro wyprzedza z każdej człeka doli.

J. P. WORONICZ.

Wszystko więc co ci przyjdzie z możnej Jego ręki,
Zapisz do cyrografu długów i podzięki.
Przyjdzie On po swą własność w nędzarza postaci,
Otoczony podobnych sobie gronem braci.

Bądź gdy ciebie o złomek chleba prosić będzie,
Bądź znękany uciskiem na twym progu siędzie,
Bądź łzami się zapłoni przed twojem obliczem:
Poznaj Go wtedy dobrze, nie odprawiaj z niczem.

Jest to matka co igra z sercem swej dzieciny,
Targując się o udział słodkiej okruszyny,
Jest to probierz twej głowy, czy za kroplę wody,
Umiesz u Niego kupić wiekuiste gody.

Niechaj w sercu utkwiony przestróg tych wspominek,
Błyszczysz w twym ślubnym wieńcu za mirt i barwinek;
Jeśli chcesz, by się zawsze szczęściem twem zielenił,
Jam go na to w Chrystusie z wiecznością ożenił.

On jest pierwszym małżeńskich związków fundowni-
[kiem,
Ich trwałości niermiernej sprawcą, zakładnikiem;
Kto je targa, tajemnic znieważa zastonę,
Gdzie On swe bóstwo pokrył z naszą krwią spojone.

Przenikniona świętością tak ważnego czynu,
Niedostępna przykładom obłudnego gminu,

J. P. WORONICZ.

Ucz się zgłębiać rad bożych tajemnicze szranki,
I wcześniej się przestrajac w dostojność niebianki.

Tą wiarą się ukrzepiaj! ona świat przestoi,
I na wszelkie cię szturmy paizą uzbroi.
Na jej łonie złożyłaś przysięgę niezłomną,
Bóg ją zrzeczył, i w księgę przyjął wiekopomną.

Więc cię pod skrzydła możnej przytulił opieki;
Nie zachwieją jej żadne i zmiany i wieki.
On sam będzie ci ojcem, matką i rodziną,
Gdziekolwiek przeznaczenia łódka twą powiną.

A kiedy od stron naszych z małżonkiem wzniesiona,
Jak latorośl nadobna w nowy grunt wszczepiona,
Na wybrzeżach Dnieprowych, w mej rodzinnej ziemi,
Rozkwitniesz wnucztami tobie podobnemi:

Potrząsaj z nimi kwieciem mogiły twych dziadów,
Groźne niegdy pogromem Scytyjskich napadów;
Pociesz je, zem na gruzach dawnej ich ojczyzny
Polskie plemie zaszczepił w schyłku mej siwizny.

JULIAN NIEMCEWICZ.

PANNA GUZDRALSKA.

POWIEŚĆ Z XIII WIEKU.

Kronika dawna, podarta i licha,
W której niejednej kartki niedostaje,
Za Kazimierza napisana Mnicha,
Ale ja wnoszę z postrzeżeń pomniejszych,
Że nieskończenie za czasów późniejszych,
Następującą powieść nam podaje:

Pod zieloną dąbrową i blisko Łęczycy,
Mieszkał szlachcic, w przyjemnej bardzo okolicy;
Jak zwano miejsce, nadaremnie pytać,
Ciężko bowiem było czytać
W rękopisie, co długo gdy leżał w szkatule,
Strasznie popsuły go móle:
Jedynie ciągiem ślepień i ciężkiej roboty,
Przez te szkła, co stokrotnie zwiększają przedmioty,
Śledząc książeczkę zbutwiałą,
Odkryłem i wyznaję z rozkoszą niemałą,
Że ów szlachcic był cześnikiem,

JULIAN NIEMCEWICZ.

I miał nawet nadzieję być wkrótce stolnikiem;
Ze niezmiernie był bogaty,
Miał liczne włości i kosztowne szaty;
Lecz mniejsza o to, bo największą chlubą
Było dla niego, że miał piękną córę,
Obdarzoną w to wszystko przez hojną naturę,
Co nam niewiastę czyni powabną i lubą:
Była razem i wdzięczną i piękną i miłą,
Wszystko w niej serca wabiło,
Tak, że nietylko z Łęczycy,
Ale z całej okolicy,
Co mówię, z kraju całego
Na odgłos cudu takiego,
Zlatywała się młodzież: na pierwsze spojrzenie
Wraz się każdy zakochał, zakochał szalenie!
Nie dziw, mówi Kronika, rzecz wcale nie rzadka,
Bo panna była równie rozsądna jak gładka,
Lecz choć pięknymi zbogacona dary,
Że niemasz pono człeka bez przywary:
Miała i ona błędek tak nie duży,
Iż rzekłbyś, że to pyłek na szkarłacie róży.
Mamże powiedzieć nawiasem,
Jaka to wada? oto, *ktuciła się z czasem!*
Nie mogła pojąć, z jakiej to przyczyny
Były dni, noce i były godziny.
Owszem, mniemała, że ów czas odwieczny
Był tak dobry i tak grzeczny,
Iż przez wzgląd dla niej, w dzień uczyty lub rodzin,
Mógł się zatrzymać kilkanaście godzin

JULIAN NIEMCEWICZ.

I stać na miejscu kamieniem...
Z tak wybornem uprzedzeniem,
W przewrotnym trybie pędziła swe życie,
Świt był u niej w południe, a północ o świcie:
Choć ją wszędzie proszono, sadzano na przedzie,
Zwykła zawsze na obiad zjeżdżać po obiedzie.
Na scenę i na sztukę co pierwszy raz grano,
Zawsze przybyła kiedy zastonę spuszczano;
Na mszę nawet, (choć wiemy, że w tem grzech śmier-
[telny),
Nigdy nie przyszła, aż drzwi zamknął dziad kościelny.
Ale, że ją rodzice niezmiernie lubili,
Nic nie mówili.
Przecież, mówi Kronika, to wieczne guzdranie,
Musi być bardzo miłym, wdzięcznym niesłuchanie;
Nie zmniejszali się czciciele,
Było ich zawsze i hoźych i wiele.
Większe nad innych umiał zjednać łaski,
Pan wojewodzie kujawski,
Herbu Gozdawa, a herbów tych ludzie,
Mówi Paprocki: mają duże nosy,
Oczy wypukłe, kręcące się włosy,
Są wytrwali w każdym trudzie,
Bitni na wojnach, trochę zabobonni,
A nadewszystko do miłości skłonni.
Przymiotami i postawą,
Był wojewodzie prawdziwym Gozdawą;
Wielkich talentów, w niczem nie naganny:
Po dość długich konkurach w zbyt szczęśliwej chwili,

JULIAN NIEMCEWICZ.

Otrzymał słowo od panny,
I rodzice zezwolili.
Pełen szczęścia i radości,
Pełen najczulszej miłości,
Przed zapustami na cztery niedziele,
Jechał przygotowania robić na wesele.
Uteśknionemu do swojej Maryny,
Wiekami były i dni i godziny;
Skracał je czasem wzdychaniem,
Albo rozpamiętywaniem
Nad jej dowcipem, nad jej słodką mową,
Nad tysiącznymi jej wdzięki,
A nadewszystko nad białością ręki,
Przechodzącą kość słońsiową.
Tysiąc i tysiąc zwykł powtarzać razy:
Piękna jest, śliczna nad wszystkie wyrazy!
Nieraz atoli przydał, z miną zasępioną:
Szkoda, że czasem raczy bywać roztargnioną!
Lecz to nie Maryny wina,
Nie ona, lecz czas nie wie która jest godzina;
Wraz po weselu wszystko inaczej się stanie;
Gdyż w każdym kącie i na każdej ścianie,
By zapomnienia ustrzedz się przywary,
Postawiam, pozawieszam, zegarki, zegary.
W tych młoteczek bić będzie w dzwonek z srebra kuty,
Godziny i kwadranse, sekundy, minuty:
Nie sposób, by Maryanna w takowym hałasie,
Mogła zapomnieć o czasie.
Ta myśl, nadzieję szczęścia bardziej powiększyła,

Już się też i wyprawa weselna skończyła,
A gdy wszystko gotowem było należycie,
Na senatorskie jak przystoi dziecię:
W pięknej, licznej komitywie
Dworskich przyjaciół, bliskich koligatów,
A wszyscy od soboli, złota i bławatów:
Pan młody z zamku wyruszył szczęśliwie.
Porządek kalwakaty tak Kronika znaczy:
Naprzód dwunastu jechało trębaczy,
Flamandzką okrytych szatą,
Juczno, suto i bogato.
Że wojewodzie wśród ojczystych szyków,
Został rotmistrzem husarskiego znaku,
Przeto na czele całego orszaku
Szła chorągiew kopijników:
Sterczące z barków skrzydła niecąc jasne strzały,
Z każdym krokiem srebrzyste dźwięki wydawały;
Zawieszane na plecach lampartowe skóry,
U paszcz ich białe zęby i ostre pazury
Na piersiach były zagięte.
Drżały w powietrzach proporce rozpięte:
U każdego koń dzielny, bogate siedzenie,
Wąs zawieszisty i Marsa spojrzenie.
Za nimi, dosyć pozorny
Hufiec Tatarów nadworny;
U wszystkich, na szerokich ramionach zwieszane
Łuk i w kołczanie strzały nastrzępione.
Każdy w buchastej szacie
Jechał schylony, na dzielnym bachmacie.

JULIAN NIEMCEWICZ.

Za tymi, do trzydziestu pachołków dorodnych,
Tyleż wiodło na rękę rumaków powodnych,
Zrodzone w Polsce, albo znane światu
Z ziemi arabskiej, lub nizin Eufratu,
Dziarskie, ledwie ich żywość rozhukaną
Mógł jeździec wstrzymać ręką zmordowaną;
Na powietrzu kopyta, żując wędzidła złociste,
Rozdętem nozdrzem iskry parskąły ogniste.
Ubranie równie pyszne jak same rumaki:
Szkliły się turkusami sadzone kulbaki,
Tyftek zwieszony do ziemi,
Szyty był w liczne wzory perłami drogiemi;
Obok siedzenia, tarcza umieszczona,
Na niej piękny buzdygan i szabla skrzywiona;
W rzędach drogie kamienie bez najmniejszej skazy,
Rubiny i szafiry, szmaragi, topazy,
Blaskiem raziły oczy!
Dalej hufiec przyjaciół poważny, ochoczy,
W jedwabiach, aksamitach, wszystko znaczne pany,
W rękę trzymały czekany.
Nakoniec sześć rumaków ciemno jabłkowatych,
W szorach złocisto bogatych,
Pańską kolebkę ciągnęło.
Było to chędogie dzieło:
Ośm złotych słupków w obszernej przestrzenie,
Wspierały aksamitne u góry sklepienie.
Siedział w pośrodku, przecudnej urody
Jaśnie Wielmożny Pan młody.
Miał on na sobie szatę złotogłową,

JULIAN NIEMCEWICZ.

I aksamitną ferezyą ponsową,
Na boku guzy roboty misternej,
Z szafirów i rubinów wielkości niezmiernej.
Lecz przechodziło pojęcie,
Samo ferezyi spięcie,
Był to karbunkuł, jak gołębie jajo,
Jakiego dzisiaj królowie nie mają,
Ten takie rzucił płomienie,
Taki blask silny, że ludzkie spojrzenie
Znieść go nie mogło, każdy oczy zmruża;
Na głowie kołpak, na nim kita duża.
Dwaj pokojowi, obadwaj panicze,
Oba syny urzędnicze:
Jeden pan sędzic grodzki,
Drugi chorążyc pono wyszogrodzki,
Wesołej miny i bystrego wzroku,
Z odkrytymi łebkami siedziaty na boku.
Dworzanie, giermki i sługi,
Czynili za kolebką poczet dosyć długi;
Wszyscy w bogatych pasach,
Falendyszach lub atłasach.
Kończyły orszak poszóstne rydwany,
Każdy ciężko ładowany,
Wioząc dla panny dary wcale pańskie:
Śliczne perły uryańskie,
I łudzące oczy mile
Zausznice, kanaki i drogie manile;
Widziano nadto między tylu dary,
Różnej wielkości zegary.

Kiedy tak wojewodzie jedzie otoczony,
I pan cześnik z swojej strony
Krząta się i z wielkimi gotuje zachody,
Wszystko co trzeba na bliskie już gody:
Wystawują na kredens ogromne puhary,
Roztruchany, konewki i złociste czary,
Rznięte miednice i nalewki ryte,
Drogiemi numizmami naokoło kryte;
Co mówię, cebry i wanny srebrzyste,
Wszystkie chędogie i czyste.
Z dalekich włości sprowadzały bryki
Cietrzewie, sarny i dziki;
Sześciu kucharzy w szlafmycach na czele,
Siekli tłuste pulpety, drobne figatele,
Z wybornymi kondymenty,
Bobkowych liści i mięty.
Ale najwięcej było i pracy i biędy
Około wystawienia wielkiej piramidy...
Ta cała lana z masy migdałowej,
Cała w skorupie cukrowej;
Na marcypanie ryś cudnej roboty,
Wystawiał nowożeńców herbowne klejnoty:
Jeden herb był Gozdawa, a drugi Rogala,
Obadwa Kupid pochodnią zapala.
Ciągłem stołu rozliczne kołaczce, andruty,
I konfektów szereg suty.
Już okólnemi listy sproszono sąsiady,
Prańcaci z kapituły i panowie rady,
A że pan cześnik pragnał, by akt ten szczęśliwy

JULIAN NIEMCEWICZ.

Mógł się odprawić w sposób jak można uczciwy,
Pojechał do Skierniewic dość liczno i dwornie,
Księcia Prymasa upraszać pokornie,
By się raczył w dom jego na wesele stawić,
I młodą parę sam pobłogosławić.
Już się wszyscy zjechali; lecz panowie mili
Wiciez jak się tam wszyscy razem pomieścili?
Bo choć na ów wiek, cześnik mieszkał dość wspañale,
Miał cztery komnat i do tańca salę,
Przecież dla tylu gości zbyt zda się to mało.
Powiem wam więc, jak się to w owych czasach działo:
Nam się to widzi rzeczą niepodobną.
Oto wtenczas, sam Prymas miał izbę osobną,
Dla innych, gdzie się mieścić nie było kłopotem,
Wszyscy leżeli pokotem,
A co lepszego: — przewybornie spali!
Nakoniec, szczęsnej chwili doczekali,
Kochankowie nadobni; już para dobrana,
Nazajutrz o godzinie jedynastej zrana,
Stanąć miała do ślubu przed ołtarze święte.
Słodkiem uczuciem rodzice przejęte,
Sproszeni goście, krewni, przyjaciele,
Ławki zasiedli w kościele.
Sędziwy prymas z duchowieństwem całym,
Z mitrą na głowie, w ręku z pastorałem,
Zasiadł na tronie: zapalono świece.
Czekają wszyscy na oblubienicę.
A gdy czekają już blisko godzinę,
Posłał ojciec zapytać o zwłoki przyczynę.

Powrócił goniec z prośbą by zaczekać trochę,
Ze panna jedną włożyła pończochę,
I jest nadzieja, że w chwilę niedługa,
Włoży i drugą.
Tymczasem młotek trzecią na zegarze głośni,
Gdy człek wystany odpowiedź przynosi:
Ze panna zapomniała która jest godzina,
Ale że włosy już trefić zaczyna.
O piątej znowu goniec od hożej dziewicy,
Ze tylko chce falbanę przyszyć do spódnicy,
Ze potem przyjdzie; gdy latają gońce,
Już się też do zachodu nachyliło słońce,
Burzą się w panu młodym chucie niecierpliwe;
Już czczość wielką żołądka i zwijanie ckiwe
Czują zebrani goście; gdyż każdy od rana,
Widząc jaka biesiada była zgotowana,
Ze go wkrótce czekały pulpety, bekasy,
Nie jadł kawałka chleba, ni nawet kiełbasy.
Poziwiała kobiety i panowie rady,
A nawet uważano że ksiądz Prymas błady.
Leci sam wojewodzie: — pada na kolana,
Zaklina żeby przyszła choć i nieubrana...
— Pozwól, odpowie panna, niech tylko kadryle
Przykręcę trochę, a przyjdę za chwilę. —
Niespokojny pan młody na powrót przybiega,
Słucha, aż strasznym wrzaskiem kościół się rozlega,
Ksiądz Prymas zemdlął: gdy go trzeźwią kanonicy,
Poziiera wojewodzie, aż blisko kaplicy
Leży zemdlonych kilku radnych panów,

JULIAN NIEMCEWICZ.

Dwóch wojewodów i trzech kasztelanów!
We łzach rodzice oboje:
Wtenczas, jak gdyby w zimne zanurzony zdroje,
Czuje że miłość zgasła, tak szerzy swą żałość:
— Kiedy widzę do ślubu taką opieszałość,
Kiedys tak mało dbała na mą niecierpliwość,
Jakażby była nasza w pożyciu szczęśliwość?
Jaki rząd w gospodarstwie i przykład dla dzieci?
Naprózno tysiąc ponęt w tobie cudnie świeci,
Niech je inny posiada, łatwo go wybierzesz,
Ja się wprzód zestarzeję, nim ty się ubierzesz! —
To kończąc, słowa nie mówiąc nikomu,
Usiadł w kolebkę i wrócił do domu...
Tego pośpiechu, tej niecierpliwości
Nie można chwalić w młodym jegomości,
Prędkość dobrze nie usłuży;
Gdyby cokolwiek chciał poczekać dłużej,
Czasu tak drogo nie cenił,
Byłby się pewnie ożenił:
Gdyż o trzeciej z północy, z suknią atłasową,
Panna do ślubu już była gotową!

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

ZONA DO MĘŻA.

—

Otóż i święta przysięga złamana,
Na śmierć nasz związek rozrywa;
Miłość wzgardzona, na wieki zerwana,
Wolności tylko już wzywa.

Me łzy wylane odliczył Bóg w niebie,
Zesłał koniec mojej troski,
Któż liczył chwile wierności u ciebie?
Czy je kończy nakaz boski?

Szczęsną ja byłam na ojców dolinie,
Krótko mi płynął wiek złoty;
Rzeka przeszłości wstecz już nie popłynie,
Przez lata długiej zgryzoty.

Pamiętasz brzozy i milczące skały,
Tę moją płonącą przyjemność,
Kiedy twe zradne słówka wykłamały,
Łatwą niewinnej wzajemność.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

Mój uśmiech zwałś uśmiechem niebianki,
Duszę moją, twoją duszą;
Niebem ci było spojrzenie kochanki,
A łzy cię żony nie wzruszą.

Przysięgi chciałeś w wybranej godzinie,
Ufna, złożyłam ją tobie;
Już wtedy czułeś, że mię nią jedynie
Będiesz mógł więzić przy sobie.

Tak mię uwiodły marzenia obłudne!
Bez woli ojców, bez rady,
Wiodłeś płaczącą w te pola odludne,
Między nieznane sąsiady.

Tę wieś pomiędzy czarnemi borami,
Polubiłam żyjąc z tobą,
Miłość co ślady znaczyła przed nami,
Miała być stepów ozdobą.

Umysł mój mężnie zniósł pierwsze cierpienia,
Z czucia przez miłość wyzuty.
Od twej rodziny wzgardę i szydzenia,
Od mojej pomstę, wyrzuty.

Kiedym dla ciebie opuściła cnotę,
Niewinną jam się sądziła,
Kiedym sumienia cierpiała zgryzotę,
Dla ciebie miłą mi była.

Niegdyś jam w cnotach była zakochana,
Wnet ich nie miałam dla siebie;
Bo każda później cnota wypełniana,
Była z miłości dla ciebie.

Co mi świat wszystek, i cnota i chwała!
Gdy ty byłeś moim światem;
Tobą szczęśliwa, o twe szczęście dbała,
I dosyć mi było na tem.

Ale wnet ojca przekleństwo się iści,
Twoje się serce odmienia;
Ileż nie zniosłam twojej nienawiści!
Nie zgadując przewinienia.

Jam się uczyła w domu twą wolę mieć,
Okrom ich sprawcy, krom ciebie,
A ich przyczyna nieznana nikomu,
Prócz tobie i Bogu w niebie.

W ukryciu często nauczałam dziatki,
Jak mają pieszczoną mową
Wyżebrać litość dla nieszczęsnej matki,
Lub twarz wyjaśnić surową.

Ale tyś z matką potracił i dziecię —
Co serce czuło tą dołą!...
Tuliłam na to rozplakane skrycie,
Płacząc nad niem i nad sobą.

Sen mój i oddech składało westchnienie,
Zgryzotą myśl moja była,
W zółć obrócone każde pożywienie;
Tem ja dzieci wykarmiła.

Umarło jedno, zółcią moją strute,
Niebieska wzięła je matka,
Na jego grobie gorzką siałam rutę,
Łzami ją rosząc bez świadka.

Zostało drugie smutnie oszczędzone,
I ojcem jeszcze się zwałęś,
Ale niestety! potępiając żonę,
Matki szanować nie chciałeś.

I to zniknęło... krótkie jego chwile,
Jakiemż kupiłam cierpieniem!
Już mu w kolebce, jak bratu w mogile,
Pogrzebnem nuciłam pieniem.

Dla kogoż teraz, dzieci pozbawiona,
Mam resztę też tych wyrosić?
Nie zdoła tego nieszczęśliwa żona,
Co matka umiała znosić.

I tyś wyczerpał co mię mogło smucić,
I we mnie czucie tępieje,
Trudno już iskrę w ten popiół dorzucić,
Wiatr ją z nim razem rozwieje.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

Przykre ci były pokora i tkliwość,
Przyjemną moja zgryzota,
Teraz ci nawet niezdolna cierpliwość,
Jedna moja broń i cnota.

Kwiat mej młodości przed czasem zwiędniały,
Tajemnie smutek roztoczył;
Na wdziękach, które lat nie doczekały,
Ślady starości wytłoczył.


Lgnie kwiat ku ziemi rosą obciążony,
Pod ziemią myśl moja żyje,
Tam moja miłość, tam rodzinne strony,
Gdzie żadne serce nie bije.

A więc zawczesną ofiarą polegnę,
Nic już nie mając na ziemi,
Niepożegnanej rodziny odbiegnę,
Drogą za dziećmi mojemu.

Ty uwiedz inną w równym wiosny kwiecie,
Cieszcie się wolni i sami;
Ale tu nigdzie miejsca nie znajdziecie,
Nieżłanego memi łzami.

KOBIETA.

Trzy razy żyjąc na świecie,
Świat cały tulisz do łona:



KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

Na piersiach matki jak dziecię,
Szczęśliwa, nie wiesz o świecie.

Kochanka tuląc do łona,
Jak w świecie w nim zatopiona,
Zapomnisz wcale o świecie.

A tuląc własne swe dziecię,
Świat cały tulisz do łona.

FRANCISZEK MORAWSKI.

MATKA DO CÓRKI.

(W DZIEŃ ZAŚLUBIN).

=

Już więc na drogę tyłu powinności,
Wzywa cię twojej godziny wybicie,
I z tak pięknego snu twojej młodości,
W rzeczywiste woła życie.

Na nowe losu wstępujesz koleje,
Dotychczas szczęścia i niebios kochanka,
Niesiesz w nie nowe troski i nadzieje,
Z pamięcią twego poranka.

Idź, gdzie cię twoje przeznaczenie woła,
Opuszczaj progi rodzinnej ustroni;
Niebo łzom matki oprzeć się nie zdoła,
Tarczą cię swoją osłoni.

Nie samo szczęście wróżyć ci przychodzę,
Nie ciebie złudzą marzenia tak zwodne,
Nie same kwiaty znajdziesz na tej drodze,
Nie zawsze słońce pogodne.

FRANCISZEK MORAWSKI.

Jak gdy dwóch lutni połączone głosy,
Jednym brzmia smutkiem, szczęściem lub nadzieją,
Tak się i wasze myśli, czucia, losy,
Odtąd w jedno życie zleją.

Najmniejsza troska wzajem cię poruszy,
I na łzę każdą, łzą odpowiesz swoją,
Każda się radość podwoi w twojej duszy,
Ale i smutki podwoją.

Są jeszcze inne płci twojej przymioty,
Okryte cieniem domowej zaciszy:
Są to ofiary, są to ciche cnoty,
O których świat ten nie słyszy.

Nigdy ich ludzka pochwała nie głosi,
Nie zawsze nawet do wdzięczności skłonia;
Nieraz ła cicha oko twoje zrosi,
I tej ci może zabronią.

Poznasz, jak nasze niepozorne życie,
Najtrudniejszemi zasłane przeszkody;
Poznasz, jak często potrzeba kobiecie,
Być cnotliwą bez nagrody.

Lecz czegoż piękne serce nie dokona,
Kornie się z twardą powinnością godzi,
I mężnie z samej przeciwności łona,
Rozkosz cnotliwym wywodzi.

FRANCISZEK MORAWSKI.

Da ci to szczęście, ta słodycz, łagodność,
Co zawsze duszy twej była ozdobą,
I ta powaga i ta piękna godność,
Co sama czuwa nad sobą.

Lecz wszystkie szczęścia i wszystkie przymioty
Tyle ci twojej nie osłodzą doli,
Jak kiedy twoje błogosławiąc cnoty,
Bóg Ci być matką pozwoli.

Czeka cię córko to imię wspaniałe;
Któryż blask świata zrównałby mu zdołał?
Bóg ziemskiej matki uwieczniając chwałę,
Na tron ją nieba powołał.

Wszystkie nadzieje, wszystkie marzeń roje,
Wszystko ci w twojem powróci dziecięciu;
Cały świat pociech, całe szczęście twoje,
W matczynem zamkniesz objęciu.

A gdy i wtenczas jaka chwila sroga,
Lotną ci życia zatruje godzinę:
Pomnij, że każda, nawet szczęścia droga,
Idzie przez ziemską dolinę!

FRANCISZEK MORAWSKI.

PRZY GROBIE ŻONY.

—

Jakież życie otacza ciche śmierci pole,
Kilka kroków przedziela płochość i niedolę.
Ja, nad drogim mi grobem łzy rozpaczy ronię,
Tam wszystko kwitnie szczęściem i radością płonie.
Ach! ileż tam obrazów próżności przeplata,
Z całym dymem i wrzawą nawałnicy świata;
Grzmią rydwany stołeczne wzdłuż murów cmentarza,
Nie wstrzyma ich płacz sierot, ni prośba nędzarza,
Jak gdyby nie mijali umarłych dziedziny,
I nie tu spoczywały ich ojce i syny...

O! żono, droga żono! matko moich dzieci,
Może mnie tam niejeden błąd w twych oczach szpeci,
Możem nie dość twym cnotom winnej składać cześci,
Nie dość kwiatów nadziei wplatał w cierń boleści...
Tej jednej przecież krzywdy nie wyrządę tobie,
Bym łzy żalu na twoim nie zostawił grobie.
Niechaj inni od przykrych im pamiątek stronią,
I by uciec wspomnieniom, za nadzieją gonią,
Dla mnie, całą rozkoszą opłakiwać cię,
Tu cię szukać mym żalem — a nadzieją w niebie!

ANTONI MALCZESKI.

URYWEK Z POEMATU «MARYA».

=

Na świetnem, zimnem rycerza ramieniu
Sparta śliczna twarz blada w piór łagodnym cieniu;
Czarne warkocze dźwięczą, bo w łusce pierś harda
Giętką kibić nie ciśnie, choć ściska dłoń twarda;
Stalowa odzież — w świecie i przyjaźń złośliwa,
Wdzięczne serce, to miłość na zbroi spoczywa.
O! jak z sptonionych liców czułem, cichem okiem,
Patrzył w tę piękną postać pod smutku obłokiem!
Jakby powaby liczył... I znowu nie wierzy
Czy mu czas w jego skarbie nie zrobił kradzieży.
Nie, ten uroczny połysk co jej oczy krasi,
Nieznikomy, bo z duszy — chyba go śmierć zgasi:
Lecz gdy kir rycerz dostrzegł i posępną radość,
Co przy żalobnej szacie aż ćmi przez swą błądź,
I słodki w górę uśmiech, boleści wdzięk cały,
I na tle czystym plamy co łzy wymaczały:
Szczęście się jego prędko owlokło jej chmurą,
To słabszy, wiotszy, bielszy — niż u czapki pióro.

— «Gdym w stepowej i dzikszej umysłu pustyni
Lubił błądzić, aż pomrok przedmioty zasini;
Nigdy mi żadna gwiazdka nie błyszcząca w ślady:
A koń bił się do domu przez wichry i grady.
Tyś dla mnie zesłała Maryo! i w brzasku mych myśli,
Świetną drogę twe światło ku niebiosom kryśli;
O szczęśliw, pyszny, wdzięczny, że w zalotnem gronie,
Czułość na mnie z ufnością śliczne sparła dłonie!
O! błogi, że w twem sercu przez mokre źrenice,
Życia, czucia, aniołów, czytał tajemnice!
Lecz czemuż ta mgła smutku, której ciężkiem tchnie-
Ja oddychałam, i ciebie okryła swym cieniem? [niem,
Czemuż we mnie tarń życia kolcami nie wrosnie,
Tobie mdłym pachnąc kwiatem w krótkiej swojej wio-
I mnie wydarli wszystko — i więcej niż tobie, [śnie?
Ty do nieba należysz, ja się błąkałam w grobie;
A czarnem pędząc widmem, gdym jasność postradał,
Byłbym świętym przedmiotom srogie ciosy zadał.
Bo z panem Wojewodą nie służy żartować,
I raz dobywszy miecza już go nie trza chować;
Toby się ojców zamek był kurzył szeroko,
I niejeden pokrewny oblewał posoką;
Toby w sercu osiadły ten dym i ich cienie,
Ale bym Maryi dopadł przez krew i płomienie!
Nie drzyj, wszystko minęło, gdym ciebie zobaczył;
Jeszcze pierwiej jak tylko żeś moją oświadczył.
Tak mi tem jednym słowem serce usposobił,
Jak gdyby mi nikt nigdy, nic złego nie zrobił.
To wziąwszy moją szablę, której blask odstąpię,

Nie prywacie, lecz twojej i kraju obronie;
To wzięwszy mego konia, co nieraz w te niwy
Tak szybko mnie unosił, jechałem szczęśliwy.
Oh! z jaką ja radością te lipy ujrzałem!
Jakże ich chłodu dusza pragnęła z zapałem!
Ty nie wiesz, ty, co umiesz bez chluby łyż koić,
Co to jest dzikie serce do siebie przyswoić,
Co tęsknić za dobrocią, a wdzięków żałować,
W których spomnieniu umysł chciałby istność scho-
Maryo! czyś ty nie chora, bo masz taką postać, [wać.
Jakbyś się do Aniołów myślała już dostać;
I w nowem udręczeniu, choć się tobą pieszczę,
Prawie się spytać pragnę, czy mnie kochasz jeszcze?]

— «Czy Marya ciebie kocha? mój drogi, mój miły,
Więcej niż kochać wolno i niż mogą siły;
Więcej, niż wątłe serce, gdy jemu już zadość,
Znieść umie tak niezmierną, niespodzianą radość:
I gdyby nie Tatarzy co mi w oczach błyszczą,
I gdyby nie ich strzały co mi w uszach świszczą,
Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba,
Jakbym w twojem objęciu leciała do nieba.
Czy Marya ciebie kocha? pytaj się jej cienia,
Czem dla Maryi świat cały bez twego spojrzenia?
Czem dla Maryi świat przyszły, bez twego spom-
[nienia?
Nieraz w zmysłów zamknięciu, nad tą dużą księgą,
Zniżona całym czuciem przed Stwórcy potęgą.
Gdym chciała ciebie stłumić modlitwy pociechą,

ANTONI MALCZESKI.

Zaraz mi brzmiało jakby twego żalu echo!
To może Pan Bóg skarże tak żywe kochanie,
I tatarska ci strzała w ręce się dostanie.
Widzisz ten jasny promień, co z liści osnowy,
Ciągnie swój drżący połysk między nasze głowy?
Ten promień żywi, zdobi, każdego weseli;
Czemuż gdyśmy złączeni on jeszcze nas dzieli?
Próżno, próżno mój luby, choć usta z ustami,
Patrzaj — chyli się z liściem, i jest między nami.
Ach! wśród uniesień bitwy i zwycięstwa wrzawy,
Przypomnij sobie drogi, że promień twej sławy,
Tak czysty, taki świetny, jak słońce na niebie,
Jaskrawym swym wieczorem noc spuści na ciebie.
Oh! pierwszej niechaj Maryę w ciemnościach zagrzebie!
Nie prawdaż mój Wacławie? ty będziesz odważny,
Stały, wytrwały, dzielny — ale i uważny.
A gdy już moje oczy wdrażone zgryzotą,
Długo patrząc w swój żywioł, swe życie rozplotą,
Gdy serce wytchnie z trwogi przy piersiach bez stali,
To może się na miłość Wacław nie pożali?
Cieszyć się twą radością, twój smutek łagodzić,
Nie myśleć, tylko o tem, w czym tobie dogodzić,
Być twoich chwil osłoda, czasem ich ozdoba,
Żyć dla ciebie i w tobie, umierać przed tobą,
I w tej ostatniej chwili, choć w cierpień natłoku,
Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojem oku,
A gdy nie wolno z tobą, żyć w twojej pamięci:
To Maryi cała miłość, wszystkie Maryi chęci.
Skoro mi szczęśliw wrócisz, mą harfę nastroję,

ANTONI MALCZESKI

I przy blasku księżycy usiadłszy oboje,
W tkliwej, smutnej, jak lubisz, unosząc się nucie,
To co nikt nie wyraził — przywłaszczym uczucie.
Ach! z jak okropną trąbą zagrały żałobą,
Oh! nie rzucaj mnie znowu! Oh! zabierz mnie z sobą!

=====

DO MARYLI.

Precz z moich oczul... Postucham odrazu;
Precz z mego sercal... I serce postucha;
Precz z mej pamieci!... Nie, tego rozkazu,
Moja i twoja pamieć nie postucha!

Jak cień tem dłuższy, gdy padnie zdaleka,
Tem szerzej koło żałobne roztoczy:
Tak moja postać im dalej ucieka,
Tem grubszym kirem twą pamieć pomroczy.

Na każdym miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

Czy zadumana w samotnej komorze,
Do arfy zbliżysz nieumyślną rękę,
Przypomnisz sobie: właśnie o tej porze,
Śpiewałam jemu tę samą piosenkę.

ADAM MICKIEWICZ.

Czy grając w szachy, gdy pierwszemi ściegi,
Śmiertelna złowi twego króla matnia,
Pomyślisz sobie: tak stały szeregi,
Gdy się skończyła nasza gra ostatnia.

Czy to na balu w chwilach odpoczynku,
Siedzisz, nim muzyk tańce zapowiedział,
Obaczysz próżne miejsce przy kominku,
Pomyślisz sobie: on tam ze mną siedział.

Czy książkę weźmiesz, gdzie smutnym wyrokiem,
Stargane ujrzysz kochanków nadzieje,
Złożywszy książkę z westchnieniem głębokiem,
Pomyślisz sobie: ach to nasze dzieje...

A jeśli autor po zawitej próbie
Parę miłosną na ostatek złączył,
Zagasisz świecę i pomyślisz sobie:
Czemu nasz romans tak się nie zakończył.

W tem błyskawica letnia zamigoce,
Sucha w ogrodzie zaszeleszczy grusza,
I puszczyk z jękiem w okno załopoce...
Pomyślisz sobie — że to moja dusza.

Tak w każdym miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

ADAM MICKIEWICZ.

DO MARYLI.

(NA ALPACH W SPLÜGEN 1829).

Nigdy więc, nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę,
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady,
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady,
I włosy mi się jeżą kiedy cię oglądam,
I postać twoją widzieć lękam się i żądam.

Niewdzięczna! Gdy ja dzisiaj w tych podniebnych górach,
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach, [rach,
Wstrzymuję krok, wiecznemi utrudzony lody,
I oczy przecierając z lejącej się wody,
Szukam północnej gwiazdy na zamglonem niebie,
Szukam Litwy i domku twojego i ciebie...
Niewdzięczna! może dzisiaj królowa biesiady,
Ty w tańcu rej prowadzisz wesołej gromady,
Lub może się nowemi miłośkami bawisz,
Lub o naszych miłośkach śmiejąca się prawisz!
Powiedz, czyś ty szczęśliwa, że ciebie poddani,
Niewolnicze schylając karki, zowią *pani!*
Że cię rozkosz usypia i wesołość budzi,
I że cię nawet żadna pamiątka nie nudzi?
Czy była byś szczęśliwsza, gdybyś moja miła,
Wiernego ci wygnańca przygody dzieliła?

Ach! jabym cię za rękę po tych skałach wodził,
Jabym trudy podróżne piosenkami słodził,

ADAM MICKIEWICZ.

Jabym pierwszy w ryczące rzucił się strumienie,
I pod twą nóżkę z wody dostawał kamienie;
I przeszła by twa nóżka wodą niedotknięta,
A całowaniem twoje rozgrzałbym ręczęta!
Spoczynek by nas czekał pod góralską chatą,
Tam zwleczoną z mych barków okryłbym cię szatą,
A ty byś przy pasterskim usiadłszy płomieniu,
Usnęła i zbudziła na mojem ramieniu!

ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA.

W głuchej puszczy przed chatą leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona;
A u wrót stoi straż pułkownika,
Tam w izdebce pułkownik ich kona...

Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze,
Wódz to wielkiej był mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia pułkownik kulbaczyć,
Konia w każdej sławnego potrzebie;
Chce go jeszcze przed śmiercią zobaczyć,
Kazał przywieść do izby, do siebie,

ADAM MICKIEWICZ.

Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swoją kordelas i pas i ładunki:
Stary żołnierz, on chce jak Czarniecki,
Umierając swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej zszedł ksiądz z Panem Bogiem;
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się klęcząc przed progiem.
Nawet starzy Kościuszki żołnierze,
Tyle krwi swej i cudzej wylali,
Łzy ni jednej, — a teraz płakali,
I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniło w kaplicy.
Już przed chatą nie było żołnierza,
Bo już żołdat był w tej okolicy.
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza.
Na pastusznym tapczanie on leży,
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas, dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne, dziewicze ma lica.
Jaką pierś... Ach, to była dziewica,
To Litwinka, dziewica-bohater,
Wódz powstańców — Emilia Plater!

ADAM MICKIEWICZ.

ZOSIA.

(URYWEK Z «PANA TADEUSZA»).

Już goście zgromadzeni w wielkiej zamku sali,
Czekając uczyty, w koło stołu rozmawiali,
Gdy pan Sędzia w mundurze wojewódzkim wchodzi,
I pana Tadeusza z Zofiją przywodzi.
Tadeusz lewą dłonią dotykając głowy,
Pozdrowił swych dowódców przez ukłon wojskowy;
Zofija z opuszczonym ku ziemi wejrzeniem,
Zapłoniwszy się, gości witała dygnieniem,
Od Telimeny pięknie dygać wyuczona:
Miała wianek na głowie jako narzeczona,
Zresztą ubiór ten samy w jakim dziś w kaplicy,
Składała snop wiosenny dla Bogarodzicy.
Uzęła znów dla gości nowy snopek ziela;
Jedną ręką zeń kwiaty i trawy rozdziela,
Drugą, swój sierp błyszczący poprawia na głowie.
Brali ziółka, całując jej ręce, wodzowie;
Zosia znowu dygała w kolej, zapłoniona.

Wtem jenerał Kniaziewicz wziął ją na ramiona,
I złożywszy ojcowski całus na jej czole,
Podniósł w górę dziewczynę, postawił na stole:
A wszyscy klaszcząc w dłonie zawołali, brawo!
Zachwyceni dziewczyny urodą, postawą,
A szczególnie jej strojem Litewskim, prostaczym.
Bo dla tych wodzów, którzy w swem życiu tułaczem

ADAM MICKIEWICZ.

Tak długo błakali się w obcych stronach świata,
Dziwne miała powaby narodowa szata,
Która im wspominała i młode ich lata,
I dawne ich miłostki. Więc ze łzami prawie,
Skupili się do stołu, patrzyli ciekawie.
Ci proszą, aby Zosia wzniosła nieco czoło
I oczy pokazała; ci żeby wokoło
Raczyła się obrócić; dziewczyna wstydliva
Obraca się, lecz oczy rękami zakrywa.
Tadeusz patrzył wesół i zacierał ręce.

Czy ktoś Zosi poradził wyjść w takiej sukience,
Czy instynktem wiedziała, (bo dziewczyna zgadnie
Zawsze instynktem, co jej do twarzy przypadnie):
Dosyć, że Zosia pierwszy raz w życiu dziś zrana
Była od Telimeny za upór łajana,
Niechcąc modnego stroju, aż wymogła płaczem,
Że ją tak zostawiono w ubraniu prostaczem.

Spodniczkę miała długą, białą; suknię krótką
Z zielonego kamlotu z różową obwódką;
Gorset także zielony, różowemi wstęgi
Od łona aż do szyi sznurowany w pręgi;
Pod nim pierś jako pączek pod listkiem się tuli.
Od ramion świecą białe rękawy koszuli,
Jako skrzydła motyle do lotu wydęte,
U dłoni skarbowane i wstążką opięte.
Szyja także koszulką obciśniona wąską,
Kołnierzyk zadzierzgany różową zawiązką;

Zauszniczki wyrznęte sztucznie z pestek wiszni,
Których się wyrobieniem Sak Dobrzyński pyszni;
Były tam dwa serduszka z grotem i płomykiem
Dane dla Zosi, gdy Sak był jej zalotnikiem;
Na kołnierzyku wiszą dwa sznurki bursztynu,
Na skroniach zielonego wianek rozmarynu;
Wstążki warkoczów Zosia rzuciła na barki,
A na czoło włożyła zwyczajem zniwiarki,
Sierp krzywy, świeżem żęciem traw oszlifowany,
Jasny, jak nów miesięczny nad czołem Dyany.

.....
Tam włość już kończy ucztę, krążą miodu dzbany,
Muzyka już się stroi i wzywa na tany.
Szukają Tadeusza, który stał na stronie,
I coś pilnego szeptał swojej przyszej żonie.

«Zofiol! Muszę cię w bardzo ważnej rzeczy
Radzić się; już pytałem stryja, on nie przeczy.
Wiesz iż znaczna część wiosek, które mam posiadać,
Wedle prawa na ciębie powinnaby spadać.
Ci chłopcy są nie moi lecz twoi poddani;
Nie śmiałybym ich urządzić bez woli ich pani.
Teraz, kiedy już mamy Ojczyznę kochaną,
Czyliż wieśniacy zyszczą z tą szczęśliwą zmianą
Tyle tylko, że pana nowego dostaną?
Prawda, że byli dotąd rządzeni łaskawie,
Lecz po mej śmierci, Bóg wie komu ich zostawię.
Jestem żołnierz, jesteście śmiertelni oboje,
Jestem człowiek, sam własnych kaprysów się boję:

Bezpieczniej zrobię, kiedy władzy się wyrzekę,
I oddam los włościanów pod prawa opiekę,
Sami wolni, uczynimy i włościan wolnemi,
Oddajmy im w dziedzictwo posiadanie ziemi,
Na której się zrodzili, którą krwawą pracą,
Zdobyli, z których wszystkich żywią i bogacą.
Lecz muszę cię ostrzec, że tych ziem nadanie
Zmniejszy nasz dochód, w miernym żyć musimy stanie.
Ja przywykłem do życia oszczędnego z młodu;
Lecz ty Zofio, jesteś z wysokiego rodu,
W stolicy przepędziłaś twoje młode lata:
Czyż zgodzisz się żyć na wsi, zdaleka od świata,
Jak ziemianka?»

A na to Zosia rzekła skromnie:
«Jestem kobietą, rządy nie należą do mnie.
Wszakże pan będziesz mężem: ja do rady młoda,
Co pan urządzisz, na to całym sercem zgoda!
Jeśli włość uwalniając, zostaniesz uboższy,
To Tadeuszu będziesz sercu memu droższy.
O moim rodzie mało wiem i nie dbam o to;
Tyle pomnę, że byłam ubogą sierotą,
Że od Sopliców byłam za córkę przybrana,
W ich domu hodowana i za mąż wydana.
Wsi nie lękam się. Jeśli w wielkiem mieście żyłam,
To dawno zapomniałam, wieś zawsze lubiłam;
I wierz mi, że mnie moje kogutki i kurki
Więcej bawiły niżli owe Peterburki.
Jeśli czasem tęskniłam do zabaw, do ludzi,
To z dzieciństwa; wiem teraz że mnie miasto nudzi;

ADAM MICKIEWICZ.

Przekonałam się zimą po krótkim pobycie
W Wilnie, że ja na wiejskie urodzona życie;
Pośród zabaw tęskniłam znów do Soplicowa.
Pracy się też nie lękam, bom młoda i zdrowa,
Umiem chodzić około domu, nosić klucze,
Gospodarstwa obaczysz jak ja się nauczę.

.
Zaledwie usłyszeli nowinę poddani,
Skoczyli do panicza, padli do nóg pani;
«Zrowie państwu naszemu!» ze łzami krzyknęli.
Tadeusz krzyknął: «zdrowie współobywateli,
Wolnych, równych, Polaków!» — «Wnoszę ludu
[zdrowie!
Rzekł Dąbrowski. Lud krzyknął: «Niech żyją wo-
[dzowie!
Wiwat wojsko! wiwat lud! wiwat wszystkie stany!»
Tysiącem głosów zdrowia grzmiały na przemiany!

SUMIENIE.

—

Przekląłem — i na wieki rzuciłem ją samą,
I wzburzony, nim księżyc zabłysnął wieczorem,
Jużem się od niej długiem rozdzielił jeziorem;
A gdy się toń jeziora księżycową plamą
Osrebrzyła, gdy wichry zawiewały chłodniej,
Jam jeszcze jechał — jeszcze uciekałem od niej...

I możebym zapomniał, bo koń leciał skoro,
Bo mi piosenkę grały tętniące kopyta,
Gdzie ona... oszukana... przeklęta... zabita...
Patrzę na niebo — księżyc, na gwiazdy — jezioro,
Wszak tu jęk nie doleci, wszak łzy nie zobaczę;
To jezioro, to fala — to nie ona płacze...

I możebym zapomniał... lecz gdy to spostrzegła
Błada światłość księżyca, krok w krok za mną biegła,
Próżno się zatokami węzowemi kręczę,
Wszędy mnie księżycowa kolumna dopadła,
Jakby się ta kobieta do stóp moich kładła,
I niema płaczem — za mną wyciągała ręce.

JULIUSZ SŁOWACKI.

PRZEKLEŃSTWO.

—

Przeklęta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
Szczęścia mego na ziemi; ty żądnem gadziny
Wygnałaś na samotność. Bądź wiecznie przeklęta!
Każdy mój jęk zna ciebie, każda łza pamięta.

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
Abyś mi dała nieco przyjaźni i ciszy:
Toś ty mi łzy w powszednim podawała chlebie,
I jęcząc, z jękiem w sercu mówiłaś: — «Niech słyszy»!

Cierpiałem i uległem. Dziś samotny jestem,
Lecz wiedz, że w samotności okryty żałobą,
Oczy błędne obracam za każdym szelestem,
Czekam, ale nie ciebie, — tęsknię, nie za tobą.

Tej czekam omamiony, tej samotny płacząc,
Która mi była siostrą na wygnania ziemi,
Myśląc że kiedyś duszy oczyma zobaczę
Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskiemi —

A nigdy serca mego nie umiała krwawić;
A tak się ze mną duszą i myślami dzieli,
Że już dziś sami boscy nie wiedzą anieli,
Czy ją dla mnie potępić — czy mnie dla niej zbawić.

JULIUSZ SŁOWACKI.

A ty! a ty — co lałaś żółciowe gorycze,
Skoro się otwierała serca mego rana:
O! gorzej niż przeklęta — widmo tajemnicze
Złej przeszłości, — przeklęta bądź i zapomniana!

STOKRÓTKI.

Miło po listku rwać niepełną stokroć,
I rozkochanych słów różaniec cedzić;
Miło przy ludziach było raz powiedzieć,
Że się kochamy, i mówić po stokroć.

Miło zabłądzić pod lipowe cienie,
Z kwiatkami w ręku, i patrząc ukradkiem,
Wzajemnie mówić obrywanym kwiatkiem:
Kochasz!... i pani kochasz mię szalenie...

Gdy nas różowa poróżniła sprzeczka,
A zgody ciągłe zabraniały świadki,
Pamiętasz luba, jak te białe kwiatki,
Jeden mówił: nie — a drugi: troszeczka.

Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei,
Błądząc po skałach, wszystkie moje smutki

JULIUSZ SŁOWACKI.

Zbiegły się razem do białej stokrótki,
Co była siostrą stokrótek w alei.

Rwałem ją: listki leciały w błękicie,
Aż nad jezioro ze skały, gdzie siedział;
I wiesz, co listek ostatni powiedział?
Luba, że jeszcze kochasz mnie nad życie!

O ŻYCIA RANKU.

O życia ranku, o wiosen jutrzence,
Pod takim brzegiem i na takim morzu,
Jam ciebie ujrzał w błękitów przestworzu,
I obwiodł ciebie w włoskich kwiatów wieńce.

I strach mię chwycił, gdym ci rzucał róże,
A z nimi myśli, natchnienia i pieśni...
Gdym kładł me serce za stóp twych podnóże,
Jam drżał wśród szczęścia, czy się szczęście nie śni?

Tyś przy mnie była, a ja ciągle marzyłem,
Że ty złudzeniem co odleci wkrótce,
I z westchnieniami przed tobą się skarżyłem,
Żeś anioł nikły na mej lotnej łódce...

Bo w blasku słońca lśniła twoja postać,
Nie jak codzienne i trwałe postaci,
Lecz jak duch, który tu nie zdoła zostać,
Bo niema tutaj ni siostr ani braci.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

I długo dziwną mamiony żałobą,
Chociaż przy tobie, jam się nieczuł z tobą;
Długo tęskniłem gdzieś dalej, do ciebie,
Bom zawsze myślał, żeś ty tylko w niebie.

Na każdej fali i na każdej skale,
Na każdym miejscu i w każdej godzinie,
Wieczniem powtarzał: — «Ach! to szczęście minie,
Popłynie anioł jak płyną te fale...

I na tem morzu odejdzie ta mara,
I wśród tych wichrów pryśnie mi jej wiara,
I śmierć, niestałość, albo los zabierze
To, co dziś kocham i w co dzisiaj wierzę!»

Lecz ty zostałeś na łódce milcząca,
Nie wzięła ciebie burza w niebo nagle,
Dotąd w promieniach widomego słońca,
Ty rudel trzymasz, ja rozpuszczam żagle —

I tak płyniemy na wieki, bez końca...

DO BEATRYCZY.

Darmo świat ziemski płasem mnie otoczy,
Motylem skrzydłem chce udać Anioła;

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Pcha kwiaty w ręce, ciska iskry w oczy,
On wiary mojej przetworzyć nie zdoła.

Przebyłem drogę szczęścia i cierpienia,
I nią doszedłem do tych ducha włości,
Gdzie się ideał serca już nie zmienia,
Bo zna go serce — pięknością piękności!

Do dziś dnia kocham, jak dawniej kochałem,
Tę samą postać, którąm ściagał sząłem,
Tę samą duszę, którąm wielbił szczerze;

Obie mi widmem — jednym, świętem, białem!
Tylko w kochaniu wieczniejszy się stałem,
Bo w wieczność mego Ideału wierzę!

PO ŚMIERCI.

Gdy wkrótce, droga! śmierć wiatrom rozrzuci
Serce me w popiół ogniem mąk spalone,
Niech twój głos o mnie jeszcze pieśń zanuci,
Niech wzrok twój spojrzy w grobu mego stronę.

Gdy się rozwieję i zniknę ci z oczu,
Grób mój nie tutaj, mój grób — tam, na niebie!
Szukaj mnie w nocy miesięcznych przezroczu,
O chwili, w której jam tu szukał ciebie.

Gdy ty piętrami ciemnego ogrodu
Modlą się, zejdziesz i staniesz w żałobie,
Jak posąg biały u chłodnika wchodu,
Może ją wrócę, lub przyśnię się tobie.

Gdy spojrzysz w wulkan, w księżyc i na morze,
Duch mój tam będzie w tej srebra przestrzeni
Gwiazdeczką, falą, albo listkiem może,
Listkiem tak błędnym jak liście jesieni!

Bo ja, na zmiany i gwiazdą i listkiem,
Gdym żył, błądziłem po tej smutnej ziemi!
Dla ciebie byłem gwiazdą, pieśnią, wszystkim,
Dla ludzi niczem, bom ja gardził niemi!

Nigdy nie zasiadł do biesiad ich stołów,
Co świat ten cieszy, mnie tylko hydziło...
Żyłem w twych oczach i w oczach Aniołów,
Ty i Bóg wiecie, co mi w sercu biło.

Jam bardzo kochał, zanadto, zawiele!
Jam bardzo kochał, aż znękan rozdziałem,
Duszę wypłakał; jam nie mógł w rozdziele,
Żyć z tobą tutaj, więc tutaj skonałem.

Jam się stał teraz dźwiękiem, szumem, tchnieniem,
Do harfy twojej dziś mój duch przylega,
I pod twą ręką drży strun twoich drzeniem,
I znów ucicha, omdlewa, odbiega!

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Jam się stał iskrą, sinym błyskiem, mgnieniem,
Gdy chmura pędząc czarną pierś roztworzy
I krwi się twojej obleje promieniem,
To duch mój błyska w tej piorunnej zorzy!

Gdy księżyc wznijdzie cały rozmieszany
Z powietrzem, płynę, rozzłacam się wkoło;
A gdy cię ujrzę, zbliżam się stroskany
I milcząc, światłem całuję cię w czoło!

Ty mnie nie słyszysz, choć jestem przy tobie;
Ty mnie nie widzisz, gdy zrywam ci kwiaty
Z łąk, wzgórzów, lasów — i rzucam na szaty,
Ty je otrząsas i depcesz w żałobie!

Proszę się Duchów, Archaniołów Boga,
Bym mógł raz jeden objawić się tobie,
Gdzie chłodnik, wschody, gaj i w gaju droga,
Stanąc widzialny o wieczoru dobie!

Lecz darmo proszę, tylko pozwolono
Mi skroń twą pieścić wietrzyka powieniem,
I błądych iskier wieńcząc cię koroną,
Niedosłyszaniem zegnać cię westchnieniem!

Próżno mię wabią gwiazdy i lazury!
Ja zbiegam ciągle na dół, tam, ku tobie!
I smętny wracam w niebieskie tortury,
W nieskończoności pusto mi, jak w grobie!

Nieszczęsny jestem choć gwiazdy i słońca
Przy mnie się kręcą w pierścieniach z promieni.
Cierpię bez miary i tęsknię bez końca,
Do niższych, ziemskich, do twoich przestrzeni.

Samotny jestem wśród toni wszechświata!
Co mi po nurtach jej elektryczności,
Które dziś wieńcem siły mnie oplata?
Co mi po sile, która we mnie gości?

Co mi, że latam i więcej i płynę?
Że mnie witają po drodze komety?
Że gdy na tęczę ciało me rozwinę,
W łuku mych ramion przechodzą planety?

Jedno mi tylko pociechą się stało:
Twarz gdzieś anielską po drodze spotkałem,
Co mi twą piękność jak snem przypomniało,
I to mi było w niebie, szczęściem całym.

O! płacz nademną, gorzką łzą pamiątek,
Płacz nad nieszczęsnym, co wolałby z Tobą
Dzielić łzy, bole i ziemski zakątek,
Niż światem marną spętany żałobą —

Wśród tych ogromów tak rozbłąkitnionych,
Tak dniem i nocą Bogiem oświeconych,
Latać i błądzić, tęsknić i narzekać,
I ciebie wiecznie, tylko ciebie czekać!

MÓDL SIĘ TY ZA MNIE!

=

Módl się ty za mnie, gdy z rozpaczy zginę,
Za winę ojców i za własną winę.
Módl się ty za mnie, by mnie w moim grobie,
Nie opiekielnił żal wieczny po tobie.
Módl się ty za mnie, bym u Boga w niebie,
Po wiekach wieków, kiedyś spotkał ciebie!
I tam przynajmniej odetchnął wraz z tobą,
Bo mnie już wszystko trudem i żałobą.
Módl się ty za mnie, jam żył nadaremnie,
Bo serce twoje odpada odemnie!
Módl się ty za mnie, jam cię kochał wiernie,
I tak jak bezmiar bezmierny — bezmiernie!
Módl się ty za mnie, bom ja nieszczęśliwy:
Serce me proste, ale los mój krzywy!
Módl się ty za mnie, nie mów do mnie ostro,
Boś ty mi tylko na tym świecie siostrą!
Módl się ty za mnie, bo od żadnej duszy,
Modlitwa o mnie serca mi nie wzruszy,
Tylko podwoi gorycz mej katuszy!
Módl się ty za mnie, ja ciebie się trzymam,
Bo na tej ziemi prócz ciebie nic niemam.
I nic, prócz ciebie nie marzę za światem,
Tylko to marzę, by z mą duszą biedną,
Twoja spłynęła w nieśmiertelność jedną:
Więc módl się za mnie, bo ja twoim bratem!

J. B. ZALESKI.

SKROMNISIA.

—

Co ja widział — widział dzisiaj,
I na oczy moje:
Ze skromnisiem szła skromnisia,
Pod ręce oboje.

Ciszkiem, chyłkiem, — tuż, tuż trzeci,
Chowam się za drzewa.
Wietrzyk chucha wonią z kwieci,
Aż dusza omdlewa.

Słowik: — ach! ach! — wciąż zawodzi,
Ach! ach! ach! bez liku;
Chodzą, brodzą państwo młodzi,
Lubują w słowiku.

Gdzie tam, gdzie tam! jako starzy,
Poważni i niemi:
Cóż takiego im się marzy,
Jakby nie na ziemi.

Nie statkują bo serduszka
Za ciasno snąć w łonie:
Stąd, to z owąd, koło uszka,
Szmer czasem powionie.

J. B. ZALESKI.

U skromnisi dziwny wzroczek,
Ej srogie dumania!
Igiełkami kole z oczek,
Aż skromniś się słania.

Brzękły głośniej jakieś słówka,
Zakrywa się dłonią:
«Nic — nic!» — brzękła znów wymówka,
I razem się ptonią.

Nic, nic, nic, nic, ustka kłoni,
Skromnisia nieśmiała;
Rozgarnęła włoski z skroni
I po—ca—ło—wa—ła!...

O! bodajże tę skromni się,
Doprawdy niepięknie!
Pocałunek ciągle śni się,
I serce mi pęknie!

OCZAROWANY.

Trzy dni jeno żyłem oh! przy niej,
Ale żyłem trzy dni te w niebie:
I przedumam wiek na pustyni,
A nie przyjdę nigdy do siebie.

J. B. ZALESKI.

O nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

Rok za rokiem lecą mi lata,
Jak niemiłe nieme gdzieś ptaki!
Kraj za krajem zbiegłem pół świata,
Ale wszędzie pusty... nijaki...
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

Krasawice — Boże swe kwiecie,
Ile wiosna co rok wyłoni;
Dla mnie jeden kwiat na świecie:
Wszystkie, wszystkie insze bez woni.
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

Jeśli na czas oczy utrudzę,
I wyciągnę ręce ku łące;
O! nie dotknę kwiatów, bo cudze,
Jakieś mgławce, blade, kolące,
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

Nie zachciewam świata też wcale;
O! nie patrzę w lewo ni w prawo;
Czajko: tobie nudzić na skale,
Jęcz ku wodom, mrugaj tu łzawo!
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

J. B. ZALESKI.

Czasem z morza wionie do ucha,
Niby pieśń, o wojnie, o sławie;
Ale serce swoje wciąż grucha,
I za sercem swoje wciąż prawię;
O nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

Trzy dni jeno żyłem och! przy niej,
Ale żyłem trzy dni te w niebie:
I przedumam wiek na pustyni,
Ale nie przyjdę nigdy do siebie;
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

ZAKOCHANA.

Wiatr szeleści po topoli,
Pomiata kalina;
O! a serce — serce boli,
Łzy płyną i płyną.

Młode latka w smutku lecą,
A nadal rozpacze;
Wtedy tylko lżej mi nieco,
Gdy w kątku popłaczę.

J. B. ZALESKI.

Łzy niedoli mej nie zmoga,
Lecz służą za leki:
Kto miał jedną chwilę błogą,
Ten biedny na wieki!

Czemu taka wąża, blada,
Chylam się na wiosnę?
Ja roślinka, mdła rosada,
Na wydmach tu rosę!

Naokoło piasek suchy,
Ni rosy ni słońca;
Nadal burze, zawieruchy,
Przygody bez końca!

Ludziom śmiechy, ludziom dziwy,
Że szlocham daremnie;
Oh! a luby, czarnobrewy,
Daleko odemnie!

Ni do siebie mnie przygarnie,
Ni ja go przytulę;
Za Dunajem tęskni marnie,
A kocha tak czule!

Ja kukułka, na obłądne
Zrywam się och! we śnie;
A w pustyni schnę i wędnę,
I konam boleśnie!

GWIAZDA POKUTY.

Kobiety! rodu ludzkiego połowo,
Żono i córko i siostró i matko!
Rodu ludzkiego niewolnice — panie!
Odkąd świat stracił bytu swego słowo,
I twój, kobieto, byt został zagadką,
Której nikt dotąd rozwiązać nie w stanie.

Duchem i ciałem nadziemska, powiewna,
Tyś głazem, który prze człowieka w ziemię,
I w świat mu wyższy wznieść się nie pozwoli;
Urocą formą aniołom pokrewna,
Drogą szatana wiedziesz ludzkie plemię.
Ty główne źródło człowieka niedoli.
A świat tymczasem czuje w twym utworze,
Wszystko co wznosić, uszczęśliwić może.

Dziwna jest, dziwna twa dola kobieca,
Razem pogardę i żal ciębie wznieca.
Tyranca świata i pomiotła świata,
Pomiatasz wszystkim co ciębie ugniata;

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

W tej samej chwili i mężczyzn bożyszczce,
I jak ofiara krwawisz czci twej zgliszczce.
Ciemiężysz ziemię, sama w poniewierce;
Wszystko ci służy i wszystko cię depce;
Masz więcej niż ci przyznają pochlebce,
A gorszaś, niż cię malują oszczerce.
Ty żywem źródłem, ty nicią przewodnią
Złego na ziemi; a byłoby zbrodnią
Ze strony mężczyzn, w twych piersiach jedynie
Widzieć ognisko ludzkiego nierządu,
Wszystkie swe klęski twej przypisać winie,
I w ciebie samą cisnąć kamień sądu.
Póki przed tobą nie staną już inni,
Niż byli dotąd, jak stanąć powinni,
Póki ci prawdą nie splecą w pokorze,
Za tyle wieków takiego skrzywdzenia,
I ja ci mego nie rzucę kamienia.
Jam także nieraz wiódł cię na bezdroże
Gniotącą siłą, lub podłą słabością,
I jam ci dłużny prawdziwą miłością.

Jeślim opity powszechnem zepsuciem,
Łudził cię kiedy rymowanym czuciem,
I strzegąc serca puszczał liche ciało
Na rozkosz z tobą, jak się puszcza nurek
Na oceanu falę rozbijała,
Lub ptak, co w burzy doświadcza swych piórek:
A ptak i nurek, by poigrać tylko
I wrócić, skąd się puścili przed chwilką...

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

Jeślim cię kiedy jak narzędzia użył,
Jeślim ci kiedy jak niewolnik służył,
Jeżelim kiedy na ciało wywabił
Ducha twojego, a potem go zabił;
Jeślim tak grzeszył, ciesząc się nikczemnie
Żeś ty nie lepsza, że się wywzajemnię:
Chcę dług tej krzywdy spłacić naostatek,
A co dziś daję przyjmij jak zadatek.
Płacę ci prawdą. Są to tajemnice,
Którym wyczytał w nieziemskiej kronice.
Może strój sztuczny przygasił ich czystość,
Lecz pod zmyśleniem tem jest rzeczywistość.
Czy ten wypadek wchodzi w dzieje ziemi,
Czy innej gwiazdy? Ja sam nie wiem tego;
Dość, że się wiąże z prawami naszymi
I stawi prawdy ważne dla każdego.
Wiek milion osiemsetny trzydziesty i wtóry
Od chwili jak anielski Bóg utworzył chóry,
Smutny wypadek wśród boskiego grodu,
Okropne skutki anielskiego błędu;
Rozbicie słońca — świat nowego rządu
I utworzenie pokutnego rodu.

Jehowa jaśniał na przyrody tronie,
Niebieska światłość, eteryczne wonie,
Krażyły we mgłach blasku i zapachu.
Nieśmiertelnego hymnu święte tony,
Płynąc przez głosów anielskich miliony,
Brzmiały bez końca po niebieskim gmachu,

Echem bez końca świat oblatywały.
Na jasnej wodzy boskiego spojrzenia,
Płasały światy po głębiach stworzenia:
Brzmiący, promienny, błogi był świat cały.
O sto miliony milionów promieni,
I dwieście taktów archanielskich pieni,
I pięć dziewiątych pod boskimi grody,
(Tak mierzą długość na nadziemskiej skali)
Płonęło słońce, pieścідło przyrody;
Tak było piękne, tak miłe to słońce,
Ze je źrenicą Serafina zwali,
Osłaniały je obłoki palące;
Lecz pod tą groźną, płomienną pokrywą,
Rozkwitał skarbiec wdzięków, rajskie dziwol

Taką to ustron, takiej gwiazdy łono,
Dwaj aniołowie wybrali dla siebie.
Tego co czuli, wstydzili się w niebie;
Dla wynurzenia co czuli do siebie,
Radzi się kryli pod ognia zastoną.

Pan niebios zwrócił gdzieindziej oblicze,
Niesyte Boga, poszły święte chóry
Za jego okiem, za swoim żywiołem;
Tylko dwa duchy spuściły się z góry
I zamknęły się w słońce tajemnicze,
Anioł potęgi z miłości aniołem.
Z ócz Serafina płynęły słodycze,
Duma sępiała nad Cheruba czołem;

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

Ten chmurno patrzył ku boskiej stolicy,
Tamten wciąż szukał Cheruba żrenicy.
Ujął go wreszcie w ogień skrzydeł złoty,
I pieszczącemi przemówił słowami:
— «Aniele drogi! twoją światłość plami
Jakaś zgryzota? Jakież to zgryzoty
Chwyć się mogą niebiańskiej istoty?
Jakie zgryzoty możesz kryć przedemną?
Aniele drogi, otwórz twą myśl ciemną.
Przecież tak dawno myśmy nierozdzielni,
Jak te na barkach naszych dwa skrzydełka,
Jak te na czołach naszych dwa światełka,
Jak pienia, które nuca nieśmiertelni
W wiecznym i jednym leją się łańcuchu,
Tak i my ściśle spojeni duch w duchu:
Dla czegoż dzisiaj tę jedność rozrywasz?»

— «Co? ty mnie wzywasz, ach! co ty zachciewasz,
Zawołał anioł potęgi słów gromem:
Ale, stało się!... twoja chęć rozkazem!
Musi, musi być i tobie widomem
To czarne brzemię, które w sobie noszę,
Niech co chce będzie, nam zawsze być razem...
Kiedyś nie było nad nasze rozkosze,
Wtedy dość było, o niebios ozdobo!
Twoim całunkiem usta moje skropić,
W twojego oka blasku się utopić,
Ażeby niebios nie widzieć przed sobą;
A tem się czuciem anielskiem rozpałał,

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

Alem Jehowę nad wszystko wychwalał.
A dzisiaj... słuchaj: nie dosyć mi nieba,
Nie dosyć Boga, dziś mi więcej trzeba.
Ja byłem świadkiem, kiedy boskie tchnienie,
Miało świat nowy wyrzucić w stworzenie,
Kiedy na nowe Bóg pracował dzieło,
Gdy ono w jego łonie się poczęło.
Co się tam działo i mnie owionęło,
Tego i anioł wystawić nie w stanie.
Sam Bóg zdał mi się w nadboskiej przemianie
Rozlać w dwa bóstwa: tworzące i rodne!...
Odtąd znam rozkosz w swych dziełach się mnożyć;
Odtąd klnę nasze pieśczoty bezpłodne;
Odtąd rozpaczam, pragnę jak Bóg tworzyć,
Choćbym miał tworzyć widziadła nicości!...

Serafin, jeniec nieprawej miłości,
Słuchał tej mowy w natężeniu cichem,
Nie zdrzął zgrozą — zapalił się grzechem:
— «Dzielę twe czucia, twoje żądze dzielę,
Dzielę twą wieczność mój luby aniele!».
Jehowa zdawna widział duchów skrytość
I myśl bluźnierczą gromem gniewu mierzył:
Dzisiaj o słusność trąciła się litość,
Słusność przemogła, wyprysnęła kara:
Potężną stopą o słońce uderzył,
Gdzie przebywała winowajcza para;
Słońce prysnęło, a grzeszni anieli,
Taki dla siebie wyrok usłyszeli:

— «Duchu! któremu niewinność anielska
Była ciężarem, precz z mego oblicza!
Bóg cię ze swoich grodów wydziedzicza
I przyodziewa w pył wiotkiego cielska.
W niem tworzyć będziesz, jakieś tego żadał,
A ród podobny tobie, ród pokuty.
W niem będziesz mieszkał i tarzał się póty,
I póty niebios nie będziesz oglądał,
Póki nie spalisz twojego pokrycia
Łzami boleści: póki skrzydła skruchy
Nie wzniosą ciebie między bratnie duchy;
Póki nie przeklnie płód twego nasienia
Tak wdzięcznej tobie zdolności tworzenia;
Póki jej sam się nie zrzeczesz użycia.
I ty grzesznego anioła spółniku,
I ty Serafie będziesz los ten dzielił.
Wyrzucam ciebie z moich duchów liku,
Ześ twór, nad Twórcę kochać się ośmielił.
Występny grzechem nieprawej miłości,
W teje miłości znajdziesz twoje kary:
Kochaj przestępcę nad wszystko, bez miary,
A miej niewdzięczność zamiast wzajemności.
Miłość jedynie twem wsparciem zostanie,
Przed groźnym, dumnym twej miłości celem.
Anioł, co w grzechu ściąga cię otchłanie,
Będzie twą męką i moim mścicielem:
W nim twoja kara i zbawienie twoje.
Cierpcie oboję i twórzcie oboje,
Aż razem czystość odzyskacie swoje!»

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

Kronikarz pisał snąc w wielkiej boleści,
Bo wyrok boży skończył ledwo w treści.
Pierwsza tam wzmianka, jak o rzeczy nowej,
O dwóch płciach różnych, męskiej i niewieściej;
A całą powieść kończy temi słowy:
«Część stopą boską odbita od słońca,
Środek strasznego duchów przewinienia,
Jest ich siedzibą aż do kary końca,
I usuniona z Jehowy spojrzenia,
Będzie pół bytu tonąć w głębiach cienia,
A pół, żyć światłem ze swojego słońca».

W końcu przypisek jest pod paragrafem:
Biedna istoto, grzeszna przez kochanie,
Nie zapominaj żeś była Serafem;
Zmieniaj kochaniem w raj nasze wygnanie.
Niech twoja czystość łagodzi męczarnie
Twego anioła, czas kary mu zmniejsza;
Za to znów Bogu będziesz najpiękniejsza,
Za to cię miłość aniołów przygarnie!

BRANKA LITWINA.

No, no Laszko, dość jęku!
Nie płacz, nie mdlej w mem ręku,
Wszyscy na koń już wsiedli,
Wszyscy brańców powiedli,
Jaż mam z tobą czas trwonić,
Bym ich nie mógł dogonić?
Czy cię zabić, bym z bitwy,
Z niczem wrócił do Litwy?

Nie, nie, prosisz daremno,
Żywa musisz iść ze mną.
Dalej, śmiało! siądź w podłę,
Na słomianem mem siodle!
Bystry koń mój ze Żmudzi,
Swym cię biegiem nie strudzi;
A przed wiatrem na łonie,
Wilczą burką osłonię.

Dalej, sercem ochoczem!
Nie masz płakać tu po czem.

A. E. ODYNIĘC.

Patrz, twój piękny dwór biały
W ogniach stoi już cały.
A ów Laszek twój młody,
Co na koniu w zawody,
Chciał cię unieść przedemną,
Chciał obronić daremno,
Wierz mi, w zimnym swym grobie,
Nie zatęskni po tobie.

Patrz no, patrz no, jak zbladł
Jak nieżywa upadł.
Żal jej brać mię zaczyna,
Taka piękna dziewczyna!
No, przyjdź tylko do siebie,
Sam dbać będę o ciebie.
Po nad brzegiem Zejmiany,
Mam ja zamek drewniany,
Pełne grunta i pełny
Śpichrz kądzieli i wełny.

Tam nie będzie ci smutno,
Przez dzień będziesz tkać płótno,
Wieczór w gronie swych dziewczek,
Przędząc, słuchać ich śpiewek.
A jak syn mój jedyny
Wróci z pruskiej krainy,
Któż wie, gdy cię polubi,
Może nawet zaślubi.

Mało równych mu w Litwie,
I na ucztach i w bitwie.
Nie dziewczyna, nie gaszek,
Jak ów piękny twój Laszek.
Wzrost jak dębu wyniosły
Cały czarno zarosły,
Wzrok jak gdyby Perkuna,
Błyska ogniem pioruna,
A niech zginę, gdy kłamię,
W ręku sztabę rozłamie.

Ho! już płakać przestała!
Ogniem płonie twarz cała;
Czy dziękujesz, czy prosisz,
Że tak w niebo wzrok wznosisz?
Skąd z tak z nagłym pośpiechem,
Siadasz na koń z uśmiechem?
No, no — przytul się do mnie,
Zarzuć ręce koło mnie,
Tak, tak — teraz już mogę
Ptakiem puścić się w drogę.

Skądże znowu to drzenie?
Co tak patrzysz w płomienie?
Cóż, że jedziem koło nich?
Wszak nie wepchnę cię do nich.

Ha, ha! stój, stój! zuchwała!
Z konia mi się zerwała;

A. E. ODYNIC.

Lecz nie ujdiesz pogoni,
Lub cię strzała dogoni.

Ale gdzie cię strach żenie?
Czekaj, nie leć w płomienie,
Przez Perkuna, nic tobie,
Za to złęgo nie zrobię!

Ani słucha szalona!
Leci wzniosłszy ramiona...
Prędej koniu już blisko,
Spiesz, nim wskoczy w ognisko!

Spiesz, lecz gdzież się podziała?
Ha! to suknia jej biała,
W pośród gruzów zwałonych,
Miga w ogniach czerwonych!

Jakem Litwin, dziewczyna
Warta była Litwina;
Spaliła się, a szkoda,
Była piękna i młoda!

DZIEWCZĘ I GOŁĄB.

Ach! ty mój miły,
Ach! ty mój mały,

A. E. ODYNIĘC.

Achl ty niewdzięczny
Gołąbku biały.

Gdybym tak chciała,
Całować kogo,
Czyżby z rąk moich
Rwał się tak z trwogą?

I mnież to przyszło
Żądać daremnie,
By mnie ktoś raczył,
Kochać wzajemnie?

A przecież czuję,
Choć mną tak gardzi,
Że go z dnia na dzień
Kocham tem bardziej.

Czyż i od ludzi,
Jak od gołębia,
Tak obojętność,
Serc nie oziębia?

O! o! po nici,
Dochodzę kłębka:
Toć i ja będę
Brać wzór z gołąbka.

Im który tkliewiej,
Tem ja z nim hardziej:



A. E. ODYNIĘC.

Aż będzie musiał,
Kochać tem bardziej.

Lecz niechże zgadnie
Komu dokuczę,
Że się srogości,
Z gołąbka uczę!

MÓJ ŚWIAT.

—

Lubał gdy mnie wesołość i szczęście otoczy,
Czemuż odgłos wesela mych cierpień nie płoszy,
Czemuż zwracając wkoło obojętne oczy,
Stoję, jak smutny cyprys wśród gajów rozkoszy.

A gdy jestem przy tobie, kiedy widzę ciebie,
Wnet i szczęście i radość w mem łonie ożyje;
Dusza moja ulata po nadziei niebie,
Okno me żywiej płonie, żywiej serce bije.

O luba! tak, bo dla mnie dzisiaj dwa są światy:
Jeden obszerny, pusty, kędy ciebie niema,
Tam zgasł dla mnie blask słońca, tam powiędły kwiaty,
Tam smutno, tęskno, wieczna tam panuje zima.

Drugi, jest ustroń mała, od ludzi daleka,
Ustroń, gdzie ty przebywasz anielska istot!o!
Do niej wzdycha me serce, do niej myśl ucieka,
Pozbawiona nadziei, dręczona tęsknotą.

KONSTANTY GASZYŃSKI.

Tam uśmiecha się szczęście, tam niebo ci sprzyja,
Tam nową codzien szatę przywdziewają drzewa,
Tam wiosna codzien świeższe róże ci rozwija,
Tam ptaszek czulszą codzien piosenkę ci śpiewał

Samotny, po tej tylko błąkam się ustroni,
Jak wygnaniec od reszty świata oddzielony;
A gdy los i tej jeszcze rozkoszy mi wzbroni,
Niestety! gdzież się zwrócę, w które pójde strony?!

DO MŁODEJ DZIEWICY.

Widząc nieraz twe oczy uroszone łzami,
Pytałem się, na jakich rozkoszach ci zbywa?
Tyś mówiła, smutnemi zajęta myślami:
«Płaczę, bom nie jest szczęśliwa!

«I gdy chcę zbadać moją duszę udręczoną,
«Nieraz matka z dobrocią przed siebie mnie wzywa,
«Głos skona mi na ustach i lica zapłoną:
«Płaczę, bom nie jest szczęśliwa!

«Jeśli piosnka słowika śród gaju mnie wzruszy,
«Nie wiem dla czego zaraz i smutek przybywa;
«Nie pojmuję nagłego wzruszenia mej duszy:
«Płaczę, bom nie jest szczęśliwa!» —

KONSTANTY GASZYŃSKI.

Dziewico! smutki twoje niedługo przeminą,
O! nigdy taka rana niezgojną nie bywał
Czułe serce, wiek młody, są też twych przyczyną:
Kochaj! a będziesz szczęśliwał



MAURZY GOSŁAWSKI.

MIŁOŚĆ.

—

Znasz istotę, co mianem chrzczono ją chaosu,
Znasz niepojętą losu zawiłość?
Nad chaos, nad zawiłość niepojętą losu,
Stokroć niepojętsza miłość!

Wiesz jak dotknięta laską proroka,
Śród suszy i spieki,
Źródłem z twardego łona trysnęła opoka?
Tak za rozkazem lubego oka:
W duszy płyną życia rzeki!
Lecz jak przegniłymi słoty,
Głucha kona jesień:
Tak ćmi duszę mgła tęsknoty,
Po rajskiej chwili uniesień.

Gdy śród nocy błyskawica,
W niebios stropie przedrze wyłam:
Chcąc anielskie ujrzeć lica,
Myśl i oko tam posyłam.

MAURYCY GOSŁAWSKI.

Próżny zapęd! niedługo złudzeniem się pieszczę.
Powraca noc nieużyta,
Znowu oko w więzy chwyta,
I aniołom nie ujrzał i ciemniej mi jeszcze!
Jak błyskawic blask zwodniczy,
Tak ona nam przewodniczy.

Aż gdy na skryte skały wpędzi cię jej flaga,
Łódka pękła, nadziei wybawienia niéma,
Próżno łzawemi ku niej spoglądasz oczyma,
Wytrwałość jej nie złamie i łza nie przebłaga.

Gień! lub krwi twojej okupem,
Bij się po nagim szkarpie,
Bij się wiecznym fali łupem,
Nim odwrotnym bałwan słupem,
Pchnie cię w wiry i rozszarpie!

Bolesne dni moich dzieje,
Stoją w zapłakanem oku!
Widziałem mej młodości olbrzymie nadzieje,
Jak konoły przy jej boku.

Choć otwarta była przepaść,
Miłość wiodła... mógłżem nie paść?

Chwile piękne, chwile lubel
Wy! których mię wspomnienie zachwyca i mami;
Niechaj patrząc obecny na waszą zagubę,
Raz jeszcze westchnę nad wami!

MAURYCY GOSŁAWSKI.

Raz jeszcze, nim zniszczenia zagarnione falą,
Zaginą obrazy wasze;
Te ognie niepożyte co mi duszę palą,
Strumieniem łez mych ugaszę.

Napróżno! uniesione bezpowrotną rzeką,
Znikły gdzieś pochłonięte daleko, daleko...

I dusza cierpień niesyta,
Wrywa się za nimi w tamte drogie kraje;
I oko tam przybite i myśl tam przybita,
Odjąć się stamtąd nie daje.
A gdy przyjdzie noc wieczna zamknąć mi powieki,
O! jeszcze będę patrzył na tę lubą stronę,
I ostatnie spojrzenie nad nią zawieszone,
Zostanie nad nią — na wieki!

CZARY.

—

To są czary, pewno czary,
Coś dziwnego w tem się święci;
Dobrze mówi ojciec stary:
Robię — gadam -- bez pamięci!

W każdym miejscu, każdą dobą,
Idę w lasy czyli jary:
Zawsze widzę ją przed sobą...
To są czary, istne czary!

Czy pogoda sprawia ciszę,
Czy wiatr łamie drzew konary:
Zawsze, wszędzie głos jej słyszę!
O! to pewno, pewno czary!

W dzień się myślą przy niej stawię,
W nocy kształt jej biorą mary:
Ona przy mnie w snach, na jawie...
Jestem pewny że to czary!



STEFAN WITWICKI.

Gdy z nią śpiewam — czuję trwogę,
Gdy odejdzie — żal bez miary;
Chcę być wesół — i nie mogę...
Ani wątpić, że to czary!

Na to miłe słówka rzekła,
Przywabiła mię do domu,
By zdradziła, by urzekła...
Ufaj że tu teraz komu!

WINCENTY POL.

POLKA.

—

Do późna wczoraj słyszałam działa,
A przez noc całą psy wyły,
Nad samem ranem gdym się zdrzemała,
Trzy mi się krzyże przyśniły.

Jeden na północ wbity daleko,
Drugi na obcej stąd ziemi,
Trzeci nad grobem i krwawą rzeką,
Niby pomiędzy swojemi.

Pod nim człek jakiś leżał przebity,
Zmarły, czy bolem wybladły;
A gdym wetchnęła, pękły błękity,
I perły z nieba upadły...

Upadły deszczem na moje łożo:
Spojrzałam w okna, — dzień duży;
Lecz perły... krzyże... O! wielki Boże!
Ten sen niedobrze coś wróży.

WINCENTY POL.

Co nocy niebo łunami płonie,
Codziennie słońca wschód krwawy;
Ach! straszno spojrzeć ku tamtej stronie,
Kędy się ważą te sprawy!

Gdy się po bitwach myślami noszę,
Strasznie się wloką godziny,
Wówczas ja Boga ze łzami proszę,
By mi dzień ulżył jedyny.

Mija... noc idzie... lecz nie w mej mocy
Usnąć, choć głowa się schyla,
Coś niby chodzi, stuka po nocy,
A zegar staje co chwila.

I bez wytchnienia trwoga jednaka,
Że się już w łonie nie mieści;
Gdyby list jaki, gdyby wieść jaka...
Nie, nie chcę, nie chcę tych wieści!

Bo choć zwycięstwo naszym dziś służy
Choć ojciec gani mą trwożę,
Ja się z tych wieści cieszyć nie mogę,
Bo mi coś serce źle wróży...

Już w boju legło tyle tysięcy,
A ileż jeszcze nie zginie?
Ach! czy też więcej, czy też krwi więcej,
Za ziemię naszą wypłynie?

WINCENTY POL.

POLSKIE DZIEWICE.

(Z PIEŚNI O ZIEMI NASZEJ).

—

Trzeba widzieć, co za żywość,
Młodych Polek i uroda!
Tam wzrok szczery, tam poczciwość,
Tam po Bogu dusza młoda.
Boć to w cnotie i szczerocie
W wiejskim domku uchowane,
Wypieszczone, umuskane;
Niby dumne i dostojne,
A potulne jak trusiątko!
Niby dworne a pokorne,
Jakieś takie bogobojne,
Niby jakie niebożątka!

Myśl ich cicho w życiu świeci;
Pełne życia jak nadzieje;
Lubią pieśni, tańce, dzieci,
Wiosnę, kwiaty, stare dzieje.

Gdy wesołe — istne trzpiotki
I wiewiórki i szczebiotki!
Lecz gdy w smutku myśl zagrzebie,
Wówczas Polka taka rzewna:
Iż uwierzysz, że jej krewna
Najsmutniejsza z gwiazd na niebie!
Choć człek duszy jej nie zbadał,

WINCENTY POL.

Wkoło serca tak tam prawo,
Tak rozkosznie i tak łzawo,
Jakbyś grzechy wypowiadał.
A gdy uśmiech łzę pokryje,
I dla ciebie serce bije,
To cię dojmie tak do żywa,
Iż to cudne, cudne dziwa,
Że ci serce nie rozpułynie,
Że od szczęścia człek nie zginiel
Zda się, że to żyjesz społem
Z rajskim dzieckiem, czy z aniołem.
Lecz to szczęście nie tak tanie,
Przeboleje dusza młoda;
Jednak lat i łez nie szkoda,
Boć raz w życiu to kochanie.
A jak ci się która poda
Z całej duszy i statecznie:
To już twoją będzie wiecznie.
I w ład pójdzie ci z nią życie,
Bo twej duszy nie wyiębi:
Ona sercem pojmie skrycie,
Co myśl wieku dźwiga w głębi:
Co się w czasie zrywa, waży,
To w rumieńcu na jej twarzy,
Jak w zwierciadle się odbije,
Bo w tem łonie przyszłość żyje.

WINCENTY POL.

ZALECANKI.

(Z PAMIĘTNIKÓW B. WINNICKIEGO).

—

Pamiętam, w Nieświeżu przepędzić zapusty
Zjechała tam była pani Sołtanowa,
A razem z jej dworem, panna respektowa.
Ej! panna jak łania i wdzięczna i składna,
Kochana Staniecka! a ładna bo ładna!
Bo co to za buzia, za rączka, za nóżka,
Do tego dołeczki w jagódkach, a mrużka!
Jak mrugła ślipkami, zginąłem z kretesem!
Lecz trudno iść było do panny obcesem;
Bo było to dziecię pieszczone i ważne,
Szły za nią klejnoty i włości posażne,
I perły kosztowne i dziwna uroda,
Do tego we wstydzie chowana — a młoda!
Więc pono z tą panną patrzano wysoko;
A przecież jam spostrzegł, żem pannie wpadł w oko,
I oczko zaproszył i serce poruszył.

Śpiewała z partesem, jak mówię «bez ale» —
Grywała też także na klawicymbale,
(A nie tak bezbożnie jak dzisiaj śpiewano);
Ja miałem też także talenta ukryte:
Scholarów Piarum rękę formowaną,
Łacinę też także znałem expedyte!
I kiedy kapelan innego pominie,

Mnie zwykle z powagą witał po łacinie:
— «Bonum mane, frater Mariane!»
Do panien tam wprawdzie łaciny nie trzeba,
Lecz rośnie stąd zawsze u ludzi estyma,
Gdy widzą, że w szkołach nie psował człek chleba.
Do panien dość tego rozmawiać oczyma,
W taneczku przyśpiewać, bo lubią dziewczeczki
Chociażby z klasztoru, światowe piosneczki.

Więc panniem światowe piosneczki pisywał,
A czasem panience w taneczku przyśpiewał,
Coś podał, posłużył, przymówił, pokłonił,
I niby nie za nią, a za nią pogonił.
I długośmy z sobą tańczyli, gadali,
Aż przecie sam na sam zastaję ją w sali.
Więc zbliżam się do niej w strzelistym upale,
A grała, jak na to, na klawicymbale.
Więc naprzód wysyłam komplement a walny,
A za nim w też pędy i afekt kordjalny!
Ja prawię, a panna nie wstaje z siedzenia,
I widzę, że nie ma coś do mnie zbrzydzenia,
Bo słucho; więc bliżej i żwawiej i w rączkę!
Ba w drugą! a w drugiej uczułem już drzączkę;
Więc w ramię! i widzę że wzrok coś niesrogi,
Więc w oczko i w pysio! — skoczyła i w nogi,
A ja wpół! Stanęła, coś trochę się zrywa,
Lecz przecie wyznała, że mi też niekrzywa.
I odtąd jam Zuzię już skrycie widywał,
I prawię na uszko, a w tańcu nie śpiewał.

Po trzykroć wracała pani Sołtanowa,
A razem z jej dworem panna respektowa;
A ilekroć wraca, ja znowu do Zuzi!
Bo rajskie tam były słodycze w tej buzi!
I święte to było tam życie, mój Boże...

.....
I byłbym tam siedział po dziś dzień, Bóg świadek,
Gdyby mi nie licho nadniosło przypadek:
Raz czekam, w krużganku puknęło coś korkiem,
Jak zwykle Staniecka wybiegła wieczorkiem;
Miesiączek przyświecał, siedzieliśmy sami,
Nie widzimy, nie słyszymy, aż książe przed nami —
I woła:

— «Przepraszam, niech aśka też siedzi!
Zapewne chcesz aśka jutro do spowiedzi?
Rachunek sumienia, za katy, nie chichy,
Zapewne chcesz żeby przypomniął ci grzechy?»

Staniecka drapnęła, lecz jam stał w kąciку;
— «A jakże cię piszą mości spowiedniku?»
— «Benedykt Winnicki», powiadam w pokorze.
— «Mój panie kochanku! a to być nie może!
A przecież Winnickich na Rusi ja znałem». —
«Bo ja też się z Rusi w te strony przebrałem,
I trzeci rok mija, jak listy oddałem
Od pana Cetnera».

— «Patrz, jak przepomniałem!
A jużto pamięcią Radziwiłł nie grzeszy,
Lecz panie kochanku, cóż ci się tak spieszy?»

WINCENTY POL.

Nie kochasz jak widzę? a ja służę braci! —
— «Ha! rzekłem ja panu: służba wolność traci!»
— «Mój panie kochanku! gdyś taki służbisty,
To muszę zapewne odpisać na listy.
No, odwiedź mię proszę, jutro przy śniadaniu!» —

I odtąd już było po mojem kochaniu!
I rzewnie się wówczas na płacz mi zebrało,
Więc na tę aprensię przepiłem noc całą.

ALEKSANDER FREDRO.

Z ODLUDKÓW I POETY.

—

ASTOLF.

Miłość! miłość kobiety ma wszystko nagrodzić?
Miłoby to nam było tym snem się uwodzić,
Gdyby nie przebudzenie za bliskie niestety!
Wierzysz biedny kobietom, nie znasz co kobiety!
Kocha cię, mówisz, kocha? przysięgać ci będzie,
Życie swoje narazi w szalonym obłędzie,
Puszcza, byleby z tobą, powabem ją znęci,
Spokój, imię, majątek... wszystko ci poświęci;
Wtedy, tylu dowodom raz zaufasz przecie,
Uwierzysz, że nad ciebie nic już niema w świecie.
Pomyślisz, że i cnotą chcą się jeszcze szczyścić,
Musi jak powój drzewa ciebie się uchwycić,
Ale nie! Sama niewie, mniej czuła niż płoża,
Czy jutro kochać będzie tego co dziś kocha;
Ginie, kona dla ciebie... i nie zna po chwili.
Wtenczas, niech się twój umysł wstrzymać ją nie sili;
Twoje prawa są niczem, twój gniew nic nie znaczy,
Z twoich wyrzutów śmieje, cieszy się z rozpaczy.
O! ten, co swoje szczęście połączył z kobietą,
Chwycił gałąź bluszczową nad przepaścią skrytą:
Urywa się i pada, ginie wśród kamieni,
A na górze, blusz bluszczem, znowu się zieleni.

ALEKSANDER FREDRO.

EDWIN.

Podług złej, małej cząstki, całego nie mierzę,
I będę cził płeć piękną póki w cnoty wierzę.
Pierwszy mój uśmiech, usta do kobiety wzruszył,
Pierwszą łzę moją, oddech kobiety osuszył,
Pierwsze słowo, jej mowa kształciła pieszczona,
Do kobietym najpierwej wyciągnął ramiona,
I kiedy w mgłę dzieciństwa matkę poznawałem,
Nie wiedząc co kochanie, kobietę kochałem.
A jeśli później ojca surowe nauki,
Uczyły jak żyć trzeba i cierpienia sztuki,
Jeśli im winien jestem miłość, stałość w cnocie,
Nie mniej mozem jest winien i matki pieszczocie.
Dobroć, miłość, cierpliwość, najświętsze zasady,
Wpajała w młode serce własnymi przykłady,
I poznałem, gdym przejrzał lat młodych ciemnoty,
Ze życie dobrej matki pierwszą szkołą cnoty.
Upodobanie stałe tej samej zagrody,
Gdzie, jakby sen pieszczący przesnuł się wiek młody,
Powab, co z blasku świata i sławy zapału,
W cichy obwód rodziny przyciąga pomału,
Władzą, co lekkim tknięciem duszę naszą budzi,
Drażni, aby nagradzać, by upewnić, łudzi,
I ta pewność, ta pewność, szczęścia czyste zdroje!
Żem zyskał drugie serce, że jest całkiem moje,
Ta pewność, że w dwóch sercach jedno tylko bicie,
Komu winni jesteśmy — jeśli nie kobiście!

ALEKSANDER FREDRO.

DZIEWCZYŃKA.

Dziewcina płakała,
Że powoli rośnie;
Że czas swój marniała,
Przy książce, przy krośnie.
Wyrośla dziewczonka,
Czegóż jej nie staje?
Czy może pierścionka?
Tak się niby zdaje...
Tak jak gdyby w słowie,
Zdradnie podsłuchanem,
Przybyli z młodzianem,
Swaty i družbowie.
I kosy spuszczone,
Spadł wianek na stronę.
Nadobna niewiastka
Kochana, szczęśliwa;
Jednak czegoś zbywa...
Bo gdzieś niby gwiazdka
Nadziei zatłała,
Drży i płonie cała.
Stało się jej zadość,
Szczęście, rozkosz, radość;
Stokrotne uściski,
Stokrotna pociecha:
Aniołek z kołyski,
Mamie się uśmiecha.



ALEKSANDER FREDRO.

A potem? a potem?
Jak z każdym żywotem
Prąd zwrotny, odwrotny,
Któż kiedy policzy,
Szczęścia uśmiech lotny,
I krople goryczy,
Któremi los splata,
Godziny, dni, lata!...
Lecz chwile dziecinne,
Gwiazdeczki rodzinne,
Jak pamiątki święte,
Życ będą w miłości,
Śród serca zamknięte.
Bo czembądź w przyszłości,
Na tym naszym świecie,
Dotknie woła Boża:
Zawsze w życiu przecie,
Najpiękniejsza zorza.

JÓZEF KORZENIOWSKI.

MODŁĄCA SIĘ.

(SONET).

Pięknaś, gdy łono twoje od brylantów świeci,
Gdy włos twój utrefiony i wieniec na czole;
Gdy po szybach błyszczących nóżka twoja leci,
I kibić twa powiewna, w zazdroszczącym kole.

Pięknaś, gdy pośród pięknych, przy biesiadnym stole,
Siedzisz z okiem iskrzącem w uroczym ubiorze;
Taką cię inni wielbią, — ja cię nie tak wolę,
Bo wierz mi, najpiękniejszaś przed Bogiem w pokorze.

Widziałem cię wśród modlitw, kiedyś w skrusze cała
Tak pilnie na pobożnej książeczce czytała;
Nie patrzyłaś na ludzi, myśl twa była w niebie.

O! niewinna grzesznico! czemuż, gdy z uśmiechem
Oko twe nie strzelało, — napełniałaś grzechem
Serca tych, co się wtenczas modlili do ciebie?

DUSZA KOBIETY,

—

Widziałem duszę poety wielką,
Leżała u niebios proga;
I była tylko rosy kropelką,
W obliczu Boga.

Widziałem duszę mędrca niepojętą,
Leżała u niebios proga;
I była perłą na wpół rozciętą,
W oczach Boga.

Krółów i panów dusze widziałem,
Gdy dumne w niebie leciały;
Lecz były tylko proszkiem tak małym,
Jak świat ich z nieba był mały.

Lecz była dusza: dusza kobiety,
Ta wieniec cierpień niosła u czoła;
Była większa od duszy mędrca i poety,
Była tak wielka jak dusza Anioła!

J. I. KRASZEWSKI.

CZY POWRÓCI.



Matuleńku, on nie wróci,
On pojechał w obcą stronę,
On zapomni i porzuci,
Biedne dziewczę opuszczone!

Patrzę co wieczór na drogę,
Patrzę na drogę co ranka,
Czemu zapomnieć nie mogę,
Albo zobaczyć kochanka!

Rano jemu zbieram kwiatki,
Wieczór czekam na jagody,
I stoję na progu chatki,
Zawsze sama, tak jak wprzód!

W nocy ledwie pies zaszczeka,
Zrywam się, szukam oczyma,
A serce bije i czeka,
A jego niéma i niéma!

Może jutro... Jutro wschodzi,
Ja biegnę znowu na drogę,
I jutro całe przechodzi,
Doczekać się go nie mogę!

O! święty stróżu aniele!
Doprowadź go przez bezdroże,
A ja ci w naszym kościele,
Wianek i świecę położę!

KAROL BALIŃSKI.

KWIAT PAPROCI.



Jest ziele, ziemia żywi je nasza,
Kwitnie tajemnie w dzikiej ustroni,
I wszystkie inne kwiaty przygasza,
Cudnością blasku, pięknnością woni;
Lecz piękniej woni, cudniej przyświeca,
Życiu młodziana — miłość kobięca!

Kto w świętojańskiej zejdzie je nocy,
Uszczknie w kwitnieniu, wszystko posiędzie;
Bogactwa świata są w jego mocy,
Wszystko ukryte — widnem mu będzie.
Przecież bogatszy, komu zapłonie
Miłość prawdziwa, w kobiety łonie!

«Ha! kwiat paproci, to urojenie...»
Woła ze śmiechem uczonych krocie;
Przecież lud wierzy w kwiatu istnienie,
Wierzy i szuka w serca prostocie.
Jak lud nasz w paproć, tak młodość płocho,
W kobięcą miłość wierzy — i kocha!



KAROL BALIŃSKI.

O! i jam kiedyś wierzył z zapałem!
Dziś, jam się rozstał z wiarami memi...
Bo też grzech kochać, jak ja kochałem
Boską miłością, stworzenie ziemi.
Lecz wy, o bracia! stalsi w dążeniu,
Kochajcie, wierźcie! — Szczęście w złudzeniu.

CO SIĘ PRZYŚNI.

—

Jeszcze chwilka, o dziewico!
Na dobranoc oczkiem błysnij,
Niech cię słodkie sny pochwyć:
Co się przyśni, to przyciśnij!

Może piesek ulubiony,
Kosz cukierków albo wiśni,
Może jaśnie oświecony...
Co się przyśni, to przyciśnij!

Może jeńcy starej daty,
Podagryczni lecz korzyśni;
Może kwiaty lub dukaty:
Co się przyśni, to przyciśnij!

Może zbrojny but w ostrogi,
Może ci się nawet wyśni
Ten, co drogi lecz ubogi:
Co się przyśni, to przyciśnij!

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

Bał czy chatka, którą marzą
Wierszokleci nierozmyślni,
Lub zwierciadło z własną twarzą:
Co się przyśni, to przyciśnij!

Gdy otworzysz piękne oczy,
Snów z pamięci nie rozprysnij,
Bo w nich będzie sen proroczy:
Co się przyśni, to przyciśnij!

NIE KOCHAJ MNIE.

Ty mię nie kochaj, będzie nam swobodniej,
Modlić się wzajem jako przyjaciele.
Na co nam miłość? jam swobodny od niej,
Bez zgryzot serca twe losy podzielę.
Chcę ciebie widzieć i cieszyć się głośno,
Ścisnąć twą rękę nie drażniąc nikogo,
Nie jątrząc czyjaś żrenicę ukośną,
Wyznać otwarcie, że mi jesteś drogą.
Chcę w twoich chwilach smutku i niedoli,
Czuwać nad tobą i westchnąć głęboko,
Śmiało zapytać: — «ach, co ciebie boli?»
I łzy twe otrzeć i rozchmurzyć oko.
Na mojej drodze, gdzie cierniska dosyć,
Kiedy mię zrani latorośl kolczata,

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

Chcę głosem pewnym o ulgę poprosić:
«Spiesz przyjaciółko poratować brata»!
Wtedy się twojem podeprę ramieniem,
Bez bicia serca, radośnie i zimnie;
Świat się nie zgorszy, my nie zarumienim,
Choć ja przy tobie, choć ty będziesz przy mnie.
Niech drogi życia przy tobie przechodzę,
A kiedy podróż ukończy się słodka,
Niech oko nasze na ubiegłej drodze,
Żadnych wyrzutów sumienia nie spotka.
Dręcząca miłość czyż dla nas zapewni,
Ufnej, niewinnej przyjaźni rozkosze?
Bądźmy jak bracia, przyjaciele, krewni:
Na co nam miłość? — Nie kochaj mię proszę!

PIOSNKA WIEŚNIACZKI LITEWSKIEJ.

Kiedy smutno roję,
Kiedy cierpię wiele,
Gorzkie smutki moje,
Z kim ja was podzielę?
Któż mój ból uleczy?...
Próżno głos swój trudzę:
Zimny ród człowieczy,
Na boleści cudze.

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

Czy cię matce zwierzę?
Lękam się jej złości;
Powiem siostrze szczerze:
Siostra pozazdrości...
Brat nie pojmie rzeczy...
Próżno głos mój trudzę;
Zimny ród człowieczy,
Na boleści cudze.

Gdy mi duch upada,
Kiedy łza się leje,
Sąsiadka ogada,
A sąsiad wyśmieje.
Któż się śmiać zaprzeczy?
Próżno głos mój trudzę:
Zimny ród człowieczy
Na boleści cudze.

Luby mój, jedyne,
Cała ma otucha,
On dumkę dziewczyny,
Zrozumie, wysłucha!
On ból mój uleczy,
Głosu nie utrudzę...
Zimny ród człowieczy,
Na boleści cudze.

POLKA,



Dla harfiarzy dwóch, wieniec jedyny,
Jeden laur dla dwóch śpiewaków.
Lud się z całej gromadzi krainy,
Polot pieśni sądzić, jak dwóch ptaków.
Starcy, męże i hoże dziewczyny,
I książęta w cieniach swych szyszaków,
Ucichnęli — a była treść wierszy:
Piękność Polki. — Tak śpiewak wszczął pierwszy.

1.

Nie, ty się próżno wysilasz przyrodo,
Na tworów wdzięki, na wdzięków koronę,
Fijołki, wzrósłszy nad błękitną wodą,
Przy jej źrenicach bledną zamyślone.

Gwiazdy jasnością zrównałyby może,
Lecz, niższe barwą i łzom niedostępne;
Bławatki z wstydem ukryły się w zboże,
Nieznane woląc być, niżli występne.

Maliny z mlekiem tej nie dają kraszy,
Którą dziewicze jej lica się zdobia;

CYPRYAN NORWID.

Nad księżycowy blask łona atłasy,
A sploty same wdzięcznymi się robią.

Pereł sznur, w czystej oprawie z koralu,
Do jej się równać ust gdyby powążył,
Zgasłyby perły jak mętność opali,
A koral pierwej tchnieniem by się sparzył.

Całego nawet pełnią arcydzieła,
Wszech wdzięków nawet harmonią i zgodą,
Próżnobyś jej się wyrównać podjęła,
Ty, najpiękniejsza, lecz po niej — przyrodol

* * *

Tu zakończył on — alić wzruszenie
Rękę mając jako okłask długa,
Podało mu nią laur, za natchnienie;
Gdy drugi wszedł śpiewak stroną drugą,
Harfę wlokąc swą... Czy zniechęcenie
Czy może był dnia onego chory?
Ucichnęli — i tak zaczął wtory.

II.

Gdzie wnijdzie i gdzie postawi stopę swoją,
Nie oglądają się ludzie zadziwieni,
Lecz jak stali pierwej, stoją.
Potem, niby ocknieni,

CYPRYAN NORWID.

Czują więcej światłości wokoło siebie,
I rozpowija im się powoli w oczach,
Jako jutrzienka na niebie,
Odbłysek na jej warkoczach.

Ale włos jakiej ma barwy? — zapomniałem,
Ale oko? — nie wiem doprawdy czy modre:
Jeżeli to gdzie pisałem,
To odszukam i podrę.

Wiem, że od wierzchu jej ramion do sandału,
Każda fałda głównemu służy skinieniu,
Jak zdrowie służy ciału,
Co wypoczywa w cieniu.

Ale ile jest białą jej płeć? — ani wiem,
Ani koral ust, nie pomnę jak namiętny!
Śmiech: nim żywy słowa tchem
Pythagorejsko smętny.

Męczennicy nieco w jej skroń nakłonieniu,
Ale w szerokości czoła coś Platona;
Wzrok dziecka w osłupieniu,
Z iskrą Pigmaliona.

Coś matrony, coś wodza w piersi potędze.
Jak ta Marya, co za wielkich dni Mojżesza,
Podobna psalmów księdze,
Szła przodem, za nią rzesza.

Podobna *Victorii* bosej z laurem w dłoni.
Co skroś obłoków bystro bywa lecąca;
Jak heroicznym koni
Rżenie, do blasku słońca!

Lecz skoro potocznego życia tknie się,
Podobna do ucichłej palmy na stepie,
Nieumyślny cień niesie,
I nie powiada — krzepię!

Ale jakie ma zębów perły? — nie pomnę,
Ani ile jest w rumieńcach ich koralu?
Słowa są wiarołomne...
Skończyłem! nie wiem dalej.

* * *

I tu przymilkł — bowiem śpiewak owy,
Któremu jedyny wieniec dano,
Uniesiony ponad tłumy głowy,
Gdzie swym laurem skinął, wraz klaskano,
Starcy, dziewczki i hufiec bojowy,
I młodzieńcy z tuniką rozwianą,
Jako wielkie morze, w słońca blasku
Szli...

Aż przeszli w historii oklasku.

KORNEL UJEJSKI.

PIOSNKA DO SNU.
(DLA MOJEJ PRZYSZŁEJ ŻONY).



Śpij moje dziecię, matko mych dzieci,
Do mojej piersi przyłóż swą skroń;
Ona twa tarcza,
Ona wystarcza,
Ci do uścisku
Gdy w szczęścia błysku,
Dusza się w duszy stopi i zleci,
A oko w oku, a w dłoni dłoń.

Śpij moje dziecię na mojem łonie,
To twa rodzina i to twój świat.
Na kruchej łodzi,
Pośród powodzi,
Po cichej fali,
Płyniemy dalej.
Ja cię od wichrów pierśią osłonię,
Bo ja twój ojciec, przyjaciel, brat.

Ty z twego tronu piękności, cnoty,
Zesłaś tu do mnie, do moich wrót,

KORNEL UJEJSKI.

Dzielić me troski
I nektar boski,
W złotym kielichu
Swego uśmiechu,
Łać mi do serca co żrą spiekoty,
I krzepić myśli do wyższych cnót.
Dla ciebie pierwsza myśl nieuczona,
Którąm wyroił w dziecinnych snach,
Na ziemi, w niebie,
Wszystko dla ciebie;
Tu moje mienie,
A tam zbawienie,
Dla ciebie wszystko!... Błogosławiona
Chwilo, gdyś weszła pod mój skromny dach.
Śpij moje dziecię — matko mych dzieci,
Niech cię do raju uniesie sen,
Wiarą niezłomnie,
O! śnij tam o mnie,
O mem kochaniu,
I całowaniu.
A kiedy niebo brzaskiem zaświeci,
Wrócić w me objęcia, na padół ten!

SPOWIEDŹ SERCA.

Smutna chwila, ta wieczorna chwila!
Cicha modlitwa usta mi rozchyła.

KORNEL UJEJSKI.

Serce spowiedzią odzywa się z głębi;
Podobna jestem do nocnego kwiatu,
Co swoich marzeń nie objawia światu:
Wzrok mój tak smętny, gołębi.

Z mętów dnia dusza się okołysała,
Znów ona teraz przezroczysta, biała,
Jako toń morską po przebytej burzy.
Snem obciążona nim rżesa opadnie,
Patrzę w toń moją, wszystko widzę na dnie,
Co gdzie zgubiłam w podróży.

Tam leży ślubny, stargany mój wieniec,
Tam, łzami zdawna splukany rumieniec,
Barwę swą przeniósł w koralu powoję;
Tam leżą szczątki z tej łodzi rozbicia,
Co mnie wieść miała przez ocean życia,
Tam leżą perły — łzy moje!

A ja, gdy kruchej chwyciłam się deski,
To mnie mój anioł, mój promień niebieski
Wyniósł do brzegu, pod bramę klasztorną.
Słońce w tem morzu chowało swą głowę,
Razem z mem szczęściem, a dzwony spizowe,
Grały modlitwę wieczorną.

Lecz mi nie dali wypocząć po trudzie,
I znów do świata zepchęli mnie ludzie,

KORNEL UJEJSKI.

Świat mnie otoczył samolubnym krzykiem;
Jak zwiędła palma stanęłam na puszczy,
Bez kropli rosy, bo nikt z całej tłuszczy
Nie mówił moim językiem.

Od tych pamiątek nim dusza odwyknie,
Czasem jak dziecię jeszcze we śnie krzyknie,
Chociaż już boleść na czole się starta
Nieraz się oko weselem rozżarzy,
Nieraz i uśmiech zabłądzi po twarzy,
Ale ja sercem umarła.

Wszakże ja, Boże! nie skarzę się Tobie,
Ze mi tak wiosna przelata w żałobie,
Ze mi zdeptano moją wiarę młodą!
Ni ja losowi chcę złorzeczyć kłamnie,
Wszakże kochałam — to już dosyć dla mnie,
Miłość jest w sobie nagrodą.

Choć pamięć o nim pamięci nie warta,
Chociaż ta dusza przez niego rozdarta,
Dawno niewdzięczną pogardza istotą,
Jednak ja Boże, wyznać się nie wstydzę,
Ze w tej miłości moją chwałę widzę,
Miłość, jest zawsze pół cnotą.

Niedbam ja Panie, że w tym wielkim tłumie,
Nikt mej miłości, nikt mnie nie rozumie,

Może ją nawet wyśmieją szkielety;
Że oprócz Ciebie, co znasz ptaków loty,
Chyba mię pojmie mój anioł stróż złoty,
I bratnia dusza poety.

TERKOTKA.

—
Biedaż moja z tą ciotką,
Przezwała mnie terkotką,
Jeszcze mi zawiąże świat:
A mam już piętnaście lat!

Taka plotka z poddasza,
Kawalerów wystrasza,
A kawaler śliska rzecz,
Zagładnie — i pójdzie precz!

Otóż to pora i niezła pobudka,
Wstanę od krosienek, pójdę do ogródka,

KORNEL UJEJSKI.

Niech kukułka powie, czy przy tym narowie,
Prędko pójdę za mąż? — tak, tak!

Ile więc razy kukułeczka kuknie,
To za wiosen tyle wezmę ślubną suknię;
Lecz nim zacznie kukać, trzeba ją wyszukać...
O Jezu najśłodczy! — jest ptak!

Gadajże mi — kuku!
Krucusieńko — kuku!
Już mam dosyć — kuku!
Kukuleńko — kuku!
To ptaszysko — kuku!
W uszach wierci — kuku!
Krzyczące sobie — kuku;
Aż do śmierci — kuku!

Otóż im na złość pójdę za mąż prędko,
Złapię sobie chłopca siatką albo wędką;
Na ptaka konfuzję, wezmę wielką fuzyę,
I wymierzę w ptaka — tak, tak!

Pani zaś ciotka na wstyd i na karę,
Na mem weselu w pierwszą pójdzie parę;
Toż będę chichotać, toż będę terkotać,
Żem już swoją panią — na znak!

HENRYK JABŁOŃSKI.

CÓRA PODOLA.

—

Czarowny uśmiech, łube spojrzenie,
Kwiatku, z jakiegoś ty pola?
Ty Podolanka, o! na zbawienie
Przysięgam, córka Podola!
Toż nasze niebo, pełne uroku,
Słodyczy pełne, lśni w twojem oku.

Melodya śpiewu, niebios a wdzięku,
Dzwoni tak rzewnie, miłośnic;
Nasze słowiki w srebrzystym dźwięku,
Milej nie nuca o wiosnie;
Ty Podolanka, śpiew twój pieszczony,
Zdradzi słowika z jakiej on strony.

Wonny ust koral, różane lice,
Świeże jak ranku szkarłaty;
Tylko podolskie mają dziewice,
Tylko podolskich pól kwiaty;
Po woni poznam różę wśród wianka,
Śród dziewic poznam żeś Podolanka.

HENRYK JABŁOŃSKI.

Przy smutnej piosnce, ocząt niebios,
Widziałem łzami zalane;
Wiosną o zorzy przeczystsza rosa,
Nie zdoła kwiatki różane;
Ty Podolanka — tylko Podole,
Takiemi łzami spowiada bole.

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

Z dni zapału,
Z widzeń tęczy,
Z opalowych snów:
Został jeden sen promienny,
Niby senny a nie senny,
Jeden promyk ideału,
Jedna struna, co mi brzęczy,
Żebym śpiewał znów.

Świat wspomnienia,
Świat uroczy,
Rusańczany świat!
Co przemarzy się, co prześni,
W skowronkowej dzwoni pieśni,
W archanielskie rośnie pienia,
Myśl się wije z gwiazd warkoczy,
Skwita w rajski kwiat.

HENRYK JABŁOŃSKI.

Wszędzie, wszędzie,
Wonie, dźwięki,
I to morze strat...
Wiecznie jasną igra falą,
Łzy w brylanty się kryształą,
To co było, to co będzie,
Choćby nawet ból i jęki...
Zawsze cudny świat!

Cóż dopiero,
Świat zaklęty,
W urok pierwszych tchnień!
I to — *kocham* — to szalone,
Tak serdecznie wymówione,
Że modlitwą było'b szczerą...
Oh! to kocham, ten hymn święty,
Na strój ziemskich pień.

Lat wiosennych
Pierwsza burza,
Pierwszy życia maj!
A te noce, te bezsenne,
Te dni dziwne, jak noc senne,
Ten huragan słów płomiennych,
Ta wypadła z włosów róża,
Początków raj!

Te czuwania,
Deszcz czy słońca,

Czy burza, czy chłód:
By na ciemnym tle firanki,
Ujrzyć błądy cień kochanki,
Potem marzyć do świtania,
Aż marzenia, łzy, tęsknota,
Przebrzmia w senny cud.

W sen na jawie,
W sen niebieski,
W rzeczywisty cud;
Pierwsza miłość, lilja boża,
Gdy zakwitnie wśród bezdroża,
Nie odkwita nigdy prawie,
Aż wypłaczesz łzy do łezki,
Aż się spełni trud...

Choć zwątpiony,
Smutny, błądy,
Upadasz co krok:
Ocienione bożym kwiatem,
Serce wierzy w świat za światem,
W sen prześniony, w cud marzony,
Wszędzie widzi boże ślady,
I nie wierzy w mrok.

GUSTAW ZIELIŃSKI.

NIE MOGĘ BYĆ TWOJA.

—

Jakoś się przypadkiem okno otworzyło,
Lecz oprócz doniczki, nic w oknie nie było.

Ktoś trącił doniczkę,
Księżyc błysł z obłoku,
Odłonił twarzyczkę,
W niej łezkę na oku!
W tem z dalekiej strony,
Ktoś pędzi na koniu,
Sadzi przez zagony,
Aż tętni po błoni;
Staął przy okienku,
Dał znak, skłonił głowę,
I po cichuteńku,
Rozpoczął rozmowę:

— Witaj moja miła!
— Witaj mój jedyny!
— Czyś za mną tęskniła?
— W łzach pędzę godziny!
— Łzy co smutek roni,
Czyż się nie ukoją?

GUSTAW ZIELIŃSKI.

— Matka kochać broni,
Nie mogę być twoją.
— O luba! któż ciebie,
Któż ciebie wzajemnie,
Na ziemi i niebie,
Ukocha odemnie?
— Płoną moje tchnienia,
Więdną dni me błogie,
Czuję twe cierpienia,
Twoją być nie mogę!
— Jak wiosenne róże,
Tak więdną rozkosze;
Ostatni raz może,
O szczęście nie proszę;
Bo z jutrznią różową
Daleką mam drogę!
— Ach! czekaj, daj słowo,
Wszak twoją być mogę! —

Księżyc nic dobrego,
Wyjrzał z za obłoku:
Rozśmiał się z młodego,
I z ciężki na oku.
Co dostrzegł z ich lica,
Co podsłuchał w mowie:
Spytajcie księżycu,
Najlepiej wam powie!

WŁODZIMIERZ WOLSKI.

AKACYA.

—

Młodości ognie i młodości płacze,
Grały mi z oczu twych, z uścisku ręki;
Czy cię zobaczę — czy cię nie zobaczę,
Dzięki za chwile uniesienia, dzięki!

Choćby to tylko było urojenie,
Że dla mnie lśniły skry i łzy w twem oku,
Ja mojej wiary w szczerłość ich nie zmienię,
I kąpię duszę w wiosny twej uroku.

Pomnisz, jak słońce patrzyło ogniście
Na bluszcz, co pnąc się o powoje trąca;
Z boku akacya roztaczała liście,
Jak ty wysmukła i rozkwitająca.

I w niej jesieni tlą jeszcze rumieńce,
Co zachód krwawo ciska po lazurze,
Na grobach tęsknią kwiatów białych wieńce,
Lśni ruń po łanach, mkną chmury i burze...

WŁODZIMIERZ WOLSKI.

**Lecz mnie koły wiosny twojej wdzięki,
Rodzinnem tchnieniem w smętne dni tułacz:
Dzięki za chwile uniesienia, dzięki!
Czy cię zobaczę, czy cię nie zobaczę!**

=====

TEOFIL LENARTOWICZ.

KAPRYŚNA.

—

Boże, mój Boże co mnie się stało?
Wciąż takam smutna, taka nie swoja,
Jakby co złego spotkać mnie miało,
Spokoju niema duszyczka moja.
Myślałam, że mi powiędły róże,
Wyrzrę na ogród, kwitną przecudnie,
Myślałam rano, że przyjdą burze,
Tymczasem cicho przeszło południe.
Najczystszy błękit na całym niebie,
Ani jednego niema obłoczka;
Czego ja smutna, pytam się siebie?
O czym ja myślę i gubię oczka...
Siadam do grania, co wezmę w rękę,
To wszystko mi się zdaje nieładne:
Wezmę mazurka, wezmę piosenkę,
Przewracam, szukam, żadne a żadne.
Otwieram okno, powietrze świeże
Napełnia pokój wonią rezedy;
I to mnie smuci i żal mnie bierze,
Jakbym co złego zrobiła kiedy.

Gdyby to można... Ej, co ja roję?
Gdyby to można... Jak ja dziecina!
Gdyby to można... Ach! aż się boję,
Myślę rzecz taką com niepowinna.
Gdyby to słońce nie tak świeciło,
Ale się błyszczy, że aż mnie mroczy,
A niewiem komu dobrzeby było,
Żeby mu padał blask w same oczy.
Dziewczęta idą zbierać maliny,
Wezmę dzbaneczek i pójdę z niemi...
Niech sobie idą wiejskie dziewczyny,
Ja się zostanę, tak jakoś źle mi.

— Co tobie duszko?

— Ja nie wiem sama,
Suche mam oczy a serce płacze,
Ja nieszczęśliwa, zobaczy mama,
Że ja miłego nic nie zobaczę;
Że ja zmarnuję śliczny wiek młody,
Albo się cała we łzach roztopię,
Puść mnie matuniu, pójdę do wody...

— Czy się utopisz?...

— Nie, nie utopię!

TEOFIL LENARTOWICZ.

ZROZPACZONA.

—

Chodzi dziewczę po ogródku,
Wydeptaną drogą;
Lecz w ogródku pełno smutku,
Bo niema nikogo.

Bez turecki pachnie miło,
Słowik śpiewa w gaju,
Tylko krzyżyk nad mogiłą,
Czerni się na skraju.

Czemuż świecisz słońko Boże,
Czemu pachniesz krzaku,
Czemu śpiewasz piosnki hoże,
Uprzykrzony ptaku?

Spojrzę w jedną, w drugą stronę,
Serce się rozsłocha,
Grządki moje spustoszone,
A serce wciąż kocha.

Wczora tańczyć mi kazali,
A ja myślę sobie:
Ja tańczę w pięknej sali,
A wietrzyk na grobie.

TEOFIL LENARTOWICZ.

Do północy skoczne tany,
Skoń w różanym wianku;
Do północy gwar pijany,
A płacz do poranku.

Nauczała matka stara,
Że należy wierzyć;
Dobra wiara, słodka wiara,
Ale lepiej nie żyć.

Żal poniosę do mogiły,
Serca anioł strzeże,
Na cierpienie dość mam siły,
A w szczęście nie wierzę...

Opuszczone moje krosna,
I życie się dłuży;
Nowe róże wzbudza wiosna,
Ja nie kończę róży...

Złote nici poplątane,
W połowie roboty,
Gdzież słońeczko me wiosniane,
Gdzie mój promień złoty?

Próżno czeka smutna dusza,
Na miłego przyście:
Po drożynach wietrzyk wzrusza,
Przesztoroczne liście,

TEOFIL LENARTOWICZ.

I u fali cichej rzeki
Jak pierwiej nie spocznę...
Odpłynęły w świat daleki
Fale przeszłoroczne...

Z jego okna wiatr odmiata,
Żałobną zastonę:
Biedne serce wciąż kołata,
Co spojrzę w tę stronę.

WSPOMNIENIE.

Tam w ojczyźnie znałem jedną,
Wiesz Leonie, jedną z tych,
Co rumienia się i bledną,
W jednej chwili płacz i śmiech.

Jakie oczka, jaka buzia!
Nie rusałka, wcale nie;
Ona sobie była Józia,
A matka ich miała dwie.

I mieszkali — ot, nie dalej
Bym nie skłamał jak stąd tam:
Druga szła wśród ciemnych alej,
Ach! jak ja tę drogę znam!

TEOFIL LENARTOWICZ.

Każdą kolej półtoraczną,
Każde drzewo z licznych drzew,
Gdzie jak ptaki śpiewać zaczęła,
To wiesz przecie jaki śpiew!

Jak mi serce biło silnie,
Jakem cały idąc drżał...
A zawsze mi było pilnie,
I zawszem coś mówić miał.

A jak przyszło do gadania,
Utnij szyję — ani rusz!
I coś od niej mnie odgania...
— Już to pan odchodzisz? — Już! —

I odchodzę od dziewczyny,
Niby smutny, niby zły;
Gdy ja cierpię z twej przyczyny,
Szkardnico, cierp i ty!

Przystanąłem... żal mi mojej...
Może płacze? wróćmy się!
Patrzę w ogród, ona stoi,
I bez myśli kwiatki rwie.

Naskubała białych laków,
Idzie, gdzie jej z oczu znikł,
Już tak blisko... a ja z krzaków
Jak nie skoczę, — a ta w krzyk!

TEOFIL LENARTOWICZ.

Więc przepraszam z wielką trwogą,
Ze nie chciałem... ale... że...
— Ze nie spotkasz pan nikogo?
— Tak jest pani! — Pewno nie?

Unikając kłamstwa grzechu,
A wiedziałem że to grzech:
Wybąknąłem coś po cichu —
Jakieś głupstwo — a ta w śmiech!

Niegodziwa Józia pusta,
Widząc smutek moich lic,
Białą rączkę mi na usta
Położyła, — i już nic.

Ani znaku, śladu smutku,
Jakby ręką odjął wraz:
Chodzimy sobie po ogródku....
Oto szczęście! To był czas!!

Znasz następnych dni wypadki,
Jednych losów bracia my:
Dziś jak ona rzucam kwiatki,
Niby kwiatki — niby łyzy.

Tylko że nikt na spotkanie
Nie wybiega z cieniu drzew;
I samotna łyza ukanie,
Niesłuchany przebrzmi śpiew!

FELICYAN FALEŃSKI.

KRÓLOWA ZABAWY.

Kazała odejść słudze... i jak siadła
Zdjąć z siebie stroje, tak i u zwierciadła
Została siedząc, niema, marmurowa, —
Tylko ku piersiom schyli się jej głowa,
Spłynęły włosy na białe ramiona,
Ciche westchnienie wybiegło z jej łona.

Gdyby nie suknia balowa, bezładnie
Rzucona na bok, bukiet na pół zwiędły,
I kilka kwiatów co się w sploty wprzędły,
Nie mając chęci wypaść z nich, — któż zgadnie,
Ze tej istocie, zdobnej wdzięki tyłą,
Strój śmiał ozdoby dodawać przed chwilą.

Kwiaty! toż ona sama kwiat uroczy.
Jakiejże wiosny woń jest tak czarowna,
Jak tchnienie ust jej? Jakież światło zrowna
I jakież jedwab, splotom jej warkoczy?
Co jej z koronki wiewnej sieć pajęcza,
Co jej mgła z gazy, z wstążek barwna tęcza!

FELICYAN FALEŃSKI.

Jakież się kamień tak błyszcząco pali,
Jak jasny wzrok jej? Jakież perły w świetle
Tak równe, białe, tak lśniące znajdziecie,
Jakie ma ona w swych ustach z koralu?...

Siedziała milcząc, cicha, nieruchoma,
Twarz osłoniwszy białemi rękoma,
Dumała... o czym dumała dziewczyna?
Czy się jej uszom jeszcze przypomina
Tanecznych dźwięków w mgłach gdzieś wirskrzydlaty,
Zmącony w jedno — jak z wstęgami kwiaty,
Zmącony w jedno — jakby wiatr wesołym
Tchnieniem, we wszystkie struny zabrzmiał społem.

Czy przez czarownych uroków zaklęcia,
Rozkołysany senno duch dziewczęcia,
Kąpie się jeszcze w tej jasnej topieli,
Świąteł, kryształów, przepasek, jedwabi,
Ciepła i woni? a która, jeżeli
Gwiazd-ócz mruganiem w swe objęcia wabi,
To, żeby błogo zadrżeli zwabieni
Westchnieniem kwiatów, i ciepłem promieni,
I zmysłów sząłem, co im z mgły odśłania
Raj uciech ziemskich i przeczucia wieszczę
Rozkoszy życia, — ach! i słodsze jeszcze
Nad wszystkie inne — przeczucie kochania.

Ona dziś była zabawy królową,
Piękną nad piękne. Jednak z wrażeń tyła,

FELICYAN FALEŃSKI.

Gdzież jest wspomnienie, co jak żywe słowo
Pamięci serca wdzięcznie się przymiła?
Z wszystkich chwil pierzchłych, które myśli siłą
Darmo w grobowcach zmartwychwstać przymusza,
Niema nic, coby wybrać rada dusza,
Coby zachować w sercu warto było.

Była królową!... Chlubąz to kobiecie
Być najpiękniejszą z pięknych! a jej przecie
Na samą myśl tę blaski wrażeń błedną.
Bo jej — wybranej — w tej szczęśliwej chwili
Wszyscy tak jedno, tak uparcie jedno,
Tak oklepanie jedno jej mówili, —
Ze rzuconemu na bezsenne łożu
Brzęk much ni trwalej, ani przykrzej dzwoni.

Była królową! W koło niej i do niej
Wszystko się garnie. Niby blask jej skroni,
To słońce gwiazd tych. A jednak w tej porze,
Tak jej samotno, chociaż tłum jest przy niej,
Ze ktoby zdołał wyżyć na pustyni,
To mu samotniej chyba być nie może.

Była królową... Oh! a ileż nędzy
W tem jednym słowie: *najpiękniejsza!* Między
Pięknemi jedna!...

Spojrzała w zwierciadło,
I włosy sobie od skroni odwije,

FELICYAN FALEŃSKI.

A one bujnie spłyną jej na szyję,
I kilka kwiatów z między nich wypadło,
Została tylko róża; snadź najmilej
Z niemi jej zostać, czy im z różą białą —
I rzecz to dziwna, lecz się jej wydało,
Że jest piękniejszą jeszcze w owej chwili,
Niżli gdy była wielbioną królową...
Więc się zaduma i westchnie na nowo.

Wstała dziewczyna i w szal otulona
Pchnie drzwi na balkon wiodące w ulicę,
Świeże powiewy owioną jej lice,
I tchem się lekkim zachwieje zasłona,
I zewsząd, w splot się wijące u kraty,
Przyjazną wonią pozdrowią ją kwiaty.

Mienia się modro gwiazdziste niebiosa,
W miesięcznym świetle kąpany z ukosa,
Tłum wież i gmachów ginących w przestrzeni,
W białych się brzaskach tajemniczo mieni.

Wśród ciszy nocnej śpiewy gdzieś ochocze,
Spóźniony pojazd zdala zaturkocze,
Psa gdzieś szczekanie przez ulic zakręty,
Lub u odległej bramy znagła tknięty
Spóźnioną dłońią, dzwonek gdzieś zadzwięczy...

Ona się drżąca wsparła na poręczy,
I wzrok jej tęskny z westchnieniem utonie
W jedyne miejsce, skąd blask jeszcze świta.

W maleńkim domku, po przeciwnej stronie,
Pośród poddasza, nad skromną wystawą,
Biedna izdebka świetli się bladawo.

Toż chyba tylko cierpiący niedolę
Lub snem gardząca bieda pracowita
Czuwa w tej porze.

Przy samotnym stole
Siedzi młodzieniec ze spuszczoną głową,
Czyta, czy pisze? czy też gorączkowo
Marzy? Wstał wreszcie, i w ciszy głębokiej
Niespokojnemi długo chodził kroki.

— Co jemu? — w duszy głos dziewczynie szepce,
Może on smutny, i niema nikogo
Z kim by popłakał; a zimno, ubogo,
W samotnej owej poddasza izdebce.
Gdyby choć przeczuł jego wzrok sokoli
Te jedne oczy, co jak gwiazdy świecą:
Toż się to przecie czuje mimowoli,
Jeśli kto na nas patrzy dłużej nieco.
Biedny, on nawet odgadnąć nie umie,
Że blisko niego, w tej samotnej chwili,
Jest ktoś, co także sam jest, choćby w tłumie.
On ani spojrzy...

Westchnęła dziewczyna,
I łzy zabłysną w oczach jej, — i schyli
Głowę dumając. Podobnie się zgina
Kwiat zasmucony o wieczornej porze
Pod rosy łzami... — Mój Boże! mój Boże!

FELICYAN FALEŃSKI.

Dla kogo ona piękną dzisiaj była?
Jej było jako kwiatkowi w pustyni,
Co się raduje do burzy i gromu,
Bo on nikomu szczęścia nie przyczyni,
Bo on wśród próżni tęskną woń rozsyła,
I nie roztacza swych blasków nikomu!...

Gdyby ją chociaż on mógł widzieć wtedy...
Nie! Onby może nie śmiał spojrzeć... Może
Wobec młodzieńca w ubogim ubiorze
Wstydy ją było jej błyszczącej biedy.
Gdybyż choć teraz. Nie.

W blask co okola
Okna pałaców, toż nigdy inaczej,
(Jeżeli tylko spojrzeć kiedy raczy)
Jak z dumną wzgardą pogląda niedola.
Próżno bo marzyć! On ją razy wiele
Spotykał różnie: to w bliskim kościele,
To na przechadzkach w ogrodzie, to wreszcie
Przejeżdżającą w powozie po mieście,
Nawet piechoto idącą w ulicy,
I ani spojrzął młodzian bladolicy.

Oh! smutno to być panią! Niżli panią
Ona by biedną wolała sierotą,
Toż on by może spojrzął wtedy na nią,
Może pokochał... O! i teraz oto,
Niechby spróbował spojrzeć, choć zdaleka,
Choćby przypadkiem, toż ona w tej dobie

FELICYAN FALEŃSKI.

Niema takiego nic na całej sobie,
Od czego dumna niedola ucieka.

On może kocha inną... Czy też aby
Tamta ładniejsza od niej? Niechby przecie
I to przypuścić, to jeszcze w kobiecie
Jest piękność inna nad wdzięków powaby;
Otóż, w tej walce gdzie serce przemaga,
Zwyciężyć tamtę nęci ją odwaga...
On jest pobożny. On tak często bywa
W bliskim kościółku, snadź go matka tkliwa
I sny niebieskie życia kołysały.
Ona by matkę jego z duszy całej
I siostrę jego, jeśli ją posiada,
Kochała z duszy. Ona kochać rada
Wszystko, co tylko do niego należy.
On jest ubogi, ona by kochała
Jego ubóstwo. Nieraz w pośród świeżej
Natury wdzięków, gdy się dusza śmiała,
Westchnąwszy pełno, skrzydłami obiema,
W niebo wydziera, jak woń kwiatu słodka,
Ona go dziwnie zamyślonym spotka.
Ma pewnie troski tajone, i nie ma
Zwierzyć się komu. O! niech Bóg łaskawy
Szczęście mu ześle! Lub nie, niechaj raczej
Chowa go w smutku i biedzie tułaczey,
I wśród codziennej trosk bezsennych jawy,
W gorzkich zawodach i w smutnej niedoli
Pragnień gorączki, tylko niech pozwoli,

By wraz z nim ona cierpieć mogła społem.
Ona mu wtedy pociechy aniołem,
Potrzebą duszy, wtedy najweselej
Zimne poddasze z nim ona podzieli,
I gdy mu w drogę drżące poda ramię,
Niech w świecie całym oni tylko sami...
Suchego chleba kęs skropiony łzami,
Za uczt rozkosze wszystkie z nim przełamię.

Spojrzał ciekawie księżyc z chmurki sinej,
W twarz zamyśloną milczącej dziewczyny,
I mógł się przejrzeć tęskny blask miesiąca
W łzie, co u rzęsy zwiesiła się drżąca.

Życie na kwiatach! Biedneż bo to życie!
Wśród złudzeń gazy, wśród szklących kamieni,
Słoneczny dzionek bezlistnej jesieni,
Łzy wśród uśmiechu połykane skrycie.
A miłość? Sen wśród kwiatów w letnie rano,
Albo żebractwo wieczne! Być kochaną,
Lub żebrać marnie! Toż, jak kwiat w ustroni,
Raz westchając wonią i pochylić skroni,
Raz bez zbudzenia wyśnić sen swój złoty,
Razby pokochać — i umrzeć z tęsknoty
Wśród snu, co pierzchnąć może. Wszak dźwięcznemi
Brzmi w sercu słowy anioł stróż obrończy:
Że wszelkie szczęście zaczęte na ziemi,
Gdzieś po za ziemią niebem się dokończy...

FELICYAN FALEŃSKI.

Ścisnęła dłońmi skroń rozpłomienioną,
I głuchem łkaniem wezbrało jej łono,
I tak została niby postać biała
Wykuta z głazu, i długo dumiała
Z zamglonym wzrokiem...

Ona co wieczora

Godziny całe stoi na balkonie,
Lub w oknie ciemnym, przyparta do ściany,
I nie wie nawet młodzieniec nieznany,
Ze czuwa nad nim dusza tęskno chora,
Ze patrzy w niego wzrok co we łzach tonie...

Wstała, i dłońią ust pocałowanie
Dając, odeszła, raz jeszcze przystanie
Drzwi zamykając i raz jeszcze skinie
Znak pożegnania, i zagnała dziewczynie
U stóp klęcznika upadłej w pokorze
Zdrój też w gorącym wyleje się słowie,
Za nieznanego, który nigdy może,
I pewnie nigdy o tem się nie dowie.

Gdzieś dwoje ślubnych serc wieczności fala
Od ich wspólnego oderwała środka.
Razem tak blisko siebie — i tak zdała!
I czy też kiedy jedno drugie spotka?

WACŁAW SZYMANOWSKI.

JEDNA Z WIELU.

—

Siostró w Bogu, nad dolą sierocą
U mojego czuwałaś wciąż łoża,
A gdzie ból mnie krzyżował, z pomocą
Pospieszłaś, posłanko ty Boża!
Dziś mnie niemoc ostatnia już pęta,
Tchnienie tracę i gasnę na sile,
Życie niknie: w ostatnią tę chwilę,
Pozdrowiona niewiasto bądź święta!

Bóg uskąpił mi szczęścia na ziemi,
A dziś kruszy swe wątłe narzędzie,
Pochwalony więc za to niech będzie,
Że pozwala się złączyć ze swemi.
O szczęśliwe to życie co płynie
Przy domowym ognisku, w rodzinie,
I tak cicho przebieży do końca.

Jam tę chwilę przeżyła, u słońca
Wiosennego, co przez szyb szczeliny
Ozłacało ubogie poddasze...
Mąż był przy mnie, a uśmiech dzieciny
Błogosławił ubóstwo to nasze.

WACŁAW SZYMANOWSKI.

Raz niestety, — nieszczęsne to rano
Jak dziś pomnę, — listopad wiał słotą,
Przy kołysce siedziałam z robotą,
Kiedy do drzwi nagle zapukano.
Otworzyłam. Ludzie stali w sieni,
Robotnicy od naszego cieśli,
Gdzie pracował mój mąż... i schyleni,
Ciężkie tragi do izdebki wnieśli,
A na tragach ludzkie jakieś ciało,
Owinięte starą płachtą białą.

Jam patrzyła drżąca i wybladła...
Jeden zwolna podniósł płachtę ową...
O mój Boże! zem wówczas nie padła
Trupem!... Tam był z roztrzaskaną głową
Mąż mój! Włosy na zsiniałej skroni
Krwia i potem zlepiły się razem;
Oczy przed się wypatrzone głazem,
Garstkę żwiru ścisnął w lewej dłoni,
W prawej trzymał ciesielskie narzędzie,
A krew wszędzie, krew wszędzie, krew wszędzie!

— «Pani Marto! rzekł jeden z nich, wielki
Cios to na was, Bóg chyba po stracie
Was pocieszy; już męża nie macie.
Gdy pracował nad wiązaniem belki
I był cały zajęty robotą,
Noga mu się poślizgła — i oto...»

Jam słuchała słów tych bezprzytomnie,
A on dalej przemawiał tak do mnie:

— «Tutaj majster przesyła wam całą
Półmiesięczną płacę ryczałtowo
Na zasiłek; może to jest mało?
Nie dał więcej... Ależ Bóg nad wdową
I sierotą, Jego święta wola.
Tak zabiegać o życie nie warto,
Ludzka dola — ciernista to dola.
Zaś o pogrzeb już się pani Marto,
Nie troskajcie, my zrobim to sami,
I po ludzku, — a teraz... Bóg z wami!»

I odeszli jak senne zjawisko,
Jam została z trupem i kołyską.

.

O! zrozumiesz siostró, gdy ci powiem,
Czem na wdowy duszę rozżaloną
Dziecko... ono było dla mnie zdrowiem,
Życiem, łaską i zbawieniem, — ono
Odtwarzało w piersi rozbolełej
Siły życia, co we mnie się rwały.

Ale ciężko, oj ciężko niewieście
Twardym życia trudzić się kłopotem.
Za zarobkiem chodziłam po mieście,
Późno do dom wracając, a potem
Przy lampeczce co słabo migoce,
Nieraz całe przesiedziałam noce,
Drżąc czasami o głodzie i zimnie.

Więc dopóki był zarobek, — jeszcze
Szło to jakoś; mój anioł był przy mnie...
Włosy jego złociste popieszczę,
Ucałuję drobniuchne rączęta
I starannie owinę od chłodu,
Mówiąc sobie: Bóg o nas pamięta,
To nam pewnie nie da umrzeć z głodu.

Ale przyszły na mnie ciężkie chwile,
Chleb podróżał, wszystko mrozem krzepło,
A zarobku nie było na tyle,
Żeby strawą posilić się ciepłą.
Zima rosła z srogością niezwykłą;
Nawet ludzie wytrwali na znoje
Głodni marzli i słabli, a moje
Dziecko, bladło i chudło i nikło.
Więc zaniosiłam w zastaw co zostało,
Z reszty moich i mężowskich rzeczy;
Przyszedł doktor co ubogich leczy,
Dziecko kazał rozebrać i ciało
Opukał mu w tę i ową stronę
I rzekł:

— «Dziecko jest źle odżywione,
To zbyt wątła i słaba natura;
Tylko pokarm stosowny tu wskóra.
Nic mącznego, słodczy ni kęsa,
Codzień mleka świeżego i mięsa,
Toż powietrze czyste wiele znaczy
I to głównie trzeba mieć na względzie,
Bo tu płuca już cierpią..! Inaczej...»

— «Cóż na Boga?»

— «Inaczej źle będzie!»

Rzekł i wyszedł... O Boże mój, Boże!
Jam już resztę oddała odzieży!
Sama nie wiem co w usta dziś włożę,
Skąd wziąć dziecku na pokarm ten święty?
Czem zapłacić choćby kroplę mleka
I utrzymać życie co ucieka?...

Raz, pamiętam, w wieczornej godzinie,
Dał wiatr straszny przez okien szczeliny;
W domu chleba ani odrobiny,
Ni kawałka węgla na kominie,
I w około noc i cisza głucha.
W tem jęk jakiś doleciał do ucha,
Jęk z kołyski. Zerwałam się, cała
Drżąca, w trwodze że dziecina kona.
Nachylam się... O nie! ona spała...
Ale taka blada i zmieniona!
Twarz ściągnięta, a usteczka sine,
Jakby w śmierci ostatnią godzinę.

Nie wiem co się wówczas stało ze mną,
Jaką rozpacz natchnęła mnie siłą,
Żem przebiegła schody i sień ciemną
I stanęłam na ulicy...

Było

Późno, w mieście jednak życie wrzało,
Po chodnikach lud roił się gwarnie,

WACŁAW SZYMANOWSKI.

Śnieg przypruszał wszystko płachtą białą,
A jak gwiazdki błyszcząły latarnie.
W tem powietrzu ciężkiem, dusznem, dymnem,
Wicher ostry styczniowem wiał zimnem
Mrozem suknie przejmując na ciele.
Jam wciąż biegła... Nagle czoło moje
W głaz uderza. Oglądam się, stoję
Przed Najświętszą Panną przy kościele.
Zdała widniał kościół śniegiem biały,
Tylko okno czerniało u góry,
Tylko drzwi się ciemno rysowały,
A szczyt z krzyżem cień rzucał ponury.
Ale głowa Przenajświętszej Panny,
Pośród światła co w koło Niej płońą,
Zdawała się jak w zorzy porannej,
Otoczona promienną koroną.
Marmur pod tą falą światła płową,
Kształt przybierał powietrznego ducha,
Zdawało się, że żyje i słucha
I wyrzeknie zmiłowania słowo.
Więc rozpaczą i bolem nękana,
Bez sił prawie padłam na kolana,
Szepcząc z cicha: — «O święta Maryjo!
Twa obecność łaskę ludziom wieści,
Płaczesz syna — o Matko boleści,
Miłosierdzia nad tymi co żyją!
I modląc się uczułam, że słowo
Gaśnie w piersiach i głos we mnie kona;

Więc zostałam z wspartą o głaz głową,
Jakby cała z głazem zespolona.

I czy długo trwał ten stan grobowy,
Nie wiem, jak ten co się ze snu budzi,
Słyszę odgłos przechodzących ludzi,
I kół turkot i głośnie rozmowy;
Cały gwar ten uliczny przytomnie
Na raz jeden rozległ się koło mnie.

Wtem się za mną ozwało stąpanie
I te słowa mych uszów dobiegą:
— «Patrzaj, jakaś dziewczyna niczego,
Pod latarnią, tam oto, przy ścianie».
A drugi rzekł: — «Biedneś ty stworzenie,
Pokaleczysz nogi o kamienie.
Czyż jałmużna już drogą jedyną
Do ratunku? Tyś piękna, dziewczyno».

O! te słowa i ten głos zarazem
Uderzyły w serce jakby głazem;
Głowę w marmur wcisnęłam zmrożony,
Nieświadomie szukając obrony
Od pokusy rzuconej w złej chwili.
Czułam jak mnie swym zwróciem mierzyli
I odeszli; a ja wstałam zwolna,
Bom do modłów nie była już zdolna.
Wstałam i szłam... pałała mi głowa,
Dreszcz przechodził ciało jakby w febrze,
A w uszach mi wciąż brzmiały słowa:

«Taka młoda i piękna — a żebrze!»
Coś nowego zbudziło się we mnie:
Jestem piękna! o tak, jestem młoda!
Świat, co innych opuszcza nikczemnie,
Takim chętnie rękę zbawczą poda.
Mnie od głodu nie broniła praca,
Po cóż wzbraniać przystępu otusze?
Słówko jedno do życia mnie wraca,
A żyć będę... żyć pragnę... żyć muszę!

Tak z tym jednym pokusy wyrazem
Jakiś obłąd chwycił mnie widomy;
Światła, ludzie, ulice i domy
Wszystko we mnie kołowało razem;
Czułam w piersiach dziwne jakieś wrzenie,
Życia! życia po jakiejś cieniu!

Wtem myśl przeszła jakby lotem gromu:
Wszak tam dziecko umiera mi w domu,
Dziecko moje!

Ta boleść bez granic,
Co pierś ściska i krew w żyłach suszy.
Znów się w mojej odezwała duszy.
Jaż mam dziecko tak ratować?... za nic!
Niech pracuje, niech cierpi, niech służy,
A niech nie je chleba z tej kałuży.

.....

Więc się doktor uzalił mej nędzy,
I podążył do mieszkania ze mną.

WACŁAW SZYMANOWSKI.

Lampka jeszcze paliła się ciemno...
Odsłoniłam kołyskę czempredzej,
On się nad nią nachylił i bada...

Jam czekała truchlejąca, blada,
Nieśmiać patrzeć... wstrząsały mną dreszcze,
Przed oczyma przebiegały cienie...
Chwilę trwało to nasze milczenie:
— «Cóż doktorze? mów, wszak żyje jeszcze?»
Głos z trudnością przechodził przez gardło,
Czułam, że coś strasznego się zbliża...
On wstał, zrobił nad dzieckiem znak krzyża,
I rzekł do mnie półgłosem:

— «Umarło!»

Siostró moja, mówić już daremnie;
Czyż tę chwilę wypowiedzieć mogę?
Całe życie zerwało się we mnie,
I upadłam martwa na podłogę.
Zostało mi zmiłowanie Boże,
Boleść moja — i... szpitalne łóżce.

Teraz stojąc u wieczności progu,
Wzywam śmierci siłami wszystkimi,
Bo gdy łaski brakło mi na ziemi,
Może łaskę wymodłę tam — w Bogu!

ŚPIĄCY MILTON.

—

Zbudziłaś mię, dziękuję! Ale cóż mi potem
Kiedy suknią szeleszcząc, zbudziłaś przelotem;
A jam widocznie na to położył się w gaju,
Bym się obudził z myślą o straconym Raju.
Zapewneś nie wiedziała z jakiej to przygody
Raj utracony powstał? Słuchaj: Milton młody
Wyszedłszy na dumanie do jakiegoś lasu,
Tak się znużył dumaniem, że zapragnął wczasu,
Czyli, mówiąc po prostu, pod drzewem zachrapał,
A był to piękny chłopiec, zwłaszcza, kiedy zapał
Ożywiał jasne oczy, nateraz zamknięte;
Za to usta miał śliczne, jak karmin czerwone,
Ząbki jak perły i włos pożąłocisty, kręty,
Tam w lesie, za aniołka śmiało mógł być wzięty.

Owoż, jakaś panienka, nie wiem, czy poetka,
Dość, że smukła jak trzcina, a jak sarna letka,
Biegła sobie gajkiem, a ujrawszy śpiocha,
Stanie nad nim, popatrzy i bodaj już kocha.

Serduszko w niej zadrżało, aż raczka upiekła.
Chciała zrazu uciekać, ale nie uciekła.
Tylko — przebóg! ach, uszy zatulcie angielski!
Gdyby się dowiedziano, skandal byłby wielki.
Na ustach młodzieniaszka, całusek gorący
Wycisnie, i to głośno, choć pewnie niechcący:
Bo, jakby przestraszona w gąszcz największy wpadła,
Ledwo ślad zostawując sennego widziadła.

On tymczasem błękitne przecierając oczy,
Ustami czegoś szuka, — jakby sen uroczy
Chciał dogonić na jawie, i zgarnia ramiona,
Lecz w nich tylko powietrze było — a nie ona.
Sen-że to? ale jaki! Z rajcu anielica
Zbiegła pewnie i skrzydłem trąciła o lica,
Skądże na ustach został jakiś przysmak miodny?
I czuł oddech na twarzy palący, nie chłodny,
I szelest, gałązkami zadrzała leszczyna,
To nie duch, ale raczej aniołek, dziewczyna!

Jej rysy, acz przez senne oglądane tkanki,
Wryły mu się w duszy jak portret kochanki,
W tem lepszy, że ni złodziej, ni przypadek jaki,
Mógł go porwać, lub zatrzeć ulubione znaki.
On też z nim nierozdzielny nosił się po świecie,
Lubego wzoru w każdej szukając kobiecie;
A choć cudne spotykał, nie napotkał swojej;
Nie wiem, czyby się mieniał na Helenę z Troi.
Dość, że poznawszy krajów i ludzi coś dużo,

LUCYAN SIEMIŃSKI.

Zawiedziony w nadziejach i zbity podróżą,
Gdy nie znalazł przedmiotu swych westchnień na
[ziemi,
Rzekł w końcu: Ona w niebie, między wybranemi!
I dalej w lot się puścił stropem ugwieżdżonym,
Nie oparłszy się nigdzie, aż w Raju straconym,
Gdzie spotkał ową piękność widzianą za młodu,
Poznał ją, i wyśpiewał — Ewę, matkę rodu.

Spróbować snu Miliona wzięła mnie pokusa:
Położyłem się w gaju by dostać całusa,
A chociaż ci sposobność dałem, jakiej mało,
Bo i las, i samotność, i południe grzało,
Przebiegłaś niedomyślna..

Oboje tracimy,
Ja całusa, ty pani, tracisz w zamian rymy!

SONET.

Dwojakie dzisiaj chcę obchodzić święto:
Królowej nieba zapalam gromnicę;
A mojej ziemskiej otwieram skarbnicę,
Nieuronioną i mnie niepojętą.

O byleś chciała spojrzeć w odemkniętą!
Znajdziesz myśl-djament i rubin zapału,
Smaragd-nadzieję i kawał kryształu,
Łzę skamieniałą ze sercem zrośniętą.



LUCYAN SIEMIEŃSKI

**Błagam Cię! bierz z niej, o bierz mój Aniele!
Nic mnie nie żałuj; wiele, tylko wiele!
Bo te djamenty, rubiny, szmaragi,**

**W zamknięciu świecić nie mają odwagi;
Lecz gdy ozdobisz niemi pierś i skronie,
Podwójnym ogniem każdy z nich zapłonie!**

====

WIĄZANIE ANIELCE.

Anielko — aniele! w marzenia ogrodzie,
Zerwane przynoszę ci kwiaty;
Zakwitły w mych uczuć i myśli pogodzie,
Tak jasne, jak ócz twych bławaty.

Znasz różę, co piersią rozkwita do słońca,
Westchnieniem poranku zbudzona;
Jak ona, tak zawsze bądź świeża, kwitnąca,
Lecz nie rań, nie wędnij jak ona!

Znasz lilią, jej kielich śnieżystej białości,
I wdzięku i woni ma wiele:
Dla tego ją kwiatem nazwano czystości;
Bądź lilią, Anielko — aniele!

Fiołek się kryje na trawek kobiercu,
Lecz malca wynajdą po woni;
Ty skromność fiołka zachowaj w twem sercu,
Przed burzą cię trawka zasłoni.

O! z temi kwiatami, jak z wiarą, nadzieją,
Popłyniesz po wirach i głębi:

EDMUND WASILEWSKI.

Ni lato upałem, ni jesień zawieją,
Tych kwiatów nie spali, nie zziębi.

Po naszej to drogiej rozsiane ziemicy,
Tych kwiatów cudowne nasiona,
Niech dzisiaj ustroją skroń młodej dziewicy,
Niech pomni, że Polką zrodzona.

Niech... Smutno ła padła na struny mej lutni,
O! przebacz Anielko — aniele!
Lecz wszyscy w około tak smutni, tak smutni,
I kwiatów już dzisiaj nie wiele!

KRAKOWIAK.

Śnił mi się aniołek kiedy dzieckiem byłem,
Jak dziecko na cacko, w aniołka patrzyłem,
Patrzyłem w aniołka co miał oczy śliczne,
Usteczka różowe, całe ciało mléczne.
Patrzyłem, marzyłem, a mój aniołeczek,
Nie poglądał na mnie, nie podał usteczek;
Nie podał usteczek, jak wietrzyk uciekał,
A jam na aniołka i płakał i czekał!

Gdyś się urodziła, moja Halko miła!
Ponad twoją główką gwiazdeczka świeciła,

EDMUND WASILEWSKI.

Świeciła gwiazdeczka, jej blask w oku błysnął,
Na usteczkach zapał poranku zawisnął.
Bo Bóg sobie przyśnił aniołka na niebie,
Ulał serce z łezki, żeby stworzyć ciebie;
Żeby stworzyć ciebie, po świata przestworze,
Zbierał gwiazdki, tęcze, obłoczki i zorze.

Mały aniołeczek gdy na ziemię spłynął,
Jak lilia do słońca listeczki rozwinął;
Rozwinął listeczki i wonne i krasne,
A jam sobie patrzył w jego oczka jasne.
Serce moje biło, patrzyłem, marzyłem,
I duszyczkę moją w aniołku zgubiłem;
Zgubiłem w aniołku, co jaśniał tak mile,
I już jej nie znajdę chyba na mogile.

Zakwitnęła wiosna, aniołek aniołem,
Z różami na licu, z urokiem nad czołem;
Z urokiem nad czołem, miasto kwiatów wieńca,
Pochwycił, rozmarzył, rozpieścił młodzieńca.
A tam błyszczą gwiazdka po nad jego skronią,
I młodzieńca myśli jej promyki gonią:
Jej promyki gonią, żeby w niebo lecić,
Żeby dla anioła wieńcem gwiazd zaświecić!

Ale tu na ziemi, chociaż człowiek skacze,
Przecież anioł często westchnie i zapłacze;
Westchnie i zapłacze, i tu ciernie, zielska,
Oblała już nieraz twoja łza anielska.

EDMUND WASILEWSKI.

Tutajby potrzeba, o! aniele biedny,
Wyrzec się anielstwa dla tej łezki jednej!
Ale kto już łezki żadnej nie posiada,
Ni to anioł — człowiek, o! biada mu, biada!

Gwiazdeczki zaśniły, o aniele miły!
Co się na niebiosach z twych gwiazd urodziły.
Kiedy się wypełnią i blaski rozsieją,
Jeszcze się do ciebie szczęściem roześmieją.
A ja sobie będę za anioła cieniem,
Płynął uczuciami i gonił marzeniem;
Może też, o Boże! te gwiazdeczki biedne,
Przyptyną do siebie i zleją się w jedną.

ADAM ASNYK.

LEGENDA
PIERWSZEJ MIŁOŚCI.

—

Ja ją kochałem, tak mi się zdaje,
Bo cudną była w szesnastej wiosnie,
Umiąta patrzeć na mnie miłośnie,
I rwać mi serce w nadziemskie kraje;
A więc w jej oczach pełnych tęsknoty,
Tonąłem wzrokiem i tak na jawie
Śniłem o różach, które ciekawie
Po nad jej włosów wybiegły sploty,
Tak, że je zrywać ustami chciałem,
I byłbym przysiągł że ją kochałem!

Ja ją kochałem, ach! jestem pewny,
Bom często błdził w noc księżycową,
Przypominając mojej królowy,
Każde spojrzenie i każde słowo;
A w gwiazdy patrząc pół nieprzytomnie,
Widziałem usta zwrócone do mnie,
Że aż mnie brała wielka pokusa,
W wonne powietrze rzucić całusa,



ADAM ASNYK.

Lecz się obrazić skromnej lękałem,
I dość mi było, że ją kochałem...
Miłość to była, lecz taka cicha,
Że sam przed sobą bałem się zdradzić;
I tylko kwiatów szedłem się radzić,
Czemu dziś smutna i czemu wzdycha?
Ale o serca jej tajemnicę
Nie chciałem nawet lilii zapytać;
A gdy w ogrodzie weszła ulicę
Stałem, nie śmiejąc wzrokiem jej witać,
I tylko do nóg upaść jej chciałem,
Kiedy w jej oczach łezki dojrzałem...

Bo przypuszczałem, że smutek rzewny,
Rozlany na jej anielskiej twarzy,
Wypłynął z serca i siadł na straży,
Tak przeczuwałem nie będąc pewny.
I sam już nie wiem, jak to się stało,
Że zapytałem drżący, nieśmiało,
Co jest jej smutku dziwną przyczyną?
I czemu łezki po twarzy płyną?
Na to odrzekła smutnymi słowami;
Że nie ma świeżej sukni balowej.

Choć wyrazy te obojętne
Upadły szronem co serce ziębi,
Ale jej oczy mówiły smętne,
Że się myśl inna kryje gdzieś głębiej.
Więc pomyślałem, że byłem za śmiały,

I chcąc złagodzić moją zuchwałość,
Balowej sukni chwaliłem białość,
W którą się stroi krzak róży białej;
Chwaliłem ciernie które jej bronią
Przed zbyt ciekawych natrętów dłonią.

Jednak już potem, częściej myśl płocha
Trącała skrzydłem w błębit mych marzeń;
I z różnych rozmów, sprzeczek i zdarzeń,
Stawiałem wnioski: kocha? nie kocha?
I z tem pytaniem jak Hamlet nowy
Chodziłem długo w ranek majowy;
A kwiaty wonią, drzewa szelestem,
Odpowiadały: Kocham i jestem!
Nim powtórzyłem setne pytanie,
Wybiegła wołać mnie na śniadanie.

Różowa ze snu, w słońcu przejrzysta,
Stała przedemną jasna i czysta;
Zamiast brylantów, na złote włosy,
Jaśminy kładły kropelki rosy,
I tak oblana światła potokiem,
Jeszcze mnie swoim paliła wzrokiem;
A ja zmieszany, mówiłem do niej,
O drzew szeleście i kwiatów woni,
Lecz ją znudziła moja rozprawa,
Bo rzekła: — «Chodź pan, wystygnie kawale»

Oj! oj, figlarko! myślałem z cicha,
Nie chcesz mię słuchać na głos i w oczy,



ADAM ASNYK.

Za to twój uśmiech mówi uroczy,
I pierś, co mocniej teraz oddycha,
Nie chcesz mnie słuchać bo w serca drzeniu,
Czujesz, że staniesz cała w płomieniu,
Gdy ci wypowiem z schyloną twarzą,
Słowa, co w ustach moich się ważą.
Wtem ona widząc, żem zadumany,
Rzecz: — «Pan jesteś dziś niewyspany!»

I tak mnie nieraz mała psotnica
Zbijała z toru krótkimi słowy;
Jam się w anielskie wpatrywał lica,
I w usta pełne niemej wymowy;
I myśl czytałem, co z oczu strzela;
A serca mego tamując bicie,
Czułem, że nic nas już nie przedziela,
Że toniem razem w marzeń błękicie,
Lecz gdy się tylko spojrzałem tkliwiej,
Pytała: — «Czemu pan się tak krzywi?»

Raz — ach! powziąłem myśl dosyć śmiałą,
Ukraść jej z album karteczkę białą,
I na niej wszystko wypisać szczerze,
Co mnie ochota powiedzieć bierze;
A więc ubrałem w urocze farby
Całą jej postać czystą, powiewną,
I wysypałem końcówek skarby,
By miłość moją uczynić śpiewną;

ADAM ASNYK.

Słowem, jak młody poeta, liryk,
Wpisałem wierszem jej panegiryk.

Gdy to odkryła, chciałem uciekać,
Ale przemogła twogę ciekawość,
I już wolałem przy niej zaczekać,
Śledząc na twarzy wrażeń jaskrawość;
Ona czytała uważnie, zwolna,
Głębokich wzruszeń ukryć nie zdolna.
A gdy zdumienie minęło pierwsze,
Rzekła: — «Pan także pisuje wiersze?
Szkoda, że kartkę odjąć wypadnie,
Bo pan tak pisze krzywo, nieładnie!»

Zrazu to nieco mnie zabołało,
Ze mnie tak zbyła lekko, złośliwie,
Ale myślałem: — ja się nie dziwię,
Ze moje wiersze ceni tak mało.
Ona! to jeden poemat cały,
A moje wiersze pełne wyrazów
Pustych i ciemnych, mglistych obrazów,
Które w jej oczu blasku stopniały...
Nie umiem oddać tego co roję;
Ona piękniejsza niż wiersze moje!

I coraz bardziej i coraz więcej,
O jej prostocie myśląc dziecięcej,
Pytałem siebie, czy jestem godny,
Takiej miłości czystej, łagodnej?



ADAM ASNYK.

Lecz czułem tylko, że byłbym dla niej,
Gotów me życie poświęcić w dani,
I byłbym rzucił wszystko, gdy trzeba,
I poszedł za nią prosto do nieba,
I byłbym poszedł za nią do piekła...
Gdyby — nie była z drugim uciekła!

SPÓŹNIONA ODPOWIEDŹ.

Miałem raz jedną szczęścia chwilę,
Chwilę rozkoszną, lecz zbyt krótką,
Patrzyłaś na mnie dziwnie a mile,
Siedząc cichutko.

Ja byłem wtenczas tak wymowny,
Tyś mnie słuchała pieszcząc pieska,
Na ustach uśmiech wykwił czarowny,
A w oku łezka.

Mówiłem wiele w upojeniu,
Miłością brzmiało każde słówko,
A tyś tonęła w słodkim marzeniu,
Z schyloną główką.

ADAM ASNYK.

Słyszałem serca twego bicie,
Widziałem w wzroku wzruszeń tyle...
Ach! jeszcze dzisiaj oddałbym życie,
Za taką chwilę.

Wyznałem moją miłość całą,
Czekając, co mi powiesz sama —
Nie wiem, co wtenczas ze mną się działo,
Wtem weszła mama!

Ja się zmieszałem, tyś się złękła,
I odtrąciłaś rączką pieska,
Pierzchnęła odpowiedź i w locie pękła,
Bańka niebieska.

Potem ubiegło czasu wiele,
Czekałem długo na odpowiedź:
Aż usłyszałem w jedną niedzielę,
Twoją zapowiedź.

NAWRÓCENIE.

—

Gdy miała szesnaście latek,
Była ach! bardzo sceptyczną,
Nie chciała wierzyć, gdym mówił,
Że jest prześliczną!



ADAM ASNYK

Wątpiła o swej urodzie,
W uczucie wierzyć nie chciała,
Kiedym jej miłość wyznawał:
Tylko się śmiała.

Lecz dzisiaj po latach wielu,
Wiara w jej serce wstąpiła,
I nawrócona zupełnie,
Żałuje, że przód wątpiła...

Ufna w potęgę miłości,
Wspomnienia pragnie odświeżyć;
Wierzy, że jeszcze ją Kocham —
Lecz ja, przestałem już wierzyć.

PTAK I DZIEWCZĘ.

—

Oj cudnie w tym ciemnym lesie!
Co tam szeptów! co igraszek!
Wiatr po liściach piosnkę niesie...
Kto tak śpiewa? — Ptaszek.

Dziewka o kibici gibkiej,
Sjadła w cieniu tego drzewa:
Ma w koszyku ciemne grzybki —
I piosenkę śpiewa.

Chcę przygasić głosik ptasi,
Mało nie wyśpiewa duszy.
Ptak myśli że ją przygasi,
Aż gardziołko puszy.

Wielka cichość legła w borze...
Bór chciałby słyszeć oboje,
Lecz zrozumieć nic nie może:
Ten swoje — ta swoje.

DEOTYMA.

Las tę prośbę im szeleści:
— «Moja ty perło nadobna!
Śpiewaj piosnkę jednej treści,
Lub każdą z osobna».

«Jako? woła ptaszek dumnie,
Czyż to znaczy, że ta dziewa,
Co w niebo latać nie umie,
Lepiej niż ja śpiewa?»

«To ja, rzecze dziewczę, może
Sercem nie bywałam w niebie?
Ho! ptaszku, ja się założę,
Że prześpiewam ciebie!»

Ptak nie waha się ni chwili:
«Któż nas, pyta, sądzić będzie?»
Tu na jedno się zgodzili:
«Las weźmy za sędzie».

Do ich woli las się skłania,
I te słowa szumnie huka:
«Trzy położę wam zadania,
Do trzech razy sztuka».

Ptak i dziewczę stoją w szrankach
Wytniętych na leśnej łące,
Widzów piętrzą się tysiące,
Po zielonych gankach.

DEOTYMA.

Drzewa butne jak hetmany,
Dzikich kwiatów dwór jaskrawy,
Ubożuchnych mchów i trawy,
Lud niezrachowany.

Skrzętne mrówki, krzepkie pszczołki,
Pracujące w słodkim cechu;
Makolągwy i kukułki,
Grające na echu.

Zdrój, czekając z niepokojem
Gwarliwą zatrzymał pianę:
I jelenie ponad zdrojem,
Stają zasłuchane...

Nawet zubr i wilk na chwilę
Zawiesili krwawą wojnę;
Przy szrankach krążą motyle,
Jak heroldy strojne.

W natłok, od czasu do czasu,
Zagłada i promień słońca...
Wszystko na stopniach bez końca,
Obsiada cyrk lasu.

Szermierze się złękli skrycie,
Przed obliczem tylu gości,
A las wyrzekł: — «Zanucicie
Piosnkę o radości!»



DEOTYMA.

Ptak zaśpiewał; blednie dziewczka...
Któż podobnie śpiewać zdoła?
Dość powiedzieć, że ta śpiewka
Jak ptaszek wesoła.

Ni przeczucie, ni wspomnienie,
Tam nie rzuca cienia troski;
Piosnka dźwięczy jak w Edenie,
W pierwszy ranek boski.

Skończył; dziewczka zaśpiewała:
Głos jej czysty, dźwięki złote;
Lecz wesołość jej nieśmiała,
Trąca o tęsknotę...

Żdziwiły się wszystkie drzewa,
Skąd w radości smutek rośnie?
I wyrzekły jednogłośnie:
«Ptaszek lepiej śpiewał!»

Oh! jak dziewczę mu zazdrości!
Całe stanęło w szkarłacie,
A las wyrzekł: — «Zaśpiewacie
Piosnkę o miłości!»

Tu dziewczę i ptak z kolei,
Głos namiętny z piersi wznoszą,
Płoną trwogą, drżą rozkoszą...
Wirują w nadziei.

DEOTYMA.

A serce tak równo bije,
I w jednym i w drugim śpiewie,
Ze gęstwina sama nie wie
Które dźwięki — czyje?

Jak o głąz tknięte żelazo,
Las w najgłębszej zadrgał dali
I zawołał: — «Ach! tą razą
Oboje wygrali!»

Potem długa drzew narada;
Sędzia szuka trzeciej treści:
«Zaśpiewajcie mi, powiada,
Piosnkę o boleści!»

Głos dziewczęcia brzmi po rosie,
Brzmi łkająco... rozhukanie...
Rozpacz otwiera w jej głosie,
Bezdenne otchłanie.

Coraz rzewniej, coraz smętniej,
Zal wybucha, pieśń się kruszy;
Cała wielkość ludzkiej duszy,
Łzą w jej głosie tętni.

I ptak skarży się i zżyma,
Jakby gniazdka bronił czule;
Ma w głosiku różne bóle,
Tylko łez w nim niema.



DEOTYMA.

Las nie ruszy się jak skała;
Potem westchnął po cichutku,
I dał wyrok: «W pieśni smutku,
Dzieweczka wygrała!»

Ta zapłoni się jak róża,
Wstaje z tryumfem u czoła,
A ptaszyna się oburza
I szyderczo woła:

«Uchwata niesprawiedliwa,
Jednym słówkiem ją odmienię:
Tam gdzie chodzi o cierpienie,
Kto przegrał — wygrywa».

ZAKŁĘCIE.



Idę lądem, płynę wodą,
A czy słońce łśni pogoda,
Czy pioruny z błyskawicą,
Czy na niebie gwiazdy świecą,
Czy mnie noc, czy dzień otoczy,
Czy mi jasno, czy mi ciemno,
Zawsze przy mnie lub przedemną,
Takie wielkie, czarne oczy!
Ach! to jej oczy!

Piję miód i piołun piję,
Zbieram ciernie i lilije,
Sok wyciskam, lecz w napoju,
Niema zdrowia ni spokoju;
Choć do koła przestrzeń pusta,
Choć relikwię pocałuję,
Zawsze na mych ustach czuję,
Koralowe, drugie usta...
Ach! to jej usta!



NARCYZA ŻMICHOWSKA.

Istna ona czarownica,
Świat zakłęta w swoje lica,
W swoje lica, w swoje oczy,
Już i pacierz nie odroczy;
Wszystko zmienia się w jej postać,
Kędy spojrzę, wszędzie ona,
Człowiek od tych czarów skona,
Lub sprawczynię musi dostać...
Ach! gdyby dostać!

OCZYWISTOŚĆ.

Słońce jasne ma promienie,
Ptak ma dźwięczny głos;
Świecić słońca przeznaczenie,
Śpiewać ptaka los!

Ty masz serce do kochania,
Do wianeczka skroń,
Usta masz do całowania,
Do pieśczoły dłoń.

A więc nie chciej woli Boga,
Przeszkód kłamstwem nieć;
A więc kochaj moja droga,
Więc całuj i pieść!

MIŁOŚĆ KOBIETY.

Raz mi mówiono, że są tu na ziemi,
Białe anioły z skrzydłami białymi,
Które gdy wezmą w poświęcone dłonie
Serce człowiecze, to je drogą świata,
Po nad kałuże, błota i przepaści
Niosą bezpieczne, czyste, nieskalane,
Promieniem bożej myśli rozjaśnione
I tchnieniem bożej miłości ogrzane.
A jam się pytał: gdzie anioły takie?
A przy mnie wtedy matka moja stała,
Włos rozgarnęła, czoło całowała:
I rzekła tylko: — tam synku maleńki,
Gdzie jest kobieta która kocha ciebie. —
O! prawdę, prawdę matka powiedziała,
Bo tam jest anioł, tam ciche dni życia,
I spokój serca i myśli tam w niebie,
Gdzie jest kobieta która kocha ciebie.

Miłość kobiety — to świętość i cnota,
Szczęście i siła, mądrość i natchnienie;
Miłość kobiety — to pierwsza pieszczota,
Co biedne dziecko na tej ziemi wita!
To pierwsza kropla pokarmu i życia,
Którą niemowlę w głodne usta chwyta.
To pieśń twej matki, którą ci klęcząca,
Przy twej kolebce na uśpienie nuci;

NARCYZA ŻMICHOWSKA.

Miłość kobiety, to błogosławieństwo,
Rada i wsparcie, które Bóg ci daje,
Na długą podróż przez nieznanne kraje,
Po śliskich ścieżkach złych i dobrych losów.

Miłość kobiety — to z twą siostrą młodą,
Wspólne marzenia i długie rozmowy
O twej przyszłości, o zamiarach twoich,
O tej nadziei młodzieńczego serca,
Co ci spełnienie pięknych czynów wróży,
A w którą ona tak ufa, tak wierzy,
Że kiedyś może ty już wątpić będziesz,
A ona jeszcze wierzyć nie przestanie.

Miłość kobiety, to ręka podana
W chwili złych myśli i pokus szatana;
To wzięte wszystkie z głębi twojej duszy
Chęci szalone, żądze niespokojne,
Namiętności nasienia zdraдлиwe,
I pierwej, nim się w truciznę rozplenią,
Nim święty serca skalają przybytek,
Nim przejmą czysty ducha twego promień,
Pierwej, chryzmatem uczucia święcone,
W szczęście wyrosłe i w cnoty wszczepione.

Miłość kobiety, to nagroda twoja
Przy trudnej pracy męskiego zawodu;
To przy rodzinnem ognisku kapłanka,
Błogich dni życia i uciech domowych.

To głos radości, co na progu wita,
Wracającego z pośród obcych ludzi;
To białe ramię, które szyję twoją,
Okraży słodkiej pieśczoły objęciem,
Kiedy znudzony i wierzyć przestajesz,
Że jeszcze takie serca są na świecie,
Które ci żywszem biciem ododwiedzą,
Gdy ręka twoja do nich zakołata,
Gdy wołać będziesz przyjaciela, brata.
To są te usta co powiedzą wtedy:
«Przebacz i kochaj — bo jesteś kochany!»
To jest ta losu niemylność jedyna,
Co gdy świat cały błotem cię zarzuci,
Gdy ty sam nawet skłóćisz się z sumieniem,
Ona ci jedna zostanie, i zawsze
Przychylne dłonie ku tobie wyciągnie,
I przed niechęcią ona cię otuli,
W śnieżysty rąbek swej szaty niewinnej;
I przed zgryzotą ona cię osłoni
Własnego serca boleścią i łzami;
I przed występkiem ona cię obroni,
Swoją świętością i swemi prośbami;
Ty ku niej idąc złe drogi porzucisz,
Ty za nią idąc, znów do nieba wrócisz!

Miłość kobiety... O! ja z darów bożych,
Niech sobie tylko ten jeden uproszę.
Ja będę wielki, cnotliwy i święty,
Samolubnego zrzeknę się starania



NARCYZA ŻMICHOWSKA

O własne zyski i własne rozkosze;
Ja znajdę w sercu do poświęceń siłę,
Wiele dobrego bliźnim moim zrobię,
I wiele złego bez szemrania zniosę;
Pobłogosławię tym co kląć mi będą,
Uścisknę rękę, która cios mi zada,
Otrę łzę każdą, lub razem zapłaczę
Z każdym, kto innej nie chce mieć pociechy,
Wesprę, oświecę, ukocham, przebaczę,
Zapomnę siebie, — lecz niech o mnie święta,
Niech kochająca kobieta pamięta!...

====

DO POLEK.

—

1.

Pokój domowi temu gdzie połyśka
Rodzinnych uczuć płomień niewytlony!
Kędy na straży wiernie u ogniska
Czuwa niewiasta!... O! błogosławiony
To próg, za którym, jak w arce przymierza,
Kryje się wiara i obyczaj święty,
Gdy powódź szumi — grom z niebios uderza,
Gromy i burze on przetrwa nietknięty.

Niewiasto Polska, cześć tobie i chwała,
Ty czerpiąc siłę w czystym wiary źródle,
Wybiegniesz z arki jak gołąbka biała,
I ową rószczkę oliwną pokoju
Uszczkniesz i podasz twym braciom w rozterce,
I wzrośnie w drzewo ta latorośl krucha,
W liść ją zielony rozwinie twe serce,
A rdzeń jej skrzepi dzielność twego ducha.



SEWERYNA Z Ż. PRUSZAKOWA.

Twa złota lira nie zmiłkła w rozpacz,
Lecz z niej dobywasz błogi dźwięk nadziei.
A chór aniołów, wtórzac pieśni w górze,
Zgania wiszącą nad twym domem burzę.
Ty ją zażegnasz dzielnym tchnieniem wiary
I plon się Boski rozrodzi w tym progu.

Niewiasto Polska pozdrawiam cię w Bogu!

II.

Pozdrawiam ciebie o dziewczeczko młoda,
Łzą i piotunem karmiona z kołyski;
Czar w twojem oku, na licu uroda,
Lecz cię nie łudzą te błahe połyski.

Bo zwiądnął kwiat szczęścia w twej dłoni sieroczej.
Bo wczas owiana tęsknoty pomrokiem,
Poglądasz w niebo niecierpliwem okiem,
Rychło jutrzeńka zaświeci po nocy.

Módl się i ufaj! Bóg z tobą sieroto!
On ześle promyk wiosennej pogody,
A na twem czole błysnie kwiat i złoto
I świeżą krasą twe spłyną jagody.

Lecz gdy świat błogo uśmiechnie się tobie,
Gdy z sierocego ból ustąpi łona,

O! nie zapomnij, żeś wzrosła na grobie,
Łzą i piołunem z kołyski karmiona.

Pogardź bezbarwnym a próżniaczym tłumem,
Nie sprzedaj serca za świata skarb cały,
A gdy ukochasz sercem i rozumem,
Kochaj do grobu, jak Polki kochały.

Kochaj ojczyznę, ukochaj jej dzieje,
W moc i powagę niech myśl twa dojrzeje,
Jak kwiat na pustym wyrosły odłogu.

Luba dziewico pozdrawiam cię w Bogu.

III.

Pozdrawiam cię w Bogu niewiasto, co święcie
Przysięgą do grobu związana,
Podążasz przeczysta w tym życiu odměcie,
Przy boku małżonka i pana.

Ty w znoju mu z czoła ocierasz pot krwawy,
Do ofiar tyś jemu podnieta,
A jeśli cię blaskiem otoczy swej sławy
O! jakżeś ty dumna kobieto!

Ty wprawną twą ręką ujęłaś wrzeczono,
I kądziel, jak zwyczaj chce stary,
I nigdy w marzeniach twe myśli nie toną,
Bo praca odgania te czary.



SEWERYNA Z Ż. PRUSZAKOWA.

Nikt ciebie nie widział w klejnotach i złocie,
Twe ściany nie zdobne w makaty,
Lecz chleba i serca nie skąpisz sierocie,
A ludek w twej włości bogaty.

Dla gościa szeroko otwarte twe progi,
Tam garną się krewni i kmiecie,
Bo słodka tam cisza i pokój tam błogi,
Choć zamieć i burza na świecie.

I co dnia po pracy, brzmi pieśń twa w pokorze,
Z modlitwą czeladki złączona,
A słucha tej pieśni, jaśniejsza nad zorze,
Marya z dzieciątkiem u łona.

I twoje dni płyną, jak woda zyzniąca,
I pokój zamieszkał w twym progu,
O! wytrwaj i działaj, dla wzoru tysiąca,
Niewiasto! pozdrawiam cię w Bogu!

IV.

O matko Polko! pozdrawiam cię w Bogu,
Tyś jako lipa wciąż wichrem miotana,
Stopą na ziemi, myślą w niebios progu,
Ramiona wiecznie wyciągasz do Pana,
I przez nie z góry zdroje święte płyną
Błogosławieństwa nad smutną rodziną.

SEWERYNA Z Ż. PRUSZAKOWA.

O matko! ciebie szczęśliwą Bóg zowie,
Bo cel dni twoich wytknięty tak jasno,
Czemuż twe łzami zalane wezgłowie,
Czemu twe oczy w mgłę tęsknoty gasną?
Czemu przedwcześnie na lica twe hoże,
Spada cień smutku, a trwoga wyciska
Ślad na twym czole? ach? bo jutro może
W cichą trumienkę zmieni się kołyska...
Może, co gorzej, to dziecię, co we śnie
Do ciebie drobne wyciąga rączęta,
Z pod skrzydeł twoich wybiegłszy przedwcześnie,
W światowych pokus uwikłane pęta,
Choć wzrośnie ciałem lecz ducha pogrzebie,
I umrze matko, dla Boga i ciebie!

Lecz nie trać wiary! Jak w poranku rosa
Wciąż twa modlitwa ku niebu niech płynie,
A dżdżem majowym spuszczą ją niebiosy,
Na serce dziecka w upadku godzinie,
I z nią stróż anioł, co ubiegł w pomroku,
Wróci i stanie u młodziana boku.

Złóż do pacierza niemowlęciu dłonie,
Dziecka modlitwa, to siane wczas ziarno,
Co z wiosną rolę zazieleni czarną,
A latem kłosa wyda na zagonie;
I z onych kłosów dojrzałych twe dziecko,
Bogaty wieniec zasługi uplecie.
Śpiewaj mu Matko! Ukojone pieśnią

SEWERYNA Z Ż. PRUSZAKOWA.

Niech do snu klei niemowlę powieki,
A choć się lata dziecięce wnet prześnią,
Piosnka do serca przyrośnie na wieki.
Ona mu będzie czarodziejskim źródłem,
Z którego wiecznie żywy źródź wytryska,
Co duch ukrzepia, a w sercu wychłodłem
Rozżarza płomień świętego ogniska.

Śpiewaj mu matko! a pieśń twoja święta,
Zakwitnie w duszy jak kwiat wsiany wiosną;
I pieśń matczyną dziecię zapamięta,
Kędy mu skrzydła do lotu odrosną.

A nad kołyską dziewczeczki uspionej,
Niech brzmi inaczej twa piosnka natchniona:
Śpiewaj czem były te zacne matrony,
Co bohaterskie karmiły plemiona.

Śpiewaj o matko! módl się pełna wiary,
A dzielna dziatwa wyrośnie w twym progu,
Na twoje trudy, na łzy i ofiary,
O matko Polko! — pozdrawiam cię w Bogu!

V.

I ciebie jeszcze pozdrawiam w Bogu,
Zakonna siostrzo, żywy aniele,
Coś zagrzebała w klasztorным progu,
Ziemskie nadzieje — ziemskie wesele!

SEWERYNA Z Ż. PRUSZAKOWA.

Kwiat już nie błyśnie u twego czoła,
Krasą radości lica nie spłoną —
Ach! w wyższe drogi Bóg ciebie woła,
Wyższą nadzieją krzepi tve łono.

Gdzie macierzyńskiej brak dziatkom ręki,
Gdzie łza tęsknoty spływa na lica,
Gdzie brzmia chrapliwe konania jęki
I blada śmierci płonie gromnica,

Gdzie ludzkość cierpi — bluźni i kona,
Gdzie kłatwa kala usta łazarzy:
Tam jeszcze twoja dłoń nieskazona,
Zjadliwej rany tknąć się odważy.

Tam anielskiemi ty umiesz skrzydły,
Nad tych łazarzy zbolałą głową,
Rozwiąć grobowca wyziew obrzydły,
Miłością zakląć bluźniercze słowo.

Umiesz do kłatwy wzniesione dłonie,
Z kornem poddaniem zwrócić ku Bogu,
I żal rozbudzić w krzepiacem łonie,
I duch z brudnego dźwignąć barłogu.

O! bo cudowna moc twej ofiary,
Ona łask Bożych przyciąga zdroje!
Wobec tych cierpień — tych łez bez miary,
Jakim spokojem lśni oko twoje?

SEWERYNA Z Ż. PRUSZAKOWA.

Bo myśl z modlitwą wiecznie do góry,
Podąża święta i nieskalana —
A oko patrzy przez mgły i chmury,
Wciąż w promieniste oblicze Pana.

Ah! dźwigaj ludzkość w łzach i boleści,
Prowadź zbłąkanych do niebios progu —
Ciebie anioła w szacie niebieskiej, —
Zakonna siostrzo pozdrawiam w Bogu!

VI.

I was pozdrawiam w Bogu siostry moje,
Skrzętne żniwiarki na ziemi ojczystej,
Co za nic wążąc mozoły i znoje,
Do wspólnych brogów składacie plon częsty.

Twarde to brzemie na wątłe ramiona,
Nie jedna padnie nim zdąży do mety,
Lecz dzielność woli zapory pokona,
A w braku ludzkiej Bóg doda podniety.

Zdążajcie śmiało raz obraną drogą,
Niech wasze słowo brzmi w rodzinnem kole,
Niech się rozlega pod strzechą ubogą,
Uczy, pociesza i koi niedolę.

Zacne mistrzynie młodzieży i ludu,
Wam się o sławę nie dobijać marną,

Małaż nagroda waszych prac i trudu,
Gdy w prostych sercach w kłos wyrasta ziarno.

Rzucicie oczyma na ten niezmierny,
A żyzny obszar minionych stuleci,
Jakim tam plonem falują zagony,
Ileż tam kwiatów na ugorach świeci.

Na skrzydłach wiatru przepływa tam jeszcze,
Uroczy odgłos Czarnoleskiej pieśni,
Tam grzmia piorunem słowa Skargi wieszczę,
Na które niegdyś truchleli współcześni.

Tam mowa Reja z wrzącej pieśni snuta,
Spada jak topór, dzwoni jak dźwięk stali;
Tam płynie wdzięcznie jak flisarska szkuta,
Pieśń Klonowicza po wiślanej fali.

Tam na tej niwie żyźnionej przez wieki,
Gdzie tyle kwiatów i kłosów rozkwita —
Miód do ojczystej zbierajcie pasieki,
By młode plemię karmić nim do syta.

A wy, co pieśni umiecie urokiem,
Podźwignąć serca i zażegnać chmury,
Ah! dążcie myślą i sercem i okiem,
W ślady skowronka — wysoko — do góry.

On szare piórka gdy otrząśnie z rosy,
Nęcony złotym jutrzzenki promieniem,



SEWERYNA Z Ż. PRUSZAKOWA.

Im wyżej skrzydła unosi w niebiosy,
Tem nadobniejszym odzywa się pieniem.

Tak i pieśń wasza, niech z modrych przestrzeni
Płynąc, rozsiewa czar w domowym progu,
Niechaj ognisko święte rozpłomieni,
Śpiewaczki polskie — pozdrawiam was w Bogu!



DO SIÓSTR MOICH.

—

Dolo niewieścia! święta wielką łzą miłości,
Niezmierzony skarbiec szczęścia dano ci w rozpiątę,
Odkąd Marya w gwiazdzistą obleczona szatę,
Okazała nam drogę naszą wśród ludzkości.
Droga prosta i łatwa, bo na nią popycha
Jakiś anioł, stróż Boży, serdeczne natchnienie!
Drgając w piersi kobiecej jak melodia cicha,
Woła na nią: Kapłanko! oto namaszczenie...
Namaszczenie miłości! Niem opromieniona
Niewiasta polska stoi w przybytku domowym;
To nie Westalka Rzymu biało przystoniona,
Nie Druidka pogańska w wieńcu swym dębowym.
Płomię tego ołtarza, który strzeże ona,
Stokroć świętszym i czystszy promieniem jaśnieje:
To matka chrześcijanka! Mlekiem swego łona
Karmi, a żywym ciepłem piersi swojej grzeje
Dzieciątko złotowłose, jak aniołek Boży:
Tylko zda się skrzydełek do ramion mu trzeba,



MARYA ILNICKA.

Tylko rąbka obłoków i promyka zorzy,
A uśmiechnie się ziemi i wzleci do nieba.
Lecz nie, aniołek do niej wyciąga rączęta,
Różowe swe usteczka do ust jej przytula,
Piers jej drży, zbytkiem szczęścia niemal uciśnięta,
Chce się zaśmiać, a płacze i śpiewa i lula.
Aż się skleiły modre oczki niemowlęcia...
Matko! teraz stróż anioł zajmie miejsce twoje;
Nie, nie, jasny Aniele! czuwajcie oboje,
Ona nie zdoła swego rozemknąć objęcia.
Ona będzie noc całą klęczyć pochylona,
Noc całą patrzeć cicho w uspięne swe dziecię,
A kiedy pierwszym zorzy blaskiem zapłoniona,
Ku niebu wzrok w pobożnym podniesie zachwycie:
Siostry moje! pytajcie czy ona szczęśliwa?
Czy żądza innej doli w myślach jej zagości?
Przeszłość z przyszłością w święte spajając ogniwa,
Ona skarb swego szczęścia złożyła w miłości!...
I chociaż może nieraz na tej życia drodze,
Gorzkiej żółci z ziemskiego zaczerpnie kielicha;
Choć nieraz może z oczu łza popłynie cicha,
A miecz boleści serce jej przeszyje srodze;
Ona jeszcze spełnionym uwieńczona celem,
Ku niebu za aniołem patrząc tajemniczym,
Czuć się będzie szczęśliwą tem świętem weselem,
Co nad Maryi schylonem połyska obliczem.
Bo miłość co gorącym objęciem Cheruba
Utuliła w swój uścisk łono jej niewieście,
Nad wszystkie ziemskiej nędzy troski i boleście,

Wzniosła ją po ognistej drabinie Jakuba,
Aż tam, skąd już na krwawej Golgoty wyżynie,
Zieloną różczkę palmy widzi się jedynie!

* * *

Bogarodzico! niewiast Królowo!
Jak gwiazd korona nad Toją głową
Tak niech Twa łaska świeci nam z góry,
I starej drogi znajomym śladem,
Pobożnych matek świętym przykładem,
Prowadzi młode tej ziemi córy!
Niech myśl ich czysta, jak pieśń skowronka,
Gdzieś się fałszywym torem nie błąka,
Kędy cel Boży oczom się kryje!
Niechaj pod cieniem domowej strzechy
Świecą się jasne bóstwa pociechy,
Szarej tej ziemi białe lilije,
Pojęciem zdrowe a sercem czyste!
Niech w piersiach cnoty noszą ojczyście,
Męstwo wśród walki, siłę w niedoli;
By dziecię, co się ma zwać człowiekiem,
Z słodkiem je kiedyś wyssało mlekiem,
Kwoli przeszłości — przyszłości kwoli!
Kaptanki ognia, co się rozżarza
U rodzinnego tylko ołtarza,
Niechaj go strzegą, bo on jest Żywie!
Życie narodów nim się podsycą,



MARYA ILNICKA.

W nim chrześcijańskich cnót tajemnica,
Jako w miłości pierwszym ogniwie.
A jeśli kiedy w trudach ofiary,
Słabym ich sercom zabraknie wiary,
Ze to najświętszy ich cel w ludzkości:
Bogarodzico! krzep wątłe siły!
A ty aniele cichej mogiły,
Gdzie naszych matek złożono kości,
Wstaw się za nimi, wstaw się do Boga:
Niech się nie skrzywi życia ich droga,
Ściganiem jakiejś zwodniczej mary.
Prawdziwe szczęście blisko nas mieszka,
Prosta do niego prowadzi ścieżka,
Żywej miłości — i czystej wiary!

MARYA BARTUS.

AKTORKA.



Spojrzyjcie! na głowie szychową koronę,
Na szatach ma jedwab kosztowny,
Śmiech rzuca jej sztuka na usta spalone,
A na twarz rumieniec kunsztowny.
I wyszła, królowa piękności i blasków,
I sieje słów perły dokoła,
A przed nią, wre burza szalonych oklasków,
A za nią... płacz Stróża-Anioła!

Zgubiona! — dla czego? — spojrzycie w jej lica,
To lica natchnionej kapłanki!
To wielkiej idei oddana dziewica,
Do świętych walk, staje tu w szranki!
I sztuki przeczyste poślubia ognisko,
Ku światłu podnosząc ramiona;
Dla czegoż nad wielkiej tej duszy kołyską,
Zawisnął sąd straszny: — zgubiona!?

MARYA BARTUS.

Dla czego? — o świecie! — odpowiedz; — bez maski
Niech ujrzę twe brudne oblicze!
Dla czego? — bo patrzeć nie możesz na blaski,
Co sieje to czoło dziewicze!
Bo słuchać nie możesz tych wielkich słów dźwięku,
Czystemi głoszonych ci usta,
Dopokąd nie pęknie hart piersi tej w jęku,
Nie skala jej oddech rozpusty!

A służą ci w dziele spółniki zbyt chętne:
Sieć intryg misterna i zradna,
I ufnej młodości porywy namiętne,
I złota potęga wszechwładna...
I podłość, co prawdą się mieni nikczemnie,
I wszystkie ludzkości szkielety —
Tak wiele, tak wiele! by tylko pchnąć w ciemnie,
Majestat bezbronnej kobiety!

A potem w złoconej rozpartszy się łoży,
Oklaskiem urągać zdeptanej!
Nim życia gorączka złamaną gdzieś złoży,
Bez dachu, na nędzy łachmany!
Nim biedne jej serce ten straszny sen prześni,
Co rajskiem się zaczął widzeniem,
Nim padnie, kochanka wielkości i pieśni,
Pod ciężkim pogardy kamieniem!

Bo pocóż ku słońcu, tak śmiało, zuchwale,
Skrzydłata jej dusza ją niosła?

MARYA BARTUS.

I gromy trzaskała na ludzkich serc skale,
I stała śród tłumu wyniosła?
I miała odwagę o prawdzie mu prawić,
Wśród ducha wysień i dreszczów?!
Bawiła przez chwilę! — świat lubi się bawić:
Krwia ofiar i łzami swych wieszczów!



MARYA KONOPNICKA.

JEJ PAMIĘCI.



Przeszła i zgasła, jak promień miesiąca,
Ta ukochana i ta miłująca;
Przeszła i zgasła i noc po niej głucha
Serca i ducha.
Jak złota zorza, gdy zmrok da swe hasła:
Przeszła i zgasła.

Błogostawiona ścieżka owa cicha,
Którą chodziła po wszystkie dni życia,
Woń swą oddając, jak kwiat co oddycha
Przez serca bicia...
Czucia i myśli ku miłym skłoniłone,
Błogostawione!

Nad jej mogiłą nie płatne pochwały,
Nie głośnie hymny, nie czcze uwielbienia,
Ale łzy żalu gorące padały
I szły westchnienia...

MARYA KONOPNICKA.

I każdą grudkę rzucono tam ziemi,
Dłotkami drżącymi.

I dziś ten dworzec pod cieniem topoli,
Co wykołysał ją swojemi szumy,
Jęku jest pełen i ech i niedoli,
Pełen zadumy.

I białe lilie w łzach stoją w ogrodzie,
Po jej zachodzie.

Nigdy już ona nie będzie tam bliska,
Przy piersi męża, nad dziecka kołyską,
Ni wspólna radość, ni troska poruszy,
Tej domu duszy...

I wzrok jej słodki już łzą się nie zaćmi,
Nad ludźmi — braćmi.

Odeszła cicha i duchem widząca,
Że już jej gwiazda w błękitach gdzieś ginie,
Ostatnie tchnienie, zrodzone do słońca
Dając dziecinie...

I życia z sobą nie wzięła — lecz dała
Z ducha i ciała.

Ty, coś ją kochał, idź w kraje żałoby
I gorzkim wspomnień nasycaj się chlebem;
Bo szczęścia twego nie wrócą ci groby,
Tu, pod tem niebem...

I już nie znajdziesz tej perły odjętej,
Tej twojej świętej.



MARYA KONOPNICKA.

W pustce i w cieniu, jak kruk osowiały,
Siędziesz ty teraz w tym domu boleści;
I będą tobie ściany powiadały

Dawne powieści...

W pustce i w cieniu, na szczęścia ruinie,
Twój wiek przeminie.

O! wiosno! Czemu najbielsze twe róże
Mdleją i wędną wśród słońca pieszczoty?

O! słońce! Czemu zagasa w lazurze,

Promień twój złoty?

O! życie! czemu w rozkwicie swej siły

Sypiesz mogiły?...

Cisza!... W tej ciszy słyszę głos tajemny,

Wieszczący tryumf najwyższy miłości,

Co nad śmierć mocna, przenika świat ciemny

Nieskończoności...

Cisza... Szczęśliwy, kto duchem w tej ciszy

Boga dosłyszy!

SWATY.

—

Nie swatała mi cię swatka,
Ani ojciec, ani matka;

MARYA KONOPNICKA.

Jeno pieśni skowronkowe
W te poranki, w te majowe;
Jeno jasne one zdroje,
Kędy konie co dnia poję;
Jeno gołąb ten skrzydlaty,
Jeno dróżka do twej chaty,
I fujarki onej granie,
Co rozlega się po łanie,
I te trzciny, rokiciny:
— Jedźże Janku do dziewczyny —
Hej!...

Nie swatały mi cię kумы,
Jeno ciemnych lasów szумы,
Jeno tęskność co się ściele,
Po ugorach jak złe ziele;
Jeno mokra ona łąka,
Gdzie się nocką tuman błąka;
Jeno złote ono słońce,
W cichych zorzach zachodzące...
Odwieczerezem jednym, drugim,
Pług za łanem, ja za pługiem,
Za mną zasię słońko chodzi,
— Dziewczę ci się Jaśku godzi —
Hej!...

Ludzie mi się nie rajli,
Ani do mnie miodem pili,



MARYA KONOPNICKA.

Jeno ten miesiącek biały,
I te gwiazdy cię swatały.
Nie chodziły tu sąsiady,
Na namowy, na wywiady;
Jeno cichoć wieczorowa,
Niosła skądciś miłe słowa;
Nocka jeno w oknie stała,
Chłodną rosą przypijała,
Chłodną rosą mnie budziła:
— A gdzie Jaśku twoja miła?
Hejl...

CZY ZGINIE?

Między stosami tłuczonych kamieni,
Na których ludzkie łzy drżały, czy rosa,
Szła wąskim rąbkiem przydrożnej zieleni,
Błękitnooka i złocistowłosa.
Drobne serduszko pod nędzną odzieżą,
Tak ci trzepało jak ptaszek ukryty;
Szła i wznosiła oczęta w błękity,
Jak ci co smutni są, a przecież wierzą.
Za nią została z dymami czarnymi
Wioska rodzinna i puste jej pola,
I wiatr, co lata ze świstem nad niemi

I zda się jęczyć i wołać: niedola!
Za nią zostały te szmery kojące,
Którymi cisza usypia tęsknotę,
I szumy lasów i kwiatki te złote,
Co pierwsze wschodzą w przednowek, na łące.
I młyn co huczy i straszy i gderze,
I rozbryzgana w jutrzhenki i tęcze
Rzeczka, co szepcze wieczorne pacierze,
I nocą przędzie mgły srebrne, pajęcze.
Za nią została rodzinna jej chata,
Z której ją bieda wypchnęła za progi,
I szmatek ziemi jałowy, ubogi,
Co rodzi żyto raz w każde trzy lata.
I mały Jasiek, co w zgrzebnej koszuli,
Nosi wczorajsze zgłębiałe ziemniaki,
I Burek, co się tak łąsi i tuli,
I wierzby krzywe nad rowem i krzaki,
I krzyż spróchniały i stare mogiły
I zapomniana socha na ugorze,
Przy której ojciec padł kiedyś bez siły,
Czując, że dzieciom chleba nie wyorze.
Wszystko zostało! aż w piersiach coś boli,
I takie krwawe to niebo wieczornel...
Matka trzydniówką odrabia komorne,
A ty sieroto, idź, szukaj twej doli!
Hej, mocny Boże! hej, mocny Ty Boże!
Iść ciężko... ciężiej umierać od głodu!

* * *



MARYA KONOPNICKA.

Podniosła oczy: tam w łunach zachodu
Stolica gore i kipi jak morze,
Zda się, że od niej zar bucha i parzy...
Jakieś wołanie i śmiechy i jęki...
U spodu ciemne mrowisko nędzarzy,
A nad niem nuta rozpustnej piosenki...
Dech przyspieszony w powietrze uderza,
Zmieszane tłumy prą naprzód i spieszą...
Na bok, kto niema złotego kołnierza!
Zgniotą cię, zdepcą, a potem ośmieszą.

* * *

O! miasto! Wielki żądz steku i brudu,
Co zwodnym blaskiem przywabiasz zdaleka;
Powiedz: co spotka i co tutaj czeka,
To ufne, czyste dziecię twego ludu?
Czy pójdzie ono, jak poszło tysiące,
Spodłone, w gorzką poniewierkę losu,
Tak, że ni oczu obrócić na słońce,
Ni się ośmieli podnieść w niebo głosu?
Czy znajdzie w tobie ciche przytulenie,
Jako sierota w braterskiej drużynie?
O miasto wielkie! na swoje sumienie
Bierzesz to dziecię!... — Czy zginie?

ROMAN ZMORSKI.

ODPOWIEDŹ NA PYTANIE.

—

Pytasz: gdy ucho moje zachwyca,
Arcymistrza dzieło szczytne,
Czemu się w Twoje wpatruję lica,
I w twoje oczy błękitne?

Kiedy wspaniały koncert przyrody,
Letnia odzywa się burza,
Ja lubię siadać nad brzegiem wody,
U drzew szumiących podnóża.

Wysłuchany w wielki zamęt ten dźwięków,
Szumu lasu, trzasku łomów —
Sierocych w polu grusz dzikich jęków,
Wycia wichrów, bicia gromów.

Wzrok zachwycony topię w odbicie
Niebios, jak morze wzburzonych,
Chmur poszarpanych błysków czerwonych,
W ruchomej fali błękitnie.

Niby podemną stado za stadem
Tych widm rozczochranych ściga;



ROMAN ZMORSKI.

Niby podemną, po tle ich bładem,
Tysiąc ognistych zmij miga...

Patrząc i marząc, już zapominam
O ziemi, już, już się zda mi —
Orle gdzieś skrzydła w górze rozpinam,
Nad ryczącemi chmurami.

Aż tchnieniem wихru porwanej piany,
Pocałowaniem wilgotnem,
Zbudzę się nagle, rozczarowany,
Po nad jeziorem samotnem...

Tak, gdy powietrza morze milczące
Zawichrzy burza harmonii —
Gdy całe drżące, w tonów tysiące
Grzmi, wre, huczy, śpiewa, dzwoni;

Gdy owładnione czarem ich łono,
Gdy serce bije wysoko:
Z równym zachwytem w twą twarz natchnioną,
W twe jasne spoglądam oko.

Jakże uroczo w ich się przezroczu
Zwierciedli dźwięków gra cała!
To niebo żrenic łza smutku mroczy,
To grom zapału z nich pała.

To w zadumaniu, splot hebanowych
Włosów, na lica cień ciśnie —

ROMAN ZMORSKI.

To z uśmiechnionych ust koralowych,
Rząd jasných pereł zabłyśnie...

Własnych mych uczuć w anielskiej twarzy,
Cudowne widząc wcielenie,
Oczarowane me serce marzy
Rozkoszne, rajske marzenie:

Że jak ta biała jeziora piana,
Na twarz mą wichrem rzucona,
Potęgą zgodnych uczuć porwana,
Upadniesz w moje ramiona.

I jak się zgodnych dwojga strun brzmienia,
W harmonijną jedność płaczą,
Tak nasze usta, tak nasze tchnienia,
W jeden się akord połączą.

Oto masz szybkim rymem spisana,
Z uczuć i snów moich spowiedź.
Kiedyż sny moje ciałem się staną?
Winnaś mi teraz odpowiedź.

Nie brudnem piórem, nie w rymach brzmiących,
Nie żadnym językiem ziemi:
Pójdź! niech ją sobie usta drżącemi,
Z ust twoich wezmę milczących!



WIKTOR GOMULICKI

MUSISZ KOCHAĆ.



Próżno śląc w niebo oczy i westchnienia,
Aniołom tęskną uzalasz się mową,
Próżno, upadłszy na pierś Chrystusową,
Całujesz ręce i stopy z kamienia;
Próżno, gdy płyną kadzidła i hymny,
Chcesz z niemi sercem ulecieć wysoko;
Próżno na chmurach wieszasz błędne oko,
Próżno, płonąca, kamień ściskasz zimny,
Ani przy modłach krótkie wniebowzięcia,
Ani cię zbawią podobłoczne loty:
Lilja w noc letnią rzuca płaszcz swój złoty,
Dziewica rzuca białe sny dziecięcia.
A taka siła w tym bożym wyroku,
Że jej przełamać nikt z ludzi nie zdoła;
Gwiazdy wprzód strąca z dziewiczego czoła,
Potem strąconym każe płonąć w oku.
I nie otwarcie walczy, lecz zdradziecko,
I kiedy schodzi, nie wstrzymać jej w locie:
Przyjście jej dusza czuje po tęsknocie,
Przez nią w człowieka olbrzymieje dziecko.

WIKTOR GOMULICKI.

Gdybyś tytanów miała myśli dumne,
I tę moc, która śmiertelnego trwoży,
Bezsilna padniesz, kiedy wyrok boży,
Każe ci wybrać miłość albo trumnę.
Pocóż na licach ta Pallady maska,
Pocóż na sercu ten puklerz ze stali?
Jeśli pierś z drzewa, mamiętność ją spali,
A jeśli z głazu — roztrzaska.

ANIELSKIEJ.

Miałaś uśmiech dziecięcia, spojrzenie Madonny,
W licach blaski, nad czołem włosów jasnych zwoje,
Przeszłaś, i jak za słońcem heliotrop wonny,
Tak za tobą się oczy obróciły moje.

Byłaś piękną, jak Ewa marząca w Edenie,
Promienną, jak Cheruby na obrazach Giotta,
Trwożną jak pierwsza miłość, czystą jak westchnienie,
Świątą, jak zakonnicy za niebem tęsknota.

Byłaś ciszą. Namiętność, zmysłów wicherzycielka,
Nie kładła na cię wieńca z płomieni i gadów;
Byłaś blaskiem. Przed tobą grzech i ciemność wszelka,
Kryły się, jak przed słońcem ćmy, parje owadów.



Wł. L. ANCZYC.

Czy lubi? — nie lubi?...
Bezwiednie cię gubi,
Bez myśli zgruchota,
Niecnota!

Bo śliczna, bo cudna,
Bo wdzięczna, bo złudna,
W pierś rzuca zarzewie,
Choć nie wie.

Wesoła a tkliwa,
Marząca a żywa,
A wzrok ma uroczy,
Ach! oczy!

Promienne jak zorze,
Głębokie jak morze,
A tęskne jak pienia —
Wspomnienia.

Jej główka jak święta,
W krąg blasków ujeta,
A włoski, a szyjka...
Ach! zmijka!

Gdy wdzięcznie szczebiocze,
Takie to urocze,
Że wieczność z nią całą
Być, — mało!



Wł. L. ANCZYC.

Małutka pieszcotka,
To drapie jak kotka,
To oczkiem nagrodzi,
A zwodzi!

Gdy śmieszkiem zczaruje,
Gdy łezką cię struje,
O! któż ci pomoże,
Nieboże!

Więc lecą ofiary:
I młody i stary,
Bo któż się obroni,
Jej broni?

Miej litość dziewczyno!
Gdy wszyscy wyginą,
Cóż ci się zostanie —
Tyranie!



HENRYK MERZBACH.

ONA.

—

Znałem kobietę: jak anioł zgody
Zesłaną na ziemię była;
W jej jasnym oku, jak na dnie wody,
Perła uczucia świeciła.

Na bladej twarzy tłał święty płomień,
Różany blask niewinności...
Była to urna pełna łez, wspomnień,
Nadziei, wiary, miłości.

Jak rezygnacja tęskna i rzewna,
Łzy zawsze w oku swem miała;
Jak biała lilia, wątpa, powiewna,
Nad brzegiem życia się chwiała.

Chwiała się lilia — lecz w górę rośla,
W słoneczne patrzyła wrota:
Skrzydła jej duszy były jej wiosła,
Co wiodły łódź jej żywota.

HENRYK MERZBACH.

Łódź jej płynęła jak łabędź biały,
Po niebie, skrzydły drżącemi;
W górze ją złote gwiazdy kochały,
Wiosenne kwiaty na ziemi.

Tamte dzieliły blaski z jej snami,
Te woń z jej duszy szkarłatem:
Z gwiazdami siostra, siostra z kwiatami,
Była i gwiazdą i kwiatem.

Duchem wiązała dwa wielkie światy,
Które los życiem przecina;
Lecz gwiazdy znikły, powiędły kwiaty...
Umarła biedna dziewczyna!



ALEKSANDER KRAUSHAR.

MIŁOŚĆ KOBIETY.

—

Raz mi mówiono że są tu na ziemi,
Białe szatany z oczyma czarnemi,
Które, gdy wezmą w swe śnieżyste ręce
Serce człowieka, to czucia najświętsze,
Zachwyty płomień, marzenia dziecięce,
Miłość, nadzieję i myśli gorętsze,
Strują w niem, zgaszą i w przepaść bezdenną
Rzuca, na pastwę zwątpieniu i skardze,
By nową światu ofiarę płomienną,
Posłać z szyderstwem i kłatwą na wardze.

«A jam się pytał: gdzie szatany owe?»
A z trwogą odtąd, gdy duchów godzinę
Zwiastować miały zegary wieżowe,
Patrzyłem w niebo, na obłoki sine,
Myśląc: że wkrótce z gwiazdzistej opony,
Potwór ten czarny i do mnie przyleci,
I serce moje pochwyci w swe szpony,
Miłość zeń wydrze i z śmiechem odleci.

ALEKSANDER KRAUSHAR.

«Lecz wtedy przy mnie luba moja stała»
Z rączką na sercu, z uśmiechem słodczy...
Więc dusza moja z niewiarą pytała:
Czy może istnieć potwór tak zbrodniczy?

* * *

Długom się myślą tą nieznośną biedził...
Dziś, do niewiary mniej jestem ochoczy...
Bo mnie samego szatan ten nawiedził,
Tylko ten szatan — miał błękitne oczy!



MICHAŁ BAŁUCKI.

NIE W PORĘ.

=

Raz byłem u niej; z kotkiem na ręce
Siedziała w oknie w białej sukience,
I paluszkami drażniła kotka:
Pieszczotka!

W około twarzy dziewczęcia białej,
Zarumienionej, loczki się chwiały,
I uśmiechały się oczka czarne,
Figlarne.

Siedzę i czekam godzinę całą,
By dziewczę z kotkiem igrać przestało
I pogadało kilka słów ze mną...
Daremno!

Ani mnie widzi, ani mnie słyszy,
Kotek jej rączkę chwyta jak myszy,

MICHAŁ BAŁUCKI.

Czasem zadrapie, ona to woli —
Choć boli.

Więc rzekłem sobie: jeszcze zawczasie
Pukać w serduszko co leży we śnie,
I unikałem dziewczeczki białej,
Rok cały.

Kiedym powrócił, znów w tym pokoju,
Przy tem okienku pełnym powoju,
Bluszczów, siedziała moja pieszcotka,
Bez kotka.

Lecz czegoś dziwnie zmieszana była,
Oczy ku ziemi wstydnie spuściła,
I zrumieniła się jak jabłuszka,
Po uszka.

Byłem pewniutki że z mej przyczyny...
Wtem wiatr firanek ruszył muśliny,
I zobaczyłem sprawcę rumieńca:
Młodzieńca.

I znów panienka, jako przed rokiem,
Choć siedzę, czekam, nie rzuci okiem;
Lecz już nie kotek tym razem winny:
Kto inny...



MICHAŁ BAŁUCKI.

Kto inny śpiące zbudził serduszko,
I szepta teraz miłośnie w uszko...
Ha, szkoda! Późno przyszedłem trocha:
Już kocha!

====

ONA.



Ona — słówko drobne wcale,
Marnych trzy liter wszystkiego,
A posłuchaj jak wspaniale,
Brzmi w uściech zakochanego.

Odą, gdy sercu wesoło,
Elegią, gdy rozżalone,
Satyrą, gdy ktoś mu czoło
W przykrą przystroił koronę.

Ona — to znaczy jak czasem,
«Anioł» — «Niebianka» — «Bogini»...
Ze łzą: *okrutna!* a czasem
Z ściśniętą pięścią: *zdrajczyń!*

Ona — to znaczy, stosownie
Do osób, zdarzeń a woli:
Ormuzd, Ariman... dosłownie
Anioł stróż życia, — wróg doli!



J. S. CHAMIEC.

Ona — wreszcie, choć dość rzadko,
W poczciwej twierdzim to wierze,
Gdy spadkuje się z *męzałką*,
Synonim swój ma w ofierze!

Lecz jakie zgoła znaczenie
Z słówkiem tem umysł nie splecie,
To zawsze niem orzeczenie,
Tajemnic serca znajdziecie.

Zawsze ono wiernem echem
Ludzkiej tutaj będzie doli.
Respekt więc przed szczęścia śmiechem!
Respekt więc przed tem co boli!

Respekt przed *Nią*, przed kobietą,
Przed niewiastą, białogłową,
Przed tą, tak do cnót podniętą
Jak i do zbrodni podmową.

Ona — słówko drobne wcale,
Marnych trzy liter wszystkiego,
A posłuchaj, jak wspaniale,
Brzmi w uścich zakochanego!

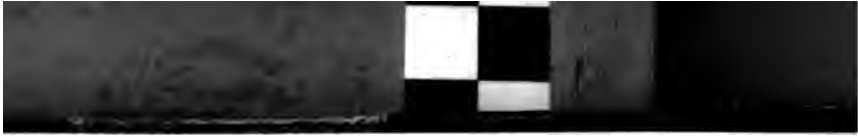
MIKOŁAJ BIERNACKI.

MODNIE UBRANA.

—

Boże! jakiś Ty łaskawy!
Dzięki Ci za dary Twoje!
Koncerta, bale, zabawy,
Ostatnie mody i kroje.
W lustrze od samego rana
Mierzę, przymierzam i mierzę:
Ach! w ogrodzie na spacerze,
Będę najmodniej ubrana!

Powiadają że to zbytki;
O co tu tyle hałasu?
Dwieście łokci aksamitki,
Sześćdziesiąt dziewięć atłasu:
Pięć piór, chustka haftowana,
Z diamentów brosza niewielka...
Ach! doprawdy, bagatelka:
Będę najmodniej ubrana!



MIKOŁAJ BIERNACKI.

Któż tam taki w kuchni płacze,
Ze aż tu słysząc przez ścianę?
To nasze dzieci! smarkacze
Jakie to umorusane!
Idźcie precz!... *à la Pastrana*,
Przynieśli właśnie okrycie...
Ach! to dobrze, na odczucie,
Będę najmodniej ubrana!

Już idzie pan Piotr uczony
Prawić o literaturze!
Niech plecie brednie do żony,
Albo do kolegów w biurze.
Niema mnie! Moja falbana
Jak leży? pójdę, popatrzę:
Ach! wieczorem na teatrze,
Będę najmodniej ubrana!

Helenka mi się przysięga,
Ze noszą już inne bufki;
A mój pan mąż niedołęga,
Mówi, że wydał łapówki.
Srebrna waza już sprzedana,
Więc zastawiam cukiernicę...
Ach, wybornie! na muzyce,
Będę najmodniej ubrana!

Onegdaj mnie rwała głowa,
I ciężkie napadły smutki;

Mówili, że Alfredowa
Miała bąble u narzutki!
Byłabym już pogrzebana,
Gdyby nie rada Anielki;
Ach! mam te same bąbelki!
Będę najmodniej ubrana!

Od wczoraj mdleję i krzyczę,
Mąż mówi że niema centa;
Safanduła, ja pożyczę,
Pożyczę, lecz popamięta!
Pan Alfons już dzisiaj zrana
Wspominał... więc go ośmielę...
Ach! i po jutrze w kościele,
Będę najmodniej ubrana!

WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI.

BALLADA JAKICH WIELE.

—

1.

Siedziała zamyślona,
W kapryśnej była wienie;
Naprzeciw siedział młodzik,
Co kochał ją szalenie.

Rzekła: — «Ach jakbym chciała,
Mieć dzisiaj na wieczorze
Bukiet z kamelij świeżych:
Że też to być nie może!» —

On rzekł: — «A to dlaczego?» —
Spojrzała się nań dziwnie:
— «Że też się panu zawsze,
Chce pytać tak naiwnie.

O siódmej zjadą goście,
Już czwarta, mróz aż zgrzyta;

WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI.

Do miasta stąd trzy mile,
A pan się jeszcze pyta.» —

On powstał, nie rzekłszy słówka,
I wolnym wyszedł krokiem;
Że wyszedł, nie spostrzegła,
Nie pożegnała okiem...

11.

Trzy godzin nie minęło,
Panna już czeka w sali.
Złą drogę mają goście;
Wiatr mroźny z śniegiem wali.

Wszedł młodzik lecz tak blady,
Jakby go z krzyża zdjęli;
Lecz w oku lśni mu radość,
Bo niesie pęk kamelii.

— «Kamelje!»... krzyknie panna:
Est-ce possible? O mój Boże!
Mówże pan, skądżeś dostał
Kamelie o tej porze?» —

— «Przywożę je ze Lwowa,
Prosto od Klimowicza.
— «Co pan?» — «Ja pani, hrabia
Pożyczył mi *Wolwicha*». —

WŁODZIMJERZ ZAGÓRSKI.

— «Hrabia?! Ach, jaki dobry,
Mais voyez, jak to grzecznie!
Powiedz mu pan, że za to
Wdzięczną mu będę wiecznie!».

=====

IDEAŁY.

Dwie młode panienki w ogródku siedziały,
I tak szepcząc z cicha z sobą rozmawiały:
— Maryniu kochana, powiedz mi tak szczerze,
Jak szczerze odmawiasz codziennie pacierze:
Jakie twe marzenia o szczęsnej przyszłości,
O przyszłym kochanku, o przyszłej miłości,
O tym, kto zawłada uczuciem twem całym,
I kto jest nareszcie twoim ideałem?

— Ideał mój, Zosiu, jest piękny i młody,
Blondyn, oczu jasnych, z wąsikiem, bez brody,
Skromniutki w układzie, w obec mnie nieśmiały,
A tylko w zdarzeniu dumny i zuchwały;
Czuły, dźwięcznym głosem i oka wymową
Świadczący, że miłość jest rzeczą dlań nową,
Uczuciem pod wpływem mych uczuć dojrzałem:
Taki tylko może być mym ideałem.



ARTUR BARTELS.

— A ja znów inaczej, kochana Marylko!
Wprawdzie i ja także chcę młodego tylko,
Ale nie blondyna, ja brunetów wolę;
Lecz marzę bruneta o spokojnem czole,
O duszy ognistej, zarówno czułego,
Jak pełnego życia, oraz namiętnego,
Którego by miłość ciągłym była ształem:
Taki mem marzeniem, taki ideałem!

— Gdzie mieszkać ty pragniesz? — Na wsi. — A ja
Ale tylko dużem: w Paryżu, a wreszcie [w mieście,
Choćby i w Warszawie, byle teatr, bale,
Spacery, zabawy, wsi nie lubię wcale!
— Ja zabaw nie pragnę, dla mnie dość schronienia
I tej ciszy wiejskiej pełnej upojenia,
Wśród cudnej natury, pod niebem wspaniałem,
Byle obok niego, byle z ideałem! —

W lat piętnaście potem panienki widziałem,
Każdą poosobno ze swym ideałem.
Ideał Maryni, łysy jak kolano,
Kłócił się z małżonką, że go budzi rano;
Zosi zaś ideał krótki i brzuchaty,
Gderał, że nie w porę dała mu herbaty,
Ona go nawzajem nazwała cymbałem...
Trudna to doprawdy rzecz, być ideałem.



ARTUR BARTELS.

KŁÓTNIA
MOCIUDZIEJA Z MOCIADZIKĄ.

- Wasan starzeć się zaczynasz,
To wcale nieprzyzwoicie;
Czy Asindzi przypominasz
Dawne nasze dobre życie?
Ja go zwałam Bartłomiej, u
Aść mnie przecudną Moniką,
Czy tak Moci Dobrodzieju?
- Tak jest, Mocia Dobrodziko!
- Aść przystojnym był ułanem,
Ja byłam hożą dziewczyną;
Ty zgodnie ze swoim stanem
Lubiłeś karty i wino.
Wszak raz na hrabi Pociuju,
Wygrałeś folwark Sonico,
Czy tak Moci Dobrodzieju?
- Tak jest, Mocia Dobrodziko!
- Zgrabnym Aść byłeś tancerzem,
A jakim trzpiotem do tego!
To bywało, jak się zbierzem,
Tańcujem do upadłego.
Pamiętasz *mio amico*,
Anglez na bału w Oświeju?



ARTUR BARTELS.

- Pomnę Mocia Dobrodziko!
- I ja pomnę Moci Dzieju!
- Dawne czasy, Mocia Dziko!
- Dobre czasy, Moci Dzieju!

- Jak to my z tym czasem lecim!
Czy to Wasan obliczyłeś?
Wszakże to w ósmsetnym trzecim
Afekt mi swój oświadczyłeś,
Przed całą naszą publiką,
W tydzień po świętym Andrzeju.
- Tak jest, Mocia Dobrodziko!
- Widzisz Wasan, Moci Dzieju!

- Mimo damskiej moderacyi,
I nagabania wszelkiego,
Trzeba było waryjacyi,
Wyjść za wisusa takiego.
Dowiodłam, nie brak oleju,
Widząc w tem własne ryzyko.
Poszłeś z kwitkiem, Moci Dzieju!
- Poszłem z kwitkiem, Mocia Dziko!
- Poszłeś z kwitkiem, Moci Dzieju!
- Tak, niestety, Mocia Dziko!

- Potem przepadłeś bez wieści,
I długie minęły lata,
Bo lat z górą ze trzydzieści
Używałeś sobie świata.

- Dziś powrócić masz myśl dziką,
Do dawnego przywileju...
- Zgoła, Moci Dobrodziko!
 - Tak, tak, Moci Dobrodzieju!
 - Kłamstwo, Moci Dobrodziko!
 - Prawda święta, Moci Dzieju!
-
- Przewąchałeś nosem worek
Nieźle zgoła napełniony,
I porządny w mieście dworek,
I folwarczek opatrzoney.
Gore czapka na złodzieju,
Byłoby na «wowę Cliquot»...
Czy tak, Moci Dobrodzieju?
 - Kłamstwo, Moci Dobrodziko!
 - Tak, tak, Moci Dobrodzieju!
 - Nie, nieprawda, Moci Dziko!
-
- Ależ ja wzajem Jejmości,
Przypomnę niektóre grzechy:
Kto po śmierci jegomości,
W miłostkach szukał pociechy?
Kto, choć pości na oleju,
Lubi baliki z muzyką?
 - Kłamstwo, Moci Dobrodzieju!
 - Prawda szczerza, Moci Dziko!
 - Głupiś, Moci Dobrodzieju!
 - Mądraś wielce, Dobrodziko!

ARTUR BARTELS.

- Pozwól dokończyć nauki:
Kto w tym wieku się sznuruje,
Czarnej używa peruki,
Nawet brwi sobie farbuje,
A na twarzy róż na kleju
I chemia z całą fizyką...
- Głupiś, Moci Dobrodzieju!
- Mądraś wielce, Mocia Dziko!
- Precz mi z oczu, Moci Dzieju!
- Do nóg padam, Mocia Dziko!

SPOTKANIE.

—

Pośród kwiatów i świateł i dźwięków na balu,
On spotkał ją po długich latach niewidzenia,
I ona, bez wyrzutu, bez skargi, bez żalu,
Podała mu dłoń swoją, zimną — jak z kamienia.

I kiedy przy niej usiadł, spytała: czy jeszcze
Lubi walce, jaśminy i kolor niebieski?
Bo ja — mówiła z cicha — lubię tylko pieski,
Co mi palce kaleczą gdy się z nimi pieszczę.

Po chwili mąż jej przyszedł zgrany w wista srodze,
I ziewając rzekł: — «Słyszę już turkot karety;
Tyś senna i mnie także artretyzm rwie w nodze».

I ona, wstawszy z krzesła, blada, nawpół żywa,
Z uśmiechem przez łzy, rękę ścisnęła poety
I rzekła: — «Napisz sonet, jakam ja szczęśliwa!»...



MIRON.

SNY ZŁOTE.

—

Sennym różom, śpiew uroczy,
Znów słowiku dzwoń;
A ty zmróz swe cudne oczy,
I sny złote goń!

Pełne czarów chwile owe,
Gdym twą pięścił dłoń;
I twe usta koralowe...
Goń sny złote, goń!

Gdy akacya trzęsła biała
Perły na twą skroń,
I rozkoszą pierś tak drżała...
Goń sny złote, goń!

Bo nie wróci raj stracony,
Choć znów wróci woń;
Światło gwiazd i śpiew stęskniony...
O! sny złote goń!

LEONARD SOWIŃSKI.

WYZNANIE.

=

Anielskie sny, niepokalanych dni westchnienia,
I pieśni me, dyamentami łez płynące,
I burze walk i dum posągowe rojenia,
I serce to gladyatorskie, krwią broczące,
Ach! wszystkom tobie niósł — o bóstwo czarujące:
Kobieto! pani marzenia!

Ty, zawsze ty, jak na kamei starożytnej,
W obrazach mych białem wykwiłaś obliczem...
Bez ciebie świat, jak niebo o kopule szczytnej
Posępnych chmur, jak noc, jak śmierć, był dla mnie ni-
O ty, omglona piany płaszczem tajemniczym, [czem...
Kochanko fali błękitnej!

Gdziem tylko spotkał cię w powiewnych twoich sza-
[tach,
Zmiłosnem, pełnem drgnień, jak dwie turkawki łonem,
Już miejsce to, gdzie stałaś ty, było mi tronem,
I kładłem skroń u nóżek drobnych, jak na kwiatach,

LEONARD SOWIŃSKI.

Choć był to nieraz głaz, choć miałem wstać zranionym,
Ze wstydem i wiarą w szmatach!

I czemuż jest ten wdzięk, co opromienia ciebie?
Czy w muzyce pieśczośliwej głosu srebrnego?
Czy w sidłach barwnych zrad? Czy w pieśczo-
[twoich niebie?
Nie, nie, twój czar nie może być ciemnością złtego!
Bo jasny tylko duch odtwarza w pięknie siebie...
Tyś piękna... dosyć mi tego!

Choć wiele młodych serc na twojem sercu ginie,
Choć wielu śmierci jad z usteczek twych wypija:
Lecz winien ten, co zradnej podobny gadzinie,
Szlachetną pierś twą splotem namiętym obwija,
I zarażając wciąż trucizną swą naczynie,
Sam siebie — pijąc — zabija!

A więc mi świeć, o gwiazdko śliczna, w każdej dobie,
Blaskami duszy swej i postaci urokiem!...
Ideał piękna mój objawił mi się w tobie!
Więc kocham cię, o pani! myślą, sercem, okiem,
Śród szczęścia mgnień i w upadku ducha głębokim,
Śród gwaru uczt i na grobie!

Z DYTIRAMBU PIERWSZEJ MIŁOŚCI.

Serce! ach wolniej bij!... O ten słowiczy śpiew,
I niebios toń bezdenna,
I szmer tych sennych, chylących się drzew,
I cudne ziemi tej śmiejącej się wesele,
I nad ten świat — tam, tam, gdzie otchłań lśni pro-
Wzniesiony tron, ach! tron anioła mego... [mienna,
Oh! to za wiele,
Dla drgnienia piersi jednego!
Na runie złotych chmur, na listkach białych róż,
Na miękkim fał grzbiecie,
W promyczkach gwiazd, na błyskawicach burz,
Ach! obraz śliczny jej to też dyamentami
Iskrzy się w żalu mgłę, to szczęściem raję świeci,
To białą skroń na pierś mi wrzącą chyli:
Luba! my sami
Na całym świecie w tej chwili!



MIECZYŚLAW ROMANOWSKI.

CZY JA CIĘ KOCHAM?

=

Czy ja cię kocham? — Dziewczę, któż na ziemi
Kochać cię może odemnie goręcej?
Czy ja cię kocham? Ty patrz oczy twemi,
Kto dla cię więcej poświęci?
Kto silniej sercem twe serce obejmie,
Kto głębiej duchem pojmie twego ducha,
Kto pewniej całą w światło cię podejmie,
W twe myśli kto się tak wsłucha?

Lecz ja nie kocham cię jak kwiat, jak różę,
Co od promieni słońca k' niebu wonie,
Co ma oblicze koralowe, duże,
Królowa na całe błonie.
Na różę patrzę, woń uśmiechem płacę,
Ale gdy oczy jej krasą nasycę,
Nim pierś się zajmie, serce zakołysze,
Odwracam oczy i lice.

Ani jak gwiazdę kocham cię jedyna,
Co tam na niebie błyska opalowo,

Ku której sternik swój żagiel rozpina,
A nocy zwie się królową.
Czasem ja wzlecę na lazur bez końca,
Przy złotej gwieździe duch na chwilę zaśnie,
Lecz od promieni wschodzącego słońca,
Gwiazda, — widziałś jak gaśnie.

Ja ciebie kocham wszystkim co jest we mnie,
Duch mój jak anioł otacza cię wszędzie,
Tchnienie me każde, każda myśl co ze mnie
Dla ciebie była i będzie!
A taka miłość w piersi, w głębi łona,
Przez ciebie samą i dla samej ciebie:
Ziemię nią kiedyś jak schwyćę w ramiona,
To ją zawieszę aż w niebie!...

ROZKOCHANY.

Ten bronuje, ten obsiewa,
A ten orze;
Na mem polu wicher śpiewa:
Boże! Boże!

Ani mi się wziąć do pracy,
Z rąk mi rwie się;



MIECZYŚLAW ROMANOWSKI.

Błąkałbym się, jak ci ptacy
W polach, w lesie.

Odkąd znam cię, dziewczę moje,
Wszystko marne...
Ach! te czarne oczy twoje,
Takie czarne!

PIERWSZE SNY.

—

Gdy ludzie zasną, a puszcza z puszcza,
Gwarzy i jęczy w żałobie;
A wiatry szumią, a wody pluszczą,
Wtedy ja marzę o tobie.

Marzę o tobie — o niewcielona,
Serca mojego kochanko!
O tobie, gwiazdo mojego łona,
Mojego nieba mieszkanko!

Marzę i tęsknię i mleczną drogę
Snów mych zawieszam na niebie!
Ale do nieba trafić nie mogę,
Nie mogę trafić do ciebie!

Porzuć więc, porzuć niebieskie stopy,
Nim dzień sny szczęścia rozpędzi;
Raz tylko twoje anielskie stopy
Niech ziemskiej dotkną krawędzi.

Raz tylko niech cię taką zobaczę,
Jaką widziałem w snów szacie;
Potem, niech wiecznie tęsknię i płaczę,
Po niepowrotnej twej stracie.

Raz tylko, niech mi noc moją czarną,
Rozjaśni wzrok twój słoneczny;
A ja za jedną chwilę tak marną,
Oddam ci żywot mój wieczny.

Za jedno serca twojego bicie,
Jakiejż zażadasz ofiary?
Więcej, o więcej, niż wieczne życie:
Miłość ci oddam bez miary!

A paść jej licem nie będę śnieżnym,
Tak, jakby innym przystało;
Ni rąk uściskiem, okiem lubieżnym,
To wszystko ciało — precz ciałol!

Ciało odrzucę, myśli rozprzęgę,
Duch ziemskie więzy pokruszy;
Świątą przed tobą otworzę księgę,
Magiczną księgę mej duszy.

Jeśli od światła co pała w głębi,
Żrenica twoja nie zślepnie;
Jeśli od mrozu, który tam ziębi,
Serce ci twoje nie skrzepnie;

A дума, której piekło zazdrości,
Mej ci miłości nie zbrzydzi;
A miłość, która z aniołmi gości,
Serca twego nie zawstydzi;

Wtedy ci, wtedy dopiero powiem:
«Niebem mi! niebem twe łono!»
Lecz pomnij, pomnij! jako tych zowiem,
Co ich tam z nieba strącono!

Pomnij gdziekolwiek, tu i tam, wszędzie,
Wszędzie i zawsze przy tobie:
Cień mój za życia ścigać cię będzie,
A niepokoić cię w grobie!

DO JEDNEJ — DLA WSZYSTKICH.

O wiem ja, wiem niestety! wam Laura w pamięci,
Młodsza siostra Parnasu, starszych Muz dziewięci;
Szczęśliwa, dla niej serce pękło i rozdarte,
Po dziś dzień jeszcze dla niej krwią i pieśnią kwili.
O wiem ja, wam w pamięci Laura i Astarte;
A ty może zazdrościsz losu tej Maryli,
Dla której duch Gustawa tak upadł i zmałał,
Że w grobie jeszcze płakał i z miłości szalał.



RYSZARD BERWIŃSKI.

O wiem ja, z waszem sercem próżność nierozdzielna,
I ty moją miłością chcesz być nieśmiertelna!
Wierzaj więc — gdybym panem mógł zostać tworzenia,
I nowy Deukalion mógł wskrzeszać z kamienia
Wszystko, co kiedykolwiek śniło się na świecie,
Marzącemu o niebie wieszczowi-poecie;
Gdybym wszystkie sny moje mógł w głązy powcielać,
I nadać im postacie i życie w nie przelać:
Jedną bym tylko stworzył — twą bym stworzył postać,
By jak Bóg, w nieśmiertelnej, nieśmiertelnym zostać!

PO CZYTANIU ILIADY.

—

Z moją najmilszą panią Ilijową,
Czytałem razem pieśń Homerową;
Dziwneż postacie teraz przedemną,
Wstają w noc ciemną.

Jakby zakłete wierszem Ilijady,
Dawnych rycerzy wstają gromady,
Rojnie a zbrojnie: Grecy pod Troją
Obozem stoją.

Świecą puklerze, szyszaki błyszczą,
Szczękają miecze a strzały świszczą,
I mąż niejeden z wozu się stoczył,
Krwia ziemię zboczył.

Hektor z Ajaksem walkę rozpocznie,
Już się o tarcze złamały włócznie,



ADAM PAJGERT.

Achil beczynny zrzuciwszy zbroję,
Patrzy na boje.

Na pomoc jednej i drugiej stronie,
Spieszą bogowie. W Troi obronie
Wenus i Febos i siostra Feba,
Spłynęli z nieba.

Grekom zwycięstwa przechylić szalę,
Juno Olimpu opuszcza salę;
Zbrojna Egidą kroczy Pallada,
Trojanom biada!

A wtem się jasnym zjawia obrazem,
Ona, co ze mną słuchała razem
Tej walki bogów, staje wśród boju
Anioł pokoju.

Trojan i Greków ona pogodzi,
Hufiec za hufcem z placu uchodzi,
Niebian i ludzi ona z mej duszy
Widma rozprószy.

Już przed nią bogiń blaski zamierzchły,
Pierzchają wszystkie... jak niegdyś pierzchły,
Z ziemi i z nieba, przed światłokrężną
Aniołów Księżną.

ADAM PAJGERT.

DO NAJMILSZEJ.

—

Gdy ku mnie swe zwrócisz oczęta,
Tak słodko szczebiocąc, tak mile,
To język i mnie się rozpęta,
To duszą na jaw się wychylę,
I prądem sumienia gwałtownym,
Słów srebrnych cię falą opienię,
Tak pięknych, jak wieszczów natchnienie,
Oh! miłość tak czyni wymownym!

To znowu gdy siądę przy tobie,
W mem ręku gdy rączkę twą pieścę,
O świecie zapomnę, o sobie
Zachwytu przejmują mnie dreszcze.
I takim się zdrojem gorącym
Krew kupi mi wszystka do łona,
Że tysiąc na ustach słów kona...
Oh! miłość tak czyni milczącym.



EDWARD CHŁOPICKI.

MACIERZYŃSTWO.

—

I.

Południe, piękna pani czekając obiadu,
Śród bluzy batystowej wdzięcznego nieładu,
Na wpół wciągnionych ciżmów, rozwianych warko-
Legła na miękkiej sofce i drzemiące oczy [czy,
Utopiła w otwartej książce — romansowej.
Na uboczu, w zasłonie wytwornej alkowy,
Pod firanką jedwabną, pięknej pani dziecię,
Okręcone w kosztowne z koronek spowicie,
Legło także, i patrząc źrenicą strwożoną
W mamkę swą przy kołysce twardym snem uspioną,
Tłumiło łkania rzewne, by mamy nie znudzić,
I *nieznośnem szlachaniem* gniewu jej nie budzić.

Ubiegło latek parę: — w wonnym buduarze,
Piękna pani znów z córką. Tym razem jej każe
Tańczyć z boną kadrylą, po pańsku się kłaniać,
Mówiąc, ustka sznurować, — patrząc, wzrok przy-
[słaniać,

Mgłą kruczej swej żrenicy, witać po francuzku
Starego szambelana, a w swym pięknym wózku
Nie sadzać na spacerze z podwórka dziewczątek,
Jeno chować tam miejsce dla dwojga książątek
Z Senatorskiej ulicy, i dla ślicznej Klodzi,
Której babcia z baronów, dziad z hrabiów pochodzi,
A mamcia chce do Wiszy jechać z panną w lecie,
I na wielkim w Paryżu, pokazać ją świecie.

Znów pauza latek kilku: — z dziewczyny, panienka
Wyrosła, lecz majteczki i krótka sukienka
Jakoś się nie zdejmują. Matunia z Fransisem
Młodym tatki kuzynem, nad modnym *kaprysem*
Szulhofa czy Litolfa studjuje od rana,
A córce... z guwernantką praca nakazana.
Lokaj wnosi zrobione po sklepach amplety:
Dla pani — na karnawał świeże tualety;
Dla panienki — z Lessera kramu lalek parę,
Fartuszek pensyonarski i spódniczki szare,
A na lekturę, dla nud niedzielnych ośrody,
«Podróże» Guliwera, Delila «Ogrody».
Dopokąd dzieckiem była, panieństwa uczyli,
Gdy dorosła panieństwa, w pieluchy spowili,
I nim zagasną wdzięki na matczynem czole,
Córka kryć ma swą krasę w sypialni i — w szkole!

II.

O północku, pod pracy i mierności strzeżą,
Matka, z jedyną życia ciężkiego uciechą,
Dzieweczką swą, bezsenność dzieli niestrudzona.
Nad niziuchną kolebką siedząc pochylona,
To wdzięczne piosnki nuci, to ciałko jej mdławe
Ogrzewa pocałunkiem, to spojrzenia łzawe
Bawi widokiem kwiatów uszczknionych z okienka.
Bojaźń dziecka, mateczkę kochającą lęka,
Uśmiech jego, zarówno cieszy ją i bawi,
Łza z ocząt tryskająca i jej serce łzawi.

Ubiegło latek parę: — w ubogiej izdebce
Wdowa znowu z swą córką. Dziecię pacierz szepce,
Uklękawszy przed świętym obrazem znad łóżka;
Matka obudza w piersi tętno jej serduszka,
I łzy ściąga do oczek, prosząc równie Boga,
By prostą była życia dziewczęcego droga,
By czciła prawdę, cnotę, kochała świat smutny,
Z róż powiędłych złożony i z szaty pokutnej,
A krótkie dni na ziemi ofiarą i trudem,
Dzieliła bez zachwiania z Bogiem swym i ludem.

Znów przeszło latek kilka: — z dziewczynki dziewica
Wyrosła, czarnooka, wiotka, krasnolica;
Wdzięki ciała i duszy, jak słońce z chmur wianka
Błysły i hołd zdobyły młodzieńca kochanka.



EDWARD CHŁOPICKI.

Dziewczę odrzekło sercem, więc mateczki dłonie,
Dawnych dni obyczajem, na kochanków skronie
Kładą bez zawahania święte znamię krzyża.
Ona do czoł schylonych usta swe przybliża,
Ściska, i szczęściem dzieci, życia swego dzieje
Kończąc, śledzi z zajęciem, jak ich życie dnieje!



STEFAN Z OPATÓWKA.

UPARTA.

—

Jakaż cię moc, na los przepadłej straży
Pęta do ramion mych, i popchnąć chce w me ślady?
Ja idę tam, gdzie serc dwóch nie kojarzy
Ni słowik, czuły swat, ni ojciec, księżyc błądy.
Ja idę tam, gdzie wonne życia róże
Do błogich, słodkich snów, nie ścielą się wezgłowiem;
Ja idę tam, gdzie w czoło biją burze,
Co wielkich czasów krąg przygniotły swym ołowiem.
Ja idę tam, gdzie drobną, słabą nogę
Cofa niewiasta wstecz, do cichej wzrosła doli;
Ja idę tam, gdzie szczęścia dać nie mogę!
Chcesz że pójść za mną tam?

— Ach! pójdę z dobrej woli!

Ja idę tam, gdzie tylko towarzyszy
Kochanej matki krzyż, przed czołem jak pochodnia!
Ja idę tam, gdzie się wśród zgiełku słyszy
Tylko ten ojca głos: — Tam idź gdzie nie iść zbrodniał
Ja idę tam, gdzie się za prawdę kruszy

STEFAN Z OPATÓWKA.

Wszelki żywota dech, jak grot od twardych ciosów;
Ja idę tam, gdzie krom brzemienia duszy,
Nie bierze człowiek nic, nawet przepaski włosów.
Ja idę tam, o! chciej ten padoł minąć!
Dla białych wiotkich stóp — ach! nie ta życia droga!
Ja idę tam, gdzie żyć: to znaczy zginąć...
Chcesz że pójść za mną tam?

— Ach! pójde w imię Boga!



KAROL ŚWIDZIŃSKI.

ZOŚKA.



Czarnem oczkiem Zośka mruga,
Ładne oczka Zosi:
A poeta niski sługa,
O mrugnięcie prosi.

Ale proszę mrugnąć szczerze,
Nie dla bagatelki:
Bo ja Zośce nic nie wierzę,
Z Zośki figlarz wielki.

A już ze mną nie tak snadnie,
Zarcik mnie nie znęci,
Wprawne oko wnet odgadnie,
Co się w duszy święci.

Stary wiarus ja w tym szyku,
I sztuka mi znana:
I mrugałem już bez liku,
I na mnie mrugano.

KAROL ŚWIDZIŃSKI.

Oj! pamiętam, jak mrugnęła,
Zaraz byłem sługą;
Serce mi jak swoje wzięła,
Na długo, na długo...


Więc nuciłem, więc śpiewałem,
Majowo i pięknie,
A śpiewając; sam myślałem,
Że mi serce pęknie.

Bo kiedym jej ciskał kwiaty,
Kiedy piosnka cała
W czarujące biegła światy:
Ona wciąż się śmiała!

Z piekłem w sercu jam przychodził,
Jam płakał, jam prosił,
I piosenką troskę słodził,
I na skrzydłach nosił.

I narzekał i przeklinał,
I gardził i kochał,
I kolanam przed nią zginał,
I jak dziecko szłochał.

Rozum mówił: — porzuć, mami,
A serce szalało...
Choć mrugnęła, to żartami,
Coś ci się zdawało.



A ona mi wręcz odpowie:
- Cóż panie kochany?
Czy zajaczka dostał w głowie,
Czy też niewyspany?

Jeśli pierwsze: to są czubki,
Drugie: zimna woda;
A jeśli to na mnie próbki,
No, to czasu szkoda!

- Więc to żarty? - Żart nie trudny
Kiedy kto uwierzy. -
- Że w mrugnięciu miłość leży... -
- Ach! jaki pan nudny! -

I pobiegła. Ja zostałem
Skwitowany pięknie,
I w rozpacz sam myślałem,
Że mi serce pęknie.

Szczęściem, wtedy jeszcze w piekło
Z obawą wierzyłem;
Więc myślałem: co dopiekło,

KAROL ŚWIDZIŃSKI.

Ale odtąd nie zasługa,
Bom już nauczony:
I gdy na mnie dziewczę mruga,
Zmykam jak szalony!



EDMUND ZNATOWICZ.

DZIEWCZYNA.

—

Życiem kwitnie i oddycha
Słońce wiosny myśl jej złoci,
Na jej licu dobroć cicha,
I wesołość przy dobroci.

Ach! dziewczeczka to przedziwna,
Ufna w przyszłość co ją spotka,
A rozumna i naiwna,
Sympatyczna, czuła, słodka.

Wdzięk w tym całym nieba tworze:
W tych błękitnych, pięknych oczach,
W ruchu, w głosie i w ubiorze,
I w złocistych jej warkoczach.

A gdy usta koralowe
Do uśmiechu skłonne wrażeń,
Myśl jej tworzy kraje nowe
Z kwiatów, z uczuć, z gwiazd i marzeń...

Przy niej biegnie ci godzina
Jak minuta, jako mgnienie;
Czarodziejka to dziewczyna,
Klejnot w wielkiej czci i cenie.

Lecz gdy kiedy wśród rozmowy
Coś jej rzekniesz lekkomyślnie,
Na jej czole gniew chwilowy
I żal w oczach jej zawiśnie.

I w słów własnych sięc zdradziecką
Wpadłszy wtedy najdoraźniej:
Zadrzysz bracie, jako dziecko
Pełne skruchy i bojaźni.

Co u Boga? — myślisz sobie,
Skąd ta bojaźń, skąd jej władze?
Jam odważny w każdej dobie,
A tu nagle po odwadze!...

Dla brutalnej siły ludzi,
W duchu nędznej, mam pogardę.
Czemuż dziś mą bojaźń budzi
Jedno słabe dziewczę harde?

O zaprawdę! niebo w oku,
Białość w duszy, wdzięk dostojny,
Większe w sile i uroku,
Niż przeciwnik grozą zbrojny.



EDMUND ZNATOWICZ.

Ale gniew i żal już znikły,
Jak obłoczek przy księżycu;
Wraca dobroć, uśmiech zwykły,
I pogoda na jej licu.

W uczuć wirze i pogoni,
Czar przed tobą i ponętą,
I pieśń leci prosto do niej,
Pieśń — w jej sercu zaczerpnięta!

PRZY OKIENKU.

—

Przy okienku, gdzie bluszcz się zieleni;
Młoda matka swe dziecię kołysze,
I pieśń tęskna rozbrzmiewa w przestrzeni,
W dal, w wieczorną unosząc się ciszę.

Drzemie dziecię przy piersi matczynej,
Stuła w słodkim marzeniu powieki;
A tam, w sercu, w pamięci dzieciny,
Tę pieśń zostanie na wieki.

Pieśń matczyna, to pieśni Aniołów,
Zaświatowej harmonii to echo...
Pośród ziemskich nam dźwięczy padołów,
Dziwnie rzewną i słodką pociechą.

Jakby w słońcu rój złotych motyli,
Błyszczą wróżby w niej szczęścia i chwały...
O! jak ludzie szczęśliwi by byli,
Gdyby wróżby się matek sprawdzały!

NA BALU.

—

- Pan zupełnie nie tańczy?
— Obawiam się, pani!
- Czego?
— Zawrotu głowy.
— Nie wierzę, to żarty.
- Szczera prawda; nie każdy zwykł stawiać na karty
Życie swoje i szczęście, i nieść tańcom w dani
Takie skarby.
— Naprawdę, nie wiedziałam wcale,
Że bal tak niebezpieczny, ja tak lubię bale.
- Choćby z zawrotem głowy?
— Choćby i z tą kłęką.
- O! to kłeska prawdziwa, choć pani nieznaną,
Bo pani pewno z balów wychodzi zwyciężko.
- Tak pan sądzisz?
— To pewne; zginają kolana
Szczęśliwi zwyciężeni i biegną za wozem
Tryumfalnym, związani zachwyty powrozem,
Aby w zamian, przy końcu świetnego wieczora
Otrzymać cudny uśmiech z ust tryumfatora.
- Jakiż to piękny obraz.
— Prześliczny jest, ale
Nad wszystko cenię wolność.
- Więc?
— Chodzę na bale

Nie dlatego, by stracić dar ten nazbyt drogi.
Taniec, to szął w pół dziki.

— Wyrok nadto srogi.

Słyszysz pan? hasło walca.

— Tak pani, niestety!

My zawsze rządzą światem a nami kobiety.

Służę pani.

— A pańskie zasady? mój Boże!

Cały salon jak morze, puszczam się na morze.

* * *

— Przybiliśmy do portu.

— Po długiej podróży,

Jakże panu dzisiejsza morska podróż służy?

Głowa?

— Już jej nie czuję, bo mi się wydało,
Żem przed chwilą w objęciach miał rusałkę białą,
Która po to przybyła z mej rodzinnej strony,
Aby mię oczarować.

— Pani!

— Woń jej kwiatów

Upoiła mię dziwnie; oddech przyspieszony
Otoczył mię płomieniem, z rzeczywistych światów
Przenosząc gdzieś daleko...

— Daruj pan, ja tańczę.

— Nie przeszkadzam.

* * *

STANISŁAW GRUDZIŃSKI.

— Powracam z wyprawy, nanowo...
Pan widzę zamyślony?
— Chcę wynaleść słowo,
Co by mogło określić tę czarną szarańczę,
Zalewającą salon.
— Co to panu szkodzi?
Nie mówmy o niej wcale... więcej już nie tańczę;
Wolę naszą rozmowę.
— Wszak to nie uchodzi,
Co by ludzie mówili.
— O co?
— Że w bezdroże
Zaprowadził nas taniec. Sądz mi ludzi znany,
Że pani bałamutka, a ja zakochany.
— Sądz ten panu ubliża?
— Pochlebia bez granic,
Przyznaje mi odwagę prawdziwie nad miarę.
— Jakto?
— Że kocham panią!
— Nie pojmem nic a nic.
— A przecież to tak jasne. Gdybym na ofiarę
Serce me złożył pani, byłbym bohaterem.
— Czemu?
— Bo kochać panią, jest to stracić głowę,
Która by od takiego sponęła upału.
Bo kochać panią, jest to, życie o połowę
Skrócić, by w tej połowie przeżyć wieczność szału.
Kochać panią, to zginąć! Od tej zguby przecie
Nie cofnąłby się pewnie nikt na całym świecie!

- Przemawiasz pan językiem delfickiej wyroczeni.
— Nie jasno?
— Najzupełniej.
— Myśl się uwidoczni
Skoro się zmieni w ciało.
— To zagadka nowa.
— A czemuż salonowa może być rozmowa?
Jedną wielką zagadką, w której chodzi o to,
By o niczem rozmawiać długo i szeroko.
— A więc, mówmy inaczej, przystaję z ochotą.
— Nie można; myśl poważna pani, jest opoką,
O którą się rozbija rozmowa w salonie.
Trzeba samemu szaleć, skoro się jest w gronie
Co o wszystkim poważnem zapomnieć się stara.
— Można w niem być wyjątkiem.
— Jeśli pani każe...
— Proszę?
— To rozkaz dla mnie.
— A może i kara.
— Kara?
— Tak jest, co pańskie przewinienia zmaże.
— Teraz ja nie rozumiem.
— Nie czujesz pan winy?
— Niel
— A owo widzenie rusałki?
— Widzenie,
Które przyszło bynajmniej nie z mojej przyczyny.
— Czy minęło już?
— Owszem trawaciąz, nieskończenie.
-
-

STANISŁAW GRUDZIŃSKI.

— Jesteś pan niepoprawny... Co pan teraz pisze?

— Rachunki.

— Czy już innej braknie panu treści?

— Z tego, pani, co widzę i z tego co słyszę,
Coś innego wziąć trudno.

— W słowach tych się mieści
Nadto ostra ironia. Pan jako szyderca
Niekorzystnie wyglądasz.

— Z konieczności szydę...
Tak mało w naszym świecie uczucia i serca.

— A gdybyś pan je znalazł?

— Wątpię, bo nie widzę.

— Widać, że źle pan patrzysz.

— Radbym wto uwierzył.

— A wtedy?

— Wtedy, pani, czołem bym uderzył
Przed istotą, co chmury zwiątały mi z czoła.
Pani znasz tę istotę?

— Spójrz pan, dokoła
Wszystko w walcu szaleje...

— A więc służę pani
Terpsychora królową, a my jej poddani.

* * *

— Panie, ledwo oddycham!

— Wróćmy do rozmowy.
Jużeśmy zawinili, już wzrok argusowy

STANISŁAW GRUDZIŃSKI.

Całego towarzystwa ku nam się obraca.
Nowiniarzy sąsiednich czeka wielka praca.

— Niech pracują.

— Napróżno? Nie, to być nie może;

Mówiłem, że nas taniec wiedzie na bezdroże.

Cudny obraz rusałki znów stanął przedemną.

— Wszak pan piszesz rachunki.

— W tej chwili mniej ciemno

Spoglądam wkoło siebie... już mam jeden temat,

Z którego najpiękniejszy wysnuję poemat.

Na mem pochmurnem niebie świecą pani oczy,

Rozjaśnia świat dokoła uśmiech jej uroczy,

Głos jej dźwięczy w mej duszy...

— Panie, wszak ta sala

Miejsce niezbyt stosowne do improwizacji...

— Chwila niekiedy jedna gubi lub ocala.

Proszę panią o rękę.

— JAKO?...

— Do kolacy.



ALEKSANDER DAWIDOWICZ.

NIE IDEAŁY.



Był raz na świecie jeden wieczór śliczny,
I gwiazdek parę na pogodnym niebie,
I słowik śpiewał jakiś idylliczny
Romans, i róże były i jaśminy,
I on i ona. — On rzekł: kocham ciebie!
I ona rzekła: kocham cię jedyny!...
A jedna łezka co spadła z powieki,
Mówiła: kocham! na wieki, na wieki!

Słowik się uczył gołębiej rozmowy
Od nich, a oni słowiczej sielanki.
Księżyc jak zwykle, bardzo romansowy,
Dyskretnie w chmurki owinięty białe,
Śmiał się pocichu z przysięgi kochanki,
I widząc nawet jak jej rączki małe
Pieściły jego rozmarzoną głowę,
Śmiał się przez białe chmurki ażurowe.

ALEKSANDER DAWIDOWICZ.

A była jedna rozstania godzina,
I jeszcze uścisk, łezka i westchnienie,
Smutny kochanek i smutna dziewczyna,
Bo się na długo rozstając żegnali.
Słowik, co słyszał ich każde marzenie,
Żalił się różom i błękitnej fali;
A fala, skargi niosąc w świat daleki,
Echem mówiła: na wieki, na wieki!

Pomnisz? wszak prawda, był wieczór majowy,
Musisz pamiętać jaśminy i róże...
Na cóż się smucić? Słowik sielankowy
Przestał już śpiewać w poświęcanym gaju,
Błękitne fale zmacił wiatr i burze.
A ja przestałem nawet śnić o rajcu.
Jednak, gdy żegnam ostatnie marzenia,
Jeszcze im mówię: — jutro, do widzenia!

A mam od ciebie listek cyprysowy...
Daruj, wspomnieniem obrazić nie chciałem.
Może zanadto byłem romansowy,
Alboś ty nadto dla mnie dobrą była,
Żeś mnie słuchała gdy się spowiadałem
Z marzeń, na których czas pisał: mogli! —
Miłość czasami wielkie cuda stwarza,
Pójdź, klękniem jeszcze u progu cmentarza!

Patrz, pierwszy napis starty, to wspomnienie,
Nie bój się luba, to nie puszczyk woła,



ALEKSANDER DAWIDOWICZ.

Jeśli cię straszą cmentarne kamienie,
Albo złocone snów naszych napisy...
Zetrę je wszystkie, lecz ty bądź wesoła,
Niech cię nie smucą płaczące cyprysy;
Drugiemu jeśli dasz pamięci kwiatek,
Daj mu nie cyprys smutny, lecz bławatek.

A miałas łezkę jedną ty, w lazurach
Twojego oka... śliczny to był ranek,
Słońce wschodziło jutrzrenką na górach,
Jakby umyślnie, bym ja widział ciebie,
Żeś najpiękniejszą na ziemi z niebianek.
Bym raz ostatni zamarzył o niebie,
Abym uwierzył, że wszystko złudzenie,
Nawet ta łezka smutku i westchnienie!

Dzisiaj cię inne przysięgi związały.
Cóż cię obchodzi płoche przyrzeczenie?
Niech więc twą drogę znaczy anioł biały...
Ja błogosławię twój mirtowy wianek
I każde moje do ciebie westchnienie,
Wieczór ów piękny i róże i ranek...
I ton słowiczej piosnki sielankowy,
Ja błogosławię i wianek mirtowy.

Napróżno wschodzi jutrzrenka różowa
Budzić woń kwiatów z cichego uśpienia,
I echa pieśni powtarza dąbrowa;
Przebrzmiały tonów echa nie powtórzą

I nie przyniosą twojego westchnienia!
Czasem, gdy spadnie liść zerwany burzą,
Myszę że idziesz i czekam daremnie:
Wiatr liście strącił i śmieje się ze mnie.

Daruj zem wierzył. Tyś złamała wiarę,
Zdeptawszy kwiaty poranków majowych...
Długo złudzeniem przepełnioną czarę
Do ust chyliłem... Wszak trucizna była
Na dnie tej czary, i na koralowych
Ustach... Patrz! gwiazdy chmura załoniła,
Słownik nie śpiewa, tak ciemno na niebie!
Róża i jaśmin smutne...

— Żegnam ciebie!



FRANCISZEK GUMOWSKI.

KOBIECIE.

—

Zasłoń o matko, zasłoń czarną kartę
Dziejów, co głoszą twoje poniżenie;
Choćby ci nawet ukazał kto Spartę,
I wód kastalskich przypomniał strumienie,
Choćby ci w oczy kto Aspazją słaWił,
Lub babilońską czcząc Semiramidę,
Stary Wschód w barwach palących przedstawił:
Odwróć się, matko, na taką ohydę,
Bo nie człowiekiem zwano cię w te czasy;
Piękność twych wdzięków, układ twego ciała
Czarował tylko i pobudzał masy;
Nie duch tam w tobie, ale krew kipiła...
Ty, co wśród świata masz być cnót podniętą,
Byłaś posągiem tylko — nie kobietą.

I na te wieki nie chciej rzucać okiem,
Co to pod maską najświętszej pochodni
Świat zalewały ciemnoty potokiem,
By w jej głębinach ukryć widmo zbrodni.

FRANCISZEK GUMOWSKI.

O siostrze moja nie patrz na te dzieje!
Błędnych rycerzy stalowa przyłbica,
Nawet ten zapach sztuczny co z nich wieje,
I trzask ich kopii niech cię nie zachwyca.
Słabą, bez woli, oparcia i prawa,
Zwano cię panią, królową, aniołem,
O kolor szat twych wrzała walka krwawa;
Lecz chociaż tobie uderzano czołem,
Jako przed Laurą albo Julijetą,
Byłaś kochanką — ale nie kobietą.

I odwróć także lica od tej rzeszy
Co pozbawiona piętna namaszczenia,
Sama przesadą myśli własnych grzeszy,
Siejąc dokoła nasiona zniszczenia.
Raz cię otacza blaskiem gwiazd i chwałą,
Ołtarz ci wznosi niby dla bożyszczka;
Drugi raz zdziera z ciebie szatę białą
I pozostawia w piersi ból i zgliszczka.
O wzgardź dziewico tym szatańskim śmiechem,
Co cię opętać chce w zdradliwe sieci,
Pogardź kadzidłem i słodkich słów echem,
Które ogniskiem błędnym tylko świeci;
W fałszywe kwiaty stroją cię — niestety!
A nam potrzeba człowieka — kobiety!

Więc śmiałem skrzydłem wzbij się nad poziomy,
Pokaż żeś nie puch marny ku zabawie,



FRANCISZEK GUMOWSKI.

I choć usłyszysz koło siebie gromy,
Nie drzyj, lecz z wiarą stój przy swojej sprawie.
Iskrę wszechmocy uspioną w twem łonie
Dobądź i ozdób pięknościami ducha,
W pracę i cnotę uwieńcz sobie skronie,
I przemów głośno, a świat cię posłucha.
Świat cię posłucha, ale tylko wtedy,
Kiedy na prawdzie oprzesz swoje ramię,
Kiedy cię żaden prąd wiatru nie złamię,
Gdy się nie złękiesz ubóstwa i biedy,
Gdy mniej siać będziesz słów a więcej czynów,
Kiedy kapłanką będziesz w każdej chacie,
Kiedy zostaniesz chlubą dla swych synów
I w niewinności okażesz się szacie;
Kiedy ułudy blask cię nie omami
I wyraz fałszu ust twych nie zeszpeci;
Gdy zajaśniejesz takimi dziełami,
Że promień onych nas wszystkich oświeci.
O! przemów wtedy, a świat cię posłucha,
Przemów nam prędeż, prędeż taką mową,
Zerwij spleśniałą zasłonę z twych powiek,
Niech cię nie winią że pierś twoja głucha,
Ale witając odrodzoną, nową,
Niechaj się cieszą, że przybył nam człowiek!

WE ŚNIE.

—

Śniło mi się, że szła niwą,
Ubarwioną w wonne kwiatki,
Pierwiosnki, bławatki,
Dokoła...

I serduszko biło żywo,
Świat się do mnie wdzięczny słodko,
I szeptał: pieśczołko,
Wesoła!

A jam biegła nucąc piosnki,
Śród szmaragdów i koralu,
Wciąż dalej i dalej,
Za światy...

Zaś bławatki i pierwiosnki,
Główniki swe skłaniały ku mnie,
A nawet mak, dumnie
Pstrokaty!



AURELI URBAŃSKI.

I kwiat każdy miał swą mowę,
I szeptał mi z cicha w uszko:
— Gdzie biegiesz serduszko,
Tak prędko?

Zakryj ząbki swe perłowe,
Nie trwoń czasu piosenkami,
Lecz zabaw się z nami
Gawędką!

I szeptała mi różyczka:
— Ciebie kocha chłopiec młody,
Przecudnej urody,
Brunecik.

Wąsik czarny, białe liczka,
Figlarz, nie zna, co to smutki,
I nosi zgrabniutki,
Kaszkiecik. —

A fijołek szeptał z trawy:
— Ej, dziewczyno, jesteś dłużną!
Blondynek napróżno
Kołacze!

A wzrok jego taki łzawy,
Miłość jego skromna, cicha,
Nieborak, wciąż wzdycha
I płacze! —

Zaś do uszka wspiął się groszek
Szepcząc: — Czyli też kuzynka,
Tłuscioszka szatynka,
Pamięta?

Achl z miłości schudł tłuscioszek,
I pożera wstążkę wzrokiem,
Coś dała przed rokiem
Na święta. —

— A ja w śmiech!.. Różyczko luba
Nie praw nic o bruneciku,
Bo takich bez liku
Jest trzpiotów.

Z nim to tylko była próba.
Chciałam złowić w sieć motylka...
Porzucić w dni kilka
Mnie gotów.

A fijołek też daremnie
Do blondynka mową zmierza,
Blondynek ni z pierza,
Ni z ludzi;

Ciągle oczy wlepia we mnie,
Wzdycha, kwili, jak bóbr szłocha,
I niby mnie kocha,
A nudzi.



AURELI URBAŃSKI.

Zaś z kuzynkiem, mój ty groszku,
Daj mi pokój! Bo szatyni,
Jak ciocia ich wini,
Niecnoty!

Zresztą, jakże w tym tłuścioszku
Szukać serca i miłości?
Niech schudnie, niech pości,
Z tęsknoty! —

Aż tu z gaju grzyb spruchniały,
Z mchu zgrzybiałą głowę wznosi,
I o głos nie prosi,
Lecz plecie:

— Ej! ty, ty — djabełku mały!
Miłość, nie jest dla igraszki,
A serca -- nie fraszki
Są przecie!

Nie bałamuć chłopców duszko,
Nie przerzucaj wciąż blondynkiem,
Brunetem, szatynkiem:
Bo zdradzą! —

A zaś ciocia szepnie w uszko:
— Ej! starego wybierz chyba!
I tak cię za grzyba
Wydadzą...

BOGUMIŁ ASPIS.

CZARNA RÓŻA.

—

Sunęły pary w tańcu, w żwawem, zgodnem gronie...
Rój fraków aż ćmił zdala, a sztywne krochmalem
Sukienki dam, trzepocząc z szmerem po salonie,
Drażniły widzów. Prezes zamykał rok bałem!

*

Zmęczony troską, senną nudą rozziwany,
Jakbym dni sto gdzieś przebył w piaskach, na Saharze,
Wszedłem w próg, i polazłszy w kąt, między dwie
[ściany,
Zacząłem zimno patrzeć na tańczących twarze.

*

I z nudy liczyć pary zacząłem. Czterdzieści!
Nagle wśród nich mi błyska, w tłumie tym twarz
Na widok której... [jedna,
Błada i pełna boleści
Jak tamta — piękna, smutna i jak tamta... biedna!



BOGUMIŁ ASPIS,

I za twarzą tą wzrokiem pobiegłem ciekawym,
Ledwie ją spostrzegł tylko — krew poczułem
[w oczach,
Mróz w piersi, a mózg ogniem mi zabiegł jaskrawym,
Gdym poznał jeszcze czarną różę w jej warkoczach!

*

Wszakże to kwiat, co sam jej do rąk wtedy dałem,
Kiedym ostatni całus zdjął z jej ust przed skonem,
Ostatni raz ją sercem pożegnał zdrętwionem,
Zostawił łzę ostatnią na jej czole białem.

*

Cóż to za sen? i — piekła cóż to za żart ze mnie?
Może nie ona?..

Ona! wszak na oba oczy
Patrzę i widzę. Biedz chcę już ku niej — daremnie!
Skostniałem, i czar zmory ku ziemi mię tłoczy...

*

I zrywam się nareszcie — i jestem już przy niej...
— «Luba!» — wołam... a pary stanęły w pół drogi,
Pchają się, zdjeta trwogą domu gospodyni
Przybiega: — «co to?» — pyta, słudzy łamią nogi...

*

A ona?

Ona dumnym zmierzyszy mnie okiem
Od stóp do głowy, — sina, jakby widmo same,

— «Cóż to! rzecze, skandale? w domu tak wysokim!
I państwo na to... Mamol poprosić tu mamę!» —

I przez tłum do kanapy robiąc sobie drogę,
Bardziej jeszcze niż w tańcu, w gniewie tym nadobna,
Znika — gdy ja: — «Ach pani! paniś tak podobna...»
.....
Jęknąłem, i z tym jękiem padłem na podłogę!



MIROSLAW DOBRZAŃSKI.

DZIEWICZY PRZYBYTEK.



Cicho! niechaj nikt nie mąci
Barw przezczystych, co roztoczy
Ten obrazek wam przed oczy,
Gdy o strunę serca trąci.
O! zaiste dzisiaj mało
Równych jemu; bo niestety,
Giną dawnych cnót podniety,
Wszystko jakoś skamieniało!
Jakaż rozkosz, że ten cudny,
W rajskie blaski spromieniony,
Jakby z nieba wykradziony
Rzeczywisty, nieułudny!

Dzień już znika, noc zapada,
Smutno, głucho... Lecz gdy z wrzawy
Łona, wieczór wstaje łzawy,
Choć tam nocnych widm gromada
Drży już zdała — wy, wśród ciszy,

Płyńcie dalej duchem czysti,
Bo, ot niebo już się łąci,
Tu nikt jęku nie postyszy!
Oto pokój! Ustroń błoga,
Cisza, jaka tylko może
Drżyć w porannej wiosny porze!
Zdała waśni, gwaru ludzi,
W gaju, kędy na głos Boga
Uśmiechnięty kwiat się budzi.
Taka cisza! Zmrok zimowy,
Co z nią łączyć się przychodzi,
Wnet rozprasza i łagodzi
Promień lampki szmaragdowy!
Blask ten tęskny taki, drżący,
Na pół jasny, na pół ciemny,
Z przed oblicza Bolejącej
Rzuca jakiś czar tajemny;
A poniżej bluszczu zwoje,
Garnąc w uścisk Ją, — tak drgają,
Że tem drżeniem szeptać zdają:
«My ukoim smutki Twoje!»
Obok, w oknie, wśród zieleni
Kwiatów, skryta mirtka mała,
W kole wrzosów lśni nieśmiała,
Przy niej róża się rumieni.
Lecz i tutaj, wśród nadzieje,
Jako wszędzie na tej ziemi,
Chrystusowy cień czernieje,
Fuksya płacze łzy krwawemi.



MIROSŁAW DOBRZAŃSKI.

A na stole, dla spełnienia,
Snać melodyj tej niebiańskiej,
W niebo wdzięcznej, jak hymn Pański,
Leżą w księgach wieszczów pienia!
Oto obraz! Na tle jego
Tylko Anioł świetlić może,
Tu go tchnienie strzeże Boże,
I relikwie święte strzegą!
To też patrzcie, otoczona
Tymi czary, cicha, rzewna
Niby nimfa lśni powiewna,
Niby Anioł uskrzydłona.
Duch jej święty, nieskalany,
Ukołysan w sny niewinne,
W ogniu uczuć wykąpany,
Zda się marzyć światy inne!
Kiedy wszystko już spoczywa,
Ona czuwa: myśl jej znika,
I choć w ziemskich sferach pływa
Pyłu ziemi nie dotyka.
A marzenia te nad głową
Jej, gołębie pierzchające,
Z tymi barwy, blaskiem drżące,
Tworzą w górze grę tęczową,
Taką błogość leją w koło,
Że po ziemskich serc pustyni,
Człtek tu staje jak w świątyni,
Kornie dumne chyląc czoło!
A dwa bóstwa, dwie istoty,



MIROŚLAW DOBRZAŃSKI.

Tu cię strzegą: tam na ścianie,
Ta Najświętsza — i ta w cnoty,
W niewinności nimb spowita,
Druga Święta, co rozkwita
Tu jak Boże ukochanie!
O! jeśliby na tym progu
Zbrodzień stanął, wraz-by czysty,
Święty wyszedł — wiekuisty
Ślub poprawny czyniąc Bogu.
Tu by nawet zimne bryły,
Po pod ciepłym uczuć tchnienia,
Wnet się w ciche rozrzewnienia —
Łzy stopiły!

STARA PANNA.

—

W sukience ciemnej widzę ją przed sobą;
Smukłą, a zgiętą pod tajnym ciężarem,
Owianą ciszy niewymownej czarem,
Lśniącą prostoty wdziękiem i ozdobą.
Widzę ten profil czysty i surowy,
Jakby wewnętrzną przepalony lawą,
I siłę woli bijącą z tej głowy;
Lecz widzę także tę rękę łaskawą,
W której pieśczoła razem i podpora;
Oczy patrzące pod rzęsy długimi,
Jak dwa błękitne, zakłete jeziora;
Jak letni wieczór — czoło po nad niemi.
A jeśli jeszcze pamięć moja schwyci,
Usta, co jakby piołunu nie znały,
W jedwabiu włosów czarnych, srebrne nici:
Jej obraz stoi przed mą duszą cały.

Przez jakie burze przeszła i boleści,
Nigdy jej nie śmiał pytać, ani badać;

WŁADYSŁAW ORDON.

Anim mógł ze słów i uczynków treści
Dzieje minionych lat jej wypowiadać.
Bo nic nie miała, coby było śladem:
Ani pamiątek zasuszonych szczątka;
Ani tajnego do marzeń zakątka,
Gdzieby wieczorną siadywała porą.
Ani tych westchnień, co obliczem bładem
Zdradzają duszę na wspomnienia chorą;
Bładości tęsknej, lub ostrych rumieńców,
Znaków wewnętrznej gorączki i waśni,
Ani gorzkiego śmiechu dla młodzieńców,
Ani dla dziewic złowróżących baśni.

Nie były słowa jej jak astry smutne,
Od których wieje blizki śnieg i jesień,
Ni jak elegie zmarniałych uniesień
Rozczarowane, drżące i pokutne.
I w prac powszednich znużeniu i męce,
Nigdy nie widział, aby odwrócona
Twarzą za siebie, jak Lotowa żona,
Stała, bezczynne załamawszy ręce!

Owszem, jej słowa taką trzeźwość miały,
Jakby górskiego powietrza powianie;
I śmiech jej pełny, radosny i śmiały,
Budził w najślabszych siłę i ufanie;
Umiała krzepić i zbroić do boju,
I szły bezpiecznie do niej wszystkie dźwięki:

Boleść i miłość, płacze i piosenki,
I odchodziły w stroju i spokoju.
Niewiasta była dawna, dobrej rady,
Wielkiego serca i skutecznej ręki.

Lecz jeśli lekką ktoś potrącił mową
O jej przeszłości dzieje tajemnicze,
To jej łagodne i jasne oblicze
Tak uroczystą zalsniło wymową,
Że harde usta wracały z pytaniem
Jakby w tych blaskach, co jej biły z czoła,
Nagle zapłonął lśniący miecz Anioła,
Strzegący groźnie wrót jakiegoś raję,
Z jego kwiatami, szczęściem i wygnaniem.

Więc tylko z oczu głębi tajemniczej,
I z linii głębszych wśród gładkiego czoła,
I z drgnięć subtelnych, których nikt nie liczy,
A oko ducha tylko ująć zdoła,
Z tego, że ludzką dola poruszona,
Z ust słowo nieraz rzuciła wymowne
Mądrością życia — jak perła kosztowne,
Widać zrodzone w boleściach jak ona;
Z ciemnych wskazówek pozbieranych w tłumie,
Z tego, że była dumna i uboga,
Że tak przebacza i wiele rozumie;
Poznałem na niej ślady ręki Boga!
Odgadłem w zmarszczkach tych, błyskawic znamię,
I w toni oczu dojrzałem nie snadnie,

Ciężki głąz wspomnień pochowany na dnie,
I woli nad nim czuwające ramię!
I często myśl ma skrzydłami przypięta,
Do tych wskazówek nici tajemniczej,
Zdzierała tkanę zastony dziewiczej,
Za którą arka jej wspomnień — nietknięta;
I malowała mi ją przed tem wniściami,
Które dantejski napis krwawo znaczy,
Jak białą brzozę trzęsającą liściami,
W płonącym lesie klęski i rozpaczki;
A potem, na skier i dymów kolumnie,
Choć z piorunową rysą aż do rdzeni,
Jak nowym liściem głowy ludzkie cieni,
I ranę swoją pod nim chroni dumnie.

Ale nie taką cierpiącą i ciemną,
Nie w srogim boju z zagubą i klęską,
Lecz prostą, jasną, cichą i zwyciężką
Staje, i zawsze stawała przedemną.

Pod obcym dachem i dla obcych ludzi,
Z którymi węzeł łączy ją daleki,
Od lat już długich troska się i trzodzi,
Jak Anioł ciszy, jak Anioł opieki;
Nad ich dostatkiem, u wezgłowi dzieci,
Balsamem na ich boleści i waśni,
Czynem i radą ponad nimi świeci,
Jak dobroczynna owa wróżka z baśni.
Lecz jak wschodzące codzień rano zorze,

Wreszcie jak świata obojętne oku,
Tak i w tych ludziach to zjawisko boże,
Już ni wdzięczności budzi ni uroku.
Przywykli do niej, jak do blasków słońca,
Serce ich dla niej nałogiem zakrzepło,
Już ani czują, że światło i ciepło,
Rozlewa na nich ta gwiazda milcząca!
I tylko czasem, gdy śród nocnej ciszy,
Przy płaczącego dzieciątka kolebce
Matka głos dobrze znajomy usłyszy,
Który makowe słówka dziecku szepce,
Lub kiedy ojciec smętną myślą zdjęty,
Podniósłszy głowę, nagle wzrok jej spotka:
Obojga duszę krzepi ufność słodka,
I uczczą w sercu czar ten niepojęty!

Tak żyje cicha bohaterka pieśni!...
— Nigdyż w niej żadne burze nie zawichrzą? —
Któż zgadnie wewnętrzne płomienie i dreszcze,
Widma wstające zpod grobowej pleśni,
I walki, które w niej budzą się jeszcze,
Z tą samolubstwa potworą najlichszą?!
Snać jednak zawsze ma miłość zwycięstwo,
Bo twarz jej czyni cichszą, coraz cichszą...
Skarby jej duszy nie poszły na marne,
Bo zamiast życie to przeczołgać nisko,
Pracę i Miłość, — Wytrwanie i Męstwo,
Kornie rzuciła na obce ognisko.
Więc choć się w głębi burzą fale czarne,

WŁADYSŁAW ORDON.

Już tej opoki niezdolne wyźłobić:
Rękom jej lekko i sercu jej błogol...
Bo mniejsza kogo, byle kochać kogo,
Dla kogo robić, byleby odrobić!

* * *

O jakże często o szarej godzinie,
Gdy orszak czarnych myśli mię otoczy,
Gdy skra zapału w sercu mojem ginie,
Znużenie z duszy wygląda przez oczy;
Gdy wola ręce opuści, — rozbita
Tajną ofiarą i niepłatną pracą,
A ciało ducha szyderczo się pyta:
— O! robotniku, dla kogo? — i za co?...
Nagle... z wieczora gęstniejących cieni,
Jej cicha postać do mnie się wynurza,
I niebo moje dotknięciem rozchmurza,
I zawstydzieniem czoło mi rumieni.

NIE WESOŁE WESELE.

Wielkim głosem organy
Pieją «Veni Creator» —
Suną Panie i Pany,
Bo się żeni senator.

A senator nie lada:
Blizko milion posiada...
Więc choć stary i siwy,
Bierze młodą: — nie dziwy!

Stoją świece jarzące,
Wielki ołtarz jak słońce,
Jeno małe ołtarze,
Przyglądają się parze
Mrocznem okiem... Na ścianie
Święte Pany i Panie,
Kłonią palmy złoczone,
To na męża, to żonę.

Dłoń kapłana opadła,
Panna młoda pobladła,
Białe zębki zacięła,
Lecz pierścioneek przyjęła,
A w pierścionku djamenty...
Obrzęd skończył się święty.
Znów huknęły organy,
Orszak wyszedł dobrany.

Świece zgasły jarzące,
Stroje znikły błyszczące,
Tylko mroczne ołtarze
Patrzą młodej w ślad parze.
Ciemno. Tylko coś w ranie
U Chrystusa na ścianie

WŁADYSŁAW ORDON.

Krew na nowo się broczy;
Jam nie widział na oczy,
Jeno dziad mi powiedział,
Co pod ścianą tam siedział.

O zachodzie, na wiosnę,
Słysząc hymny żałosne,
Wóz posuwa się dumnie,
Na nim trumna; na trumnie
Ałasowe opony,
I bukiet zielony,
Co przez cuda niebieskie
Z piersi — zeszedł na deskę.

Po za trumną senator,
Za nim orszak się bieli;
Katakumba, stanęli,
I wystąpił orator.

Cudnie mówił, bo cudnie!
Warto spisać na kartę:
Że jak słońce w południe
Zgasła, chmurą pożarte...
O! tak, słońce cnotami
Promieniście świeciła,
Chociaż w szczęściu, ze łzami
Niebiosom się modliła!
Od miłości gorącej —
Ku niebiosom, — wciąż schnęła,

WŁADYSŁAW ORDON.

Jako kwiatek więdnący,
Aż dłoń Boża ją wzięła
W górne strony!

Mówili

Ze mąż zemdlął strapiony.
Ba! żal było mu żony.
Ktoś padł jęcząc w uboczy,
Dama spazmów dostała...
Jam nie widział na oczy,
Jeno bukiet mirtowy,
Com wziął zmarłej od głowy,
Gdy zapadła noc głucha,
Szeptał mi to do ucha!

KABALARKA.

—

— Babciu! proszę, weź karty!

— A na co?

— Wróżb wyrzucisz mi miarkę po miarce.

— Moje dziecko, za kabałę płacą,

A cóż możesz ty dać kabalarce?

— Co chcesz babciu: może mleka dzbanek,

Które jutro da mi krówka siwa;

Kwiatów polnych przyniosę ci wianek,

Długą nitkę własnego przędzywa,

To już babciu, jak karty wywróżą,

Jakie będą słowa twej kabały;

Dobre, — darów dam ci dużo, dużo,

Złe, — przyniosę podarunek mały.

A jeżeli coś bardzo miłego

Ty mi powiesz, wróżbiarko, to może

Może dam ci...

— Mów, mów, co takiego?

Ja ci zaraz kabałę położę.

— Ty wiesz babciu, że Janek mój wczora
Słodkie słówko poszepnął mi skrycie;
Dzisiejszego znów przyjdzie wieczora,
Jeno gwiazdki błysną na błękicie.

Ty wiesz babciu, że on mi jest miły
Jak to słonko, co patrzy z obłoku;
Słowa jego piosnką mi dzwoniły,
Jaką śpiewa srebrny nurt potoku.

Powiedz babciu, kiedy przyjdą swaty
I rodzicom się do nóg pokłonią?

Kiedy przejdę próg Jankowej chaty,
Dni weselnych upojona wonią?

Kocham Janka tak mocno, tak szczerze,
Że gdy o nim nic z kart się nie dowiem,
To kabale twojej nie uwierzę,
Żle o tobie całej wiosce powiem.

— Stój dziewczyno! Ty jedną znasz drogę,

Dla mnie przyszłość odkryta jest cała;

Ja ci tylko to powiedzieć mogę,

Co mi moja rozkaże kabala.

Może szepnie o twoim kochanku,

Może o nim zapomnisz dziś jeszcze...

— Ja zapomnę?... o Janku, o Janku!

Na myśl samą chłód czuję i dreszcze.

— Nie wiem, może...

— Więc kładnij kabałę!

Jeśli prawdę mówią karty twoje,

To zobaczysz moje serce całe,

Że przy Janku tylko myśli mojej!

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

Gdy wróżb słówko mile mię połączce,
Dam ci sznurek korali czerwony...
— A gdy inny gość i z innej strony?
— To kabały twojej nie chcę, nie chcę!
— Ha, spróbuję; czerwone korale
Może w mojej znajdą się torebce...
— Dam, babuniu, gdy wróżba w kabale
Coś mi bardzo miłego wyszepce;
Gdy uczuję, że serce mi rośnie,
Że to staje się duszy pragnieniem,
Gdy zamarzę, jak ptaszę o wiosnie,
Twych słów babciu, słuchając ze drzeniem.
— Dasz korale?

— Dam babciu!

— Te duże,

Które tatuś ci przywiózł z jarmarku?
— Tak, co błyszczą jak pąsowe róże,
Te korale przyniosę w podarku.
Tylko wróżba niech sercem poruszy,
O kochaniu niech powie niekłamnie;
Niech jej słowa zapadną do duszy,
Jak pieśń Janka, którą śpiewał dla mnie.
— Trzymam karty: więc?

— Dam ci!

— Rzuconel

Już danego nie cofnąć ci słowa.
Słuchaj pilnie, kabata gotowa,
Może będą korale czerwone.
— Mów, ja czekam...

— Ho, ho, coś się splata!

Pędzą konie przed ojcowy ganek.

— To mój Janek, babuniu, mój Janek!

Jak mi serce okropnie kołata!

— Gonia, gonia wyraźnie w tę stronę,

Zda się słyszę fornala okrzyki;

Mkną siwosze...

— Nie, koniki wrone,

Bo mój Janek ma wrone koniki.

— Co ja widzę? karoca!...

— Majaczysz!

Chyba kuty wóz tylko?

— W niej panek...

— Jak wygląda?

— Czarniawy.

— To Janek!

To mój Janek leci w cwał, zobaczysz!

— Dziwy, dziwy... Na progu twej chaty,

Ot niedługo cię gość ten powita;

Pan nie młody, lecz bardzo bogaty,

I o rękę i o serce spyta.

— Pleciesz babciu!

— O wiem ja że Janek

Wpadł ci w oczko i kochasz go szczerze;

Z kwitkiem pójdzie ten dawny kochanek,

Pan bogaty twe serce zabierze.

— Pan bogaty? Ech! nieładnie kłamać

I pustemi uwodzić mię słowy;

Mnie serdecznej przysięgi nie złamać,

Tybyś wzięła sznurek koralowy.
Dotąd jeszcze czuję serca drżenie,
Gdy mnie Janek żegnał pieścotami;
Zmień tę wróżbę, zmień zaraz!

— Nie zmienię!

— Więc się żegnaj, babciu z koralami!
— Co ci dziewczę po Janka kochaniu?
Na dziś dobre, nie na życie całe!
To jutrzienka co błyska w zaraniu,
A ten drugi, to słońce wspaniałe.
Olśni ciebie swych bogactw przepychem,
Brylantami osypie dokoła,
I zapomnisz o marzeniu cichem,
Jak o echu, które w lesie woła.
Gwiazdy w niebie raz trzeci zapłoną,
W polu Janka odezwie się kosa,
Ty odjedziesz karocą złoconą.
Biegą prędko pędzone siwosze,
Skrzypiąc, brama otwiera się duża:
Wielki pałac, w pałacu rozkosze,
Wszędzie kwiaty, woń zmysły odurza.
Złoto, złoto i jedwabne stroje,
Jak królewna ty wejdiesz na salę;
Duży pałac, złociste pokoje,
Janka niema... Nie moje korale! —

Zdjęła karty. Dziewczyna nic nie wie,
Piersią dysze jak morze faliste;
Może słucha, czy w wiatru powiewie

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

Nie brzmi turkot karety złocistej?
Może marząc o przeszłym wieczorze,
Gra jej w sercu Janka piosnka rzewna?
Piersią dysze jak faliste morze,
Patrzy w karty strwożona, niepewna.
Widać, że się coś w sercu jej waży,
Że ją senne marzenie kołysze;
Ogień w oczach, rumieniec na twarzy,
Jak faliste morze pierś jej dysze...

* * *

Nie wiem, była tam prawda w kabale,
Czy się z wiatrem stepowym rozwiąta?
Wiem, że wróżka dostała korale,
Lecz się śmiała, aż do łez się śmiała!

MARYAN GAWALEWICZ.

CHICHOTKA.

—

Uśmiech z ustek jej nie złata,
Zębki suszy do każdego,
Śmieje się, choć nie wie czego,
Wdzięczy do całego świata.

O! chichotka!.. Tak ci w oczy,
Spojrzy lubo i figlarnie,
Ze cię jakiś czar ogarnie,
Serce omal nie wyskoczy.

I nie pojdziesz jak się stało,
Ześ się rozśmiał z nią serdecznie,
Bo figlarce niebezpiecznie
Spojrzeń w oczki nazbyt śmiało.

Skoro jeszcze śmiać się umie
Z duszy całej, niech się śmieje;

MARYAN GAWALEWICZ.

Kiedyś łzami uśmiech zleje,
I zachmurzy się w zadumie.

Zmienna kolej z woli nieba,
Raz radośnie, to znów łzawo,
Bo to takie w życiu prawo,
Że śmiech łzami spłacać trzeba.

Więc się jeszcze śmieję wesoło,
Pókiś młoda i figlarna,
Zanim życie chmurę czarną
Na pogodne rzuci czoło...

NIE KOCHA!

Za motylami biegała
 Calutki dzień;
Każda różyczka ją znała,
Każda ją mile witała,
 Wonią swych tchnieł.

Drzewa szumiały radośniej,
 Gdy weszła w gaj;
Ptaszę nuciło miłośniej,
Echa wtórzyły mu głośniej,
 Istny był raj.

I wszędzie w koło dziewczyny,
Tajemny gwar
Wznosiły kwiaty, krzewiny,
Jakby jej ustek maliny,
Rzucały czar.

Aż raz zerwała malutki
Wyroczeni kwiat;
— «Nie kocha!» rzekł liść stokrotki
I zasiał w sercu jej smutki.
Zachmurzył świat...

Odtąd, po gaju już rzadko
Biegała w dzień;
Umknęło motyli stadko,
A między kwiatów gromadką,
Snuł się jej cień.

Kiedy wśród smutnej zadumy,
Schylała skroń:
Listki głuszyły swe szumy,
A kwiatów tęczowe tłumy,
Wstrzymały woń.

I milkły ptaszęta śpiewne,
Gdy weszła w gaj,
Wciąż powtarzając jej rzewne:
«Nie kocha! och, nie, zapewne»...
Rozwiął się raj!



MARYAN GAWALEWICZ:

A patrząc na takie skutki,
Tej wróżby złej:
Powiędły wszystkie stokrówki,
Dzieląc królowy swej smutki
I troskę jej!..

JAN KASPROWICZ.

CHŁOPSKA DOLA.

=

Ona usnęła... Dziś słońce tak piekło,
Że wszystkie trawy pomiędzy ścierniskiem,
Nawpół powiędły i kurzem powlekłą
Skośń swoją, kryły przed słonecznym błyskiem.
Wiązaniem żyta zajęci zniwiarze,
Poszli wypocząć wśród cieni mędeli,
I ogorzałe przysłonili twarze,
Weseli,
Gdy siły praca nadmierna im wzięła,
Że choć w południe odetchną na chwilę:
Ona usnęła.

Mąż ukochany spoczywa w mogile
Drugie już żniwo, — a od syna dzieli
Ziemi ją tyle, ach! i wody tyle,
Że okiem ludzkim nie zmierzysz topieli.
Kto wie, czy wróci? czy zamknie jej oczy?
Wczoraj mu talar posłała ostatni:

JAN KASPROWICZ.

Dziś i za morzem przybysze roboczy
Nie płatni...
Pot jej wystąpił i boleść ją zdjęła,
Rzuciła wiązkę i siadła pod snopkiem
I tak usnęła.

Ciężka to dola zawisła nad chłopkiem,
Ciężka nad wdową, gdy jej nikt nie bratni;
Krwawym z dnia na dzień żywić się zarobkiem
I tak wciąż dyszeć — jak ryba wśród matni!
Dawniej to jeszcze kawał własnej schedy
I kęs własnego posiadała chleba,
Lecz pogrzeb męża... toć przecie choć z biedy,
Grześć trzeba.
Dusza by nigdy bez światec nie spoczęła,
Bez pokropienia i bez pieśni świętej...
Ona usnęła.

O! Chryste Panie! o ty niepojęty!
Który przychyłasz dzieciom swoim nieba;
Tu ciężkie snopy, a tam łan pocięty
Leży pokosem, bogactw pełna gleba,
A jednak ludzie jak bedłki padają,
Głodem zmęczeni... Ty jednych, o Boże,
Stroisz w korale, a drudzy dźwigają
Obroże.
Jednym to dajesz, co drugim ujęła,
Ojcze, Twa ręka... Lecz któż Cię odgadnie?
Ona usnęła...

JAN KASPROWICZ.

Została chata... Bóg wie jak wypadnie,
Jakie biednemu gotuje się łoże?
Świat w obec biednych postępuje zdradnie;
Już może jutro, lub jeszcze dziś może
Przyjdą z urzędu i na drzwiach chałupy
Za czynsz, przylepią znaczki urzędowe
I nie zostawią ani śmieci kupy,
By głowę
Skłonić stroskaną... W łódź się myśl jej ścięła
Na smutne jutro, na jutro lodowe...
Lecz dziś — usnęła.

CZEM JESTEŚ DLA MNIE?

Czem jesteś dla mnie?... Tem światłem gorącym,
Siłą, co z ziemi wydobywa zioła,
Zlewa je wonią, stroi barw tysiącem,
Co sieje życie i radość dokoła.

Czem jesteś dla mnie?... Myślą i tem rwącym
Tchnieniem uczucia, co w prostego zgoła
I ułomnego człeka wnętrzu śpiącym
Budzi niebiańskich haseł apostoła.

Czem jesteś dla mnie?... Zamknij to pytanie
W wielkich tajemnic świętym Alkoranie,
Ty dla mnie pierwsza w pierwszych milionie:

JAN KASPROWICZ.

Wszak aby godnie odpowiedzieć na nie,
Nie starczą widzę, światło, barwy, wonie,
Myśl, ni uczucie — choć tak żywo płonie!

TWE OCZY.

Gdy mię ogarnia zmrok, co dusze człecze
Tak natarczywie aż do ziemi tłoczy,
Spieszą nademną zbawczą spełniać pieczę,
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

I zło uchodząc, po za sobą wlecze
Tabor swych smutków i w nicość się toczy,
Tak je spłoszyły, jak cherubów miecze,
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

I znów oczyszczon i znowu ochoczy
Do tego życia, które mi zmieniły
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

Tulę do piersi ten mój skarb uroczy,
Ach! i całuję, pełen nowej siły,
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

DUSZA KOBIETY.

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska,
Czasem dusza kobiety jest, jak w gór załomie
Pod niedostępnym szczytem i ścianą urwiska,
Woda głębokich jezior, skryta niewidomie.

Przecudowne gry światła na przejrzystej fali,
Noce, gdy gwiazdy schodzą czerpać na dół wodę,
Dni, kiedy się powierzchnia koralami pali,
Burze w czas wichru, cisze przesłodkie w pogodę.

Łabędzie, które lecąc na toni przypadną,
Cień orlich skrzydeł, co się z obłoków odbija,
Mgły, co się na zwierciadłach nieruchome kładną:
Tych cudów tam źrenica nie widzi niczyja.

A ci, co marzą wielkie piękności na ziemi,
Którzyby chcieli o nie piersiami uderzyć
I wchłaniać je w głąb duszy zmysłami wszystkimi:
Nie znajdując ich w życiu — przestają w nie wierzyć.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

W tem ktoś, jakby wewnętrzne przecucie go wiodło,
Odkrywa załam skalny i staje w zachwycie,
I serce, które w piersi miał za próżne godło,
Obudzone zachwytem, nowe czuje życie.

Z piękna albowiem wstaje duch świeży i młody,
Rosnąc, lub straconego żałując ogromu:
Czasem dusza kobiety jest, jak owe wody,
Przecudownej piękności, nieznane nikomu.

NIE MOJA LECZ TWOJA WINA.

Jeżeli miałś duszę piękną i szlachetną,
A jam ci nie uwierzył i wątpiłem o niej;
Jeżeli miałś duszę łagodną i kwietną,
A jam się lękał cierni krwawiących dla dłoni;
Jeżeli w głosie twoim co mi brzmiał tak mile,
Nie chciałem słyszeć prawdy, chociaż prawdę dzwo-
[nił:
Jeżeli możesz — przebacz! Patrz, głowę mą chylę,
I przebaczenia prosząc, przed tobą ję skłonił.

Jeżelim ciebie skrzywdził, w twojej piersi młodej
Widząc serce szydercze, pyszne i obłudne;
Jeżelim miał twą duszę za cień twej urody,
A nie za cudnej rzeźby oświetlenie cudne;

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

Jeżelim cię odtrącał jak przekleństwo nowe,
Gdyś ty może być mogła nowem ducha świętem:
Jeżeli możesz — przebacz! Patrz, pochylam głowę,
I kłaniam się przed tobą z kolaniem ugiętem.

Jeślibym ręce twojej, gdyby uścisk dała
Dziewiczy i tak cichy, jak kwiatu rozwicie,
Nie chciał płacić uściskiem, ani twego ciała
Umiął słyszeć pieśń młodą, utajoną skrycie;
Jeślibym wszędzie widział kłamstwo i mamienie,
Gdzie powinienem prawdę widzieć i zobaczyć:
Jeżeli możesz — przebacz! Widzisz me spojrzenie?
O jedno tylko pyta: czy możesz przebaczyć?

A gdyby to i prawdą choć tak smutną, było,
Jeśli wielka twa piękność jest zgubną przynętą,
To wszakże człowiek staje przed marmuru bryłą,
I bóstwem ją swej włanej duszy czyni świętą.
I ja tak powinienem był stanąć przed tobą,
A jeśli się twa dusza, jak łąka, nie kwietni:
To kwiatów własnej duszy ubrać ją ozdobą,
Byłoby i mnie godniej i dla cię szlachetniej.

Lecz jeśliś nie umiała zgadnąć, lub nie chciała,
Jak pragnąłem tej chwili, by w ciebie uwierzyć,
Jak czekałem, czy w pysznej twej świątyni ciała,
Nie przyjdzie cię bóg jakiś skrzydłami zaśnieżyć;
Jeżeliś mogła odczuć, że przed tobą stałem,
Jak ów znak, czekający cudu, gdy zaklina;

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

Jeślim cię mógł zobaczyć, jednak nie ujrzałem:
Nie mów, że moja wina — to jest twoja wina.

Lecz jeśliś nie widziała, że masz w swoim ręku
Serce ludzkie, jak zmiłkłe muzyczne narzędzie,
Któremu tylko tknięcia potrzeba do dźwięku,
Tylko dłoni, co z niego melodyę dobędzie;
Jeżeliś nie poznała, że jesteś, jak ona
Wróżka, co mając władzę zakłąć — nie zaklina:
Że ani załowana przejdiesz ani śniona,
Nie mów że moja wina — to jest twoja wina!

SZUKAŁEM CIEBIE.

Szukałem ciebie pośród kobiet roju,
Czekałem ciebie o każdej godzinie
I pełen byłem trwóg i niepokoju,
Że zanim przyjdiesz, życie moje minie.
Bo nie wątpiłem, że jesteś, że moje
Oczekiwanie, nie jest czczem złudzeniem,
Że niedaleko gdzieś od ciebie^o stoję,
Z moją tęsknotą, nadzieją, pragnieniem.
Od lat już całych niewidzialnym cieniem
Byłem przy tobie, szukając daremnie
W kobietach ciebie, coś istniała we mnie.
Ciebie szukałem przed dawnymi laty,

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

Gdy głos w noc cichą zabrzmiał mi nad głową,
A mnie się zdało, że się sypią kwiaty,
Że kwiatem na mnie pada każde słowo...
Lata tęskniłem za taką rozmową,
I latam czekał aż się znów powtórzy...
Przyszła, przebrzmiała, jak wędnie kwiat róży
Z kochanej ręki, który barwą bladą
Długo swój dawny szkarłat przypomina,
Z którym się kończy dzień i dzień zaczyna
I z którym wreszcie na sercu w grób kładą.

BAJKA O KASI I KRÓLEWICZU.

I.

Nie miała Kasieńka ojca ani matki,
Ino miała oczy jako dwa bławatki,
Usta jak dwie wiśnie, liczka jak dwie zorze,
I na służbie była Kasia we królewskim dworze.
Oj, Kasiu, Kasienko!

I musiała w zimie od samego rana,
Rąbać kłody drzewa na drobne polana,
I myślała sobie: «Jak zrąbię te kłody,
Kto przy ogniu się ogrzeje? Ten królewicz młody!»
Oj, Kasiu, Kasieńko!

I musiała latem w gorące południe
Iść po jasną wodę z konwiami pod studnię,
I myślała sobie: «Jak naniosę wody,
Któż to w niej się będzie kąpał? Ten królewicz młody!»

LUCYAN RYDEL.

I co noc musiała szorować na czysto,
Szczerozłote schody, podłogę srebrzystą,
I myślała sobie: «Jak wymyję schody,
Kto to po nich będzie chodził? Ten królewicz młody!»
Oj, Kasiu, Kasiu!

Gdy na łowy jechał z dworskimi i psiarnią,
Wychodziła Kasia na strych, nad piekarnią,
Wyglądała za nim dymnikiem od strychu,
Płakać jej się czegoś chciało, po cichu, po cichu...
Oj, Kasiu, Kasiu!

II.

Cóż na to powie pan kucharz,
Iż ty go Kasiu, nie słuchasz?
Posłał cię co żywo,
Do lochu po piwo,
A ty go Kasiu nie słuchasz.

Uszła przez ciemną drewnię,
Bo ją coś gnało okrutnie
W te gaje, dąbrowy,
I w bór ten sosnowy,
Tak ją coś gnało okrutnie!

Czy po stokrocie, po dzwonki
Biegiesz Kasienko, na łaki?



LUCYAN RYDEL.

Oj, dzwonki, stokrocie,
Nie tobie, sierocie,
Nie biegnij Kasiu na łąki!

Czy na poziomki, maliny,
Idziesz do leśnej gęstwiny?
Maliny tam w borze
Nie dla cię, nieboże,
Nie chodź do leśnej gęstwiny.

Co jej tam kwiatki, jagody?
Jeno królewicz ten młody!
W te gaje, dąbrowy,
W bór ciemny, na łowy
Idzie królewicz ten młody.

Jemu korona ze złota,
A tobie, Kasiu, robota,
Nie takiej sierocie
Królewicz we złocie,
Tobie, Kasieńko, robotą!

Dźwigaj ty wodę i drewno,
Jemu się żenić z królewną,
Na nic twa uroda,
I też twoich szkoda!
Żebyś ty była królewną...

III.

Huczą trąby po lesie,
Rozgłos wiatrem się niesie,
Na cztery świata strony.
Jedzie królewicz, jedzie,
Przed panami na przedzie,
A konik pod nim wrony.

Migło mu się przez zieleń,
A on myślał że jeleń:
Śmigła prędko strzała...
Trafił Kasię w pierś lewą,
I upadła pod drzewo,
Krwia się ciepłą zalała.

— «Com ja zrobił! Niech zginę,
Za tę biedną dziewczynę!
Biegajcie w mig dworzany
I przywieźcie ze dwora
Najstarszego doktora,
Bo krew uchodzi z rany!»

— «Szkoda dla mnie doktora,
Jestem Kaśka ze dwora!
Ino tego się boję:
Co pan kucharz mi powie,
Kiedy o tem się dowie...
Dostanę ja za swoje!»



LUCYAN RYDEL.

— «Nie bój ty się nikogo,
Ino powiedz niebogo,
Czy bardzo boli rana?
Takaś blada jak chusta,
Takie sine masz usta,
Kasieńko ty kochana!»

— «Troszkę boli, nic prawie...
Lecz nie kłękaj na trawie
Mój królewiczu młody;
Bo tu pełno krwi świeżej,
A ty w złotej odzieży,
Narobisz sobie szkody».

— «Niech tam odzież ubroczę,
Milsze mi twe warkocze,
Niżli korona złota;
Niech się odzież ubroczy,
Milsze mi są twe oczy,
Niż dech mego żywota.

Za łzy twoje i męki,
Naści pierścień z mej ręki:
Turcy mi go przysłali;
Za krew twoją rumianą
Niechże ci się dostaną
Cztery sznury koralii».

— «Jam nie skarbów łakoma,
Daj się objąć rękoma,
Uczyńże mi tę wolę:
Pókim żywa, nie żałuj,
Ino całuj mnie, całuj,
Królewiczu, sokole!»



STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

NA KRAKOWSKIM ZAMKU WESELE.

(WYJĄTEK Z POEMATU «BOLESŁAW ŚMIAŁY»)

I.

Na krakowskim zamku wesele.
Królów brat i król młody
Biorą żony w kościele
I święcą krzyżem gody;
Hej! królewiczu młody!
Zaliś ty nie zdradzony?
Królów brat chce korony,
Śmierć legowisko ściele;
Na krakowskim zamku wesele.

II.

Paniątko, żonka miła,
Krasami się spłoniła;
Hej! królewiczu młody!
Nasycisz się urody,

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Jak będzie z tobą żyła.
Ty w dziewczynę wpatrzony,
Nie widzisz żeś zdradzony;
Królów brat chce korony;
Śmierć legowisko ściele;
Na krakowskim zamku wesele.

III.

Nie pij ty z tego kruża,
Złego miałeś cześnika;
Królów brat czoło zchmurza,
Po tobie dziwno patrzy,
Rumiany raz, raz bladszy.
Gdzież twoi są druźbowie,
Że nie śpiewają w kole?
Rękę waży przy czole...
Czyni znak umówiony...
Gwar czynią dworzanowie...
Ty, w dziewczynę wpatrzony,
Chcesz by ona wprzód piła;
Nie wiesz, jakoś zdradzony.
Królów brat chce korony,
Śmierć puhary pełniła,
Śmierć legowisko ściele.
Strzeż się synu orlika...
Na krakowskim zamku wesele.



STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

IV.

— «Pij słodki miód, ty miła,
Byś ze mną długo żyła,
Milszaś mi nad korony.
Miłość puhar pełniła,
Już legowisko ściele;
Pamiętasz, jakoś śniła
Na krakowskim zamku wesele?»

V.

Cóż to? jakby lektwarze
Męty były w puharze
I dreszcz mię słodki bierze?
Daj usta, moja miła!
Cóż się pochyliła,
Cóż bladeś na twej twarzy?
Miłość puhar pełniła,
Miłość łożę nam ściele,
Takaś rumienna była,
Jak nam grały organy w kościele.

VI.

Cóż? dreszcz mię zimny bierze,
Męty były w puharze...



STANISŁAW WYSPIAŃSKI

Daj usta, moja miła,
Już nie widzę twój twarzę...
Biel oczy przestoniła,
Daj usta, moja miła!
Złego miałem cześnika,
Męty były w puharze...
Śmierć puhary pełniła,
Śmierć legowisko ściele...
Bądź zdrowa, moja miła!
Oto padam zdradzony...
Królów brat chce korony...
Korona dla mnie była.
Śmierć trucizną poita,
Na krakowskim zamku wesele

.



LEOPOLD STAFF.

O TĘSKNIĄCEJ KRÓLEWNIE.

— O, królu siwobrody,
Twa córka złotowłosa,
Kiedy w zmierzch pada rosa,
Nad ciche chodzi wody.

O, siwobrody królu,
Na czole twojej córy
Cień jakiś spi ponury,
Tęsknoty znak, czy bólu?

Królowo, dobra matko,
Twa córka w oczach ginie...
Przegląda się w głębinie,
Nad kruchą stoi kładką.

*

— Ach, córka nasza miła,
Czeka od lat pielgrzyma,
I biegnie w dal oczyma,
Bo o miłości śniła.

LEOPOLD STAFF.

W dłoni ma złoty dzbanek,
Czerpie u wszystkich studni,
Bo śni, że w skwar południ,
Pić zechce jej kochanek.

Jeszcze nie przyszedł z dali,
A przyjdzie gdzieś z daleka...
Córka kochana czeka...
Pragnienia żar go pali... —

*

— O, dobry królu siwy,
Twa córka w dal pobiegła...
Czy kogo tam spostrzegła?...
Przez kwietne spieszy niwy.

Wędrowiec kroczy drogą,
Królowa przed nim staje
I dzbanek mu podaje,
W oczy mu patrzy z trwogą...

On pije... a królowa
Odbiera dzbanek pusty,
Uśmiecha mu się usta
Zdziwiona i niepewna...

*

LEOPOLD STAFF.

— O, siwobrody królu,
Wieść niosę ci! Bóg z tobą!
Przychodzę w dom z żałobą,
Czeka cię wiele bólu...

Na kwiatach łąki wonnej,
W złocistej swej odzieży,
Królowa martwa leży,
W bledości lic pozgonnej.

Gdy jej całował wargi
Wędrowiec, ona biała
Pobladła i skonała...
Śpi cicho i bez skargi.

Nie ten był, kogo w bólu
Tęsknoty, sen jej chował...
Obcy ją pocałował...
Musiała umrzeć, królu...

O, biegnij, smutna druchno,
Nieś matce pusty dzbanek
I wieniec z macierzanek,
Niech wszystkie śmiechy zgłuchną...

Uderzeje w dzwony rzewne!
Niech zejda się młodzieńce
I wezmą ją na ręce,
By złożyć w grób królową.

ANTONI LANGE.

FRAGMENT.

—

My się nie możemy kochać, jak gołębie!
Dwie nasze dusze są jak dwie otchłanie,
Co wzajem patrzą w swe bezdenne głębie
I nigdy wzrok ich u kresu nie stanie.

Czasem je siła nieznana porywa:
Padamy w cienie jakichś nocy czarnych,
Kędy samotność dumna i straszliwa
Króluje nakształt sił elementarnych.

Czasami płoniem ognistym wybuchem
I pożar — pożar iskrami podsycą,
I duch się jeden zlewa z drugim duchem,
Jak chmura z chmurą, z mgławicą mgławica.

Naraz rzucamy te płomienne loty,
Mrok od otchłani zionął ku otchłani,
Znów samotności czujemy tęsknoty
I idziem gorzcy i rozczarowani.



ANTONI LANGE.

Nie wciąż się równo toczy wielka rzeka,
Opływa lasy i góry i sioła,
I różnie działa jej fala daleka:
Ma w sobie czarta, ma w sobie anioła.

I duchów naszych te głębie otchłanne
Mają w swej jaźni wieczne tajemnice:
Mają swe tęcze i zorze poranne,
I swoje wichry i swe błyskawice.

Czuję te burze, co żałobną tuczą,
Królują w tajniach duszy twojej głębokiej;
Słyszę te wichry, co w sercu twym huczą,
Widzę twe tęcze i widzę twe mroki.

Twój duch jest niby ciemny bór, gdzie sosny
I dęby kwitną pośród iw tysiąca;
Którędy wicher przelata żaloszny
I o zielenie twych drzew się roztrąca.

Jam jest jak równia puszczy rozpalonej,
Której bezpłodne piaski w wir się kłębią,
Po której wicher dmie nieposkromiony,
Chyba nad morską zatrzyma się głębią.

Wichry pustyni i wichry te leśne,
Kiedy się razem zejda w swym poszumie,
Wzajem oddechy swe karmią bezkreśne
I otchłani — otchłani jak siostrę rozumie.



ANTONI LANGE.

Bo czujesz w świętej owej tajemnicy,
Tchnienie świadome samoistnej duszy,
Lot białoskrzydły królewskiej orlicy,
Wicher po leśnej szalejący głuszy.

I miłość nasza zda się nieraz walką
Dwóch potęg ciemnych, dwóch dusz nieśmiertelnych,
I z których każda pragnie być westalką,
I strzeże wiecznie swych zniczów udzielných.

Aż oba wichry i otchłania obie,
W dzień uroczysty przez pragnienie jedno
Dążąc ku sobie, zlewają się w sobie
I w niebo płyną drogą snu bezwiedną.

Kocham cię za to, że jesteś otchłanią,
Kocham cię za to, że jesteś orlicą,
I że się wichry w duszy twej orkanią,
I żeś jest chmurą i żeś jest mgławicą.



ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

STAROWINA.



Szumi wicher listopada,
Dzień się mroczy, mżyć poczyna.
Sunie drogą starowina,
Bardzo słaba, badzo blada.

Wpół zgarbiona wiekiem, losem,
Już dzień trzeci sunie drogą,
A jeżeli mija kogo,
Zapytuje drżącym głosem:

— «Jak tu iść do huty wielkiej,
Tam gdzie stoi piec ziejący,
Gdzie z żelaza grube belki,
Ciągnie naród pracujący?» —

A przechodzień wznosi rękę
W stronę, gdzie się jasność pali;
— «Bóg że zapłać!» — na podziękę
Szepnie stara, idzie dalej.

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

Tak do huty doszła wielkiej,
Tam gdzie naród dniem i nocą
Z niespożytą ducha mocą,
Żyje w ogniu, ciągnie belki.

Niebo dymem się powlekło,
W głębi hale rzędem świecą,
Grzmia kowadła, tłumy lecą,
Istne piekło... istne piekło...

Starowina drżąca ręką
Do okienka w bramie puka.
Chwilę puka, chwilę stuka,
I rozwarło się okienko.

— «Czy to tutaj panie drogi,
Syn mój leży, co to jemu
Przy robocie, tydzień temu,
Połamało ręce, nogi?» —

Przez okienko słychać zdala:
— «Takich matko dzisiaj pono,
Trzech już od nas wywieziono...
Idźcie pytać do szpitala.» —

Popłakując, postępując,
Starowina dalej kroczy;
Przed nią wielki gmach się mroczy...
Znów do okna puka, stuka.



ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

— «Puście ludzi! Syn mój drogi,
Mój jedynak tutaj leży,
Matkę puście! Trzy dni bieży...
Syn połamał ręce, nogi!» —

U wilgotnej zebrząc ściany,
Płacze, chyli się, przyklęka.
Słychać z góry u okienka
W odpowiedzi głos zaspany:

— «Takich wielu tutaj był!
Co im długo żyć w męczarni?
Przed godziną trzech skończyło,
Idźcie matko do trupiarni!» —

Okno z trzaskiem się zawiera, .
Wicher zawył, coraz mroczniej...
Ciszej stara, ciszej... spocznij...
Resztką ducha w tobie zmiera!

Szukasz syna?... Patrz do góry:
Z mgieł wystrzelił blask księżycy;
Patrz, tam jakaś nawałnica
Korowodem pędzi chmury.

Coraz jaśniej księżyc świeci;
Jakieś cienie na chmur fali;
Jakaś postać wśród nich leci,
Coraz wyżej... coraz dalej...

JERZY ŻUŁAWSKI.

PRZEZ CMENTARZ.

—

O dziewczyno! czy pamiętasz,
Pamiętasz?
Noc majową, cichy cmentarz,
Ten cmentarz?
Stare krzyże, bzy pachnące,
Pachnące,
I te gwiazdy w górze lśniące,
Tak lśniące?

Jam cię pytał, czy mię kochasz,
Czy kochasz?
Pojrzę na cię, a ty szlochasz,
Ty szlochasz...
Powiedz, czemu łzy ci płyną,
Łzy płyną?
Czy ja winien? ja? dziewczyno,
Dziewczyno!

JERZY ŻUŁAWSKI.

— O! ty winieni! Ja cię kocham,
Ja kocham...
I ze szczęścia teraz szlocham,
Ach, szlocham!...
Jam całował twoje oczy,
Twe oczy,
Czoło, usta, splot warkoczy,
Warkoczy...

Dzisiaj idę znów przez cmentarz.
Przez cmentarz;
W myślach pytam: czy pamiętasz?
Pamiętasz?...
Myślę, dumam, czy mi cieką,
Czy cieką:
Jam samotny — ty daleko,
Daleko!...

ZDZISŁAW DĘBICKI.

MÓW DO MNIE.

—

Mów do mnie jeszcze, mów!
Po długich dniach tęsknoty
Tak pragnę twej pieśczoły,
Tak pragnę twoich słów!

Mów do mnie jeszcze, mów!
Bo każde twoje słowo
Rozmarza mię na nowo
Wspomnieniem dawnych snów...

Mów do mnie jeszcze, mów!
Na czoło, które płonie,
Połóż mi swoje dłonie,
Niech wiem, żeś moja znów.

Mów do mnie jeszcze, mów!

FIOŁKAMI CI DROGĘ UŚCIEŁĘ.

Fiołkami ci drogę uścielę,
Kwiaty rzucę, pod stopy, pachnące,
Wonne lasów i pól naszych ziele
I storczyki, co rosną na łące.

Fiołkami ci drogę uścielę,
Że nie dotknie się stopa twa ziemi;
I powiodę cię biały aniele,
I powiodę szlakami jasnemi.

W marzeń cichych klękniemy kościele,
Gdzieś daleko od ludzi i świata:
Mój ty biały, serdeczny aniele,
Moja duszo ty jasna, skrzydlata!

ROMANS KSIĘCIA PEPI.

—

Na lazurach już pełnia lśni biała,
W Wiśle słońko zanurza się złote,
Cichy wieczór na miasto opada,
Siejąc smutek, zadumę, tęsknotę.
Zagadały wiślane topiele,
Fala płowa coś szumi, coś płacze,
I zmierzch srebrny tumanem się ścięle,
Na wybrzeża, na domki rybacze.

Błyśło światło przez chaty okienka,
Do wieczery zasiada rodzina;
We drzwiach jasna mignęła sukienka,
I wybiegła rybacka dziewczyna;
Tam na Wiśle pluskają gdzieś wiosła,
Tam flisaków brzmi piosnka daleka;
Ona rękę do oczu podniosła
I w dal patrzy, i tęskni, i czeka.



OR-OT. ARTUR OPPMAN.

Zatętniały kopyta na piasku,
Głos ich fala stłumiła wnet szumna,
I w miesięcznym wyłania się blasku,
Jakaś postać młodzieńcza i dumna.
Drży i płonie dziewczyna pierzchliwa,
Modre oczy rzesami otula ---
I rybaczkę już w uścisk porywa,
Ulubieniec Warszawy i Króla.

I śni dwoje nad brzegiem topieli,
Takich pełnych młodości i krasy,
Na niej skromna sukienka się bieli,
Jego stroją jedwabie, atłasy.
Jednakowym ich oczy lśnią błyskiem,
Od jednakich ich serca drżą tonów,
I miłosnym się spleli uściskiem,
Kwiat Powiśla i słońce salonów.

Dziewczę mówi: — «Nie chadzać mi w złocie,
Polne kwiatki mię jeno stroiły;
Gdzież się równać z paniami sierocie?
Gdzie bławatkom do słońka, o miły!
Tyle pięknych po zamkach i dworach,
Ach! tak pięknych, jak gwiazdy na niebie...
I zapomnisz o słodkich wieczorach!...
I zaborą, zaborą mi ciebie!» —

Na to książę: — «W więzieniach ze złota,
O! nie dla mnie, nie dla mnie tam życie!

Moją duszę porywa tęsknota,
W nieskończonym ją kąpiąc błękiecie!
Co mi dworskie assamble i bale!
Jak cień, nuda się za mną tam snuje...
Jam szczęśliwy, gdy warg twych korale,
Gdy twe oczy całuję... całuję!...»

Cicho fala się skarży i żali,
Cicho szumi tatarak nadwodny,
Pochyliły się drzewa w oddali,
I przyleciał z za rzeki wiatr chłodny;
Księżyc pasma srebrzyste rozpina,
I śmieje się i czuwa na straży;
Czegoś płacze rybacka dziewczyna,
Książę Pepi coś дума... coś marzy...

Czy go anioł potracił skrzydłami,
I dalekie pokazał widziadła?
Czy ta przyszłość, co jeszcze za mgłami,
Gdyby kamień, na duszę mu padła?
Czy Elstera błysnęła mu sina,
Że ła w oku, a uśmiech na twarzy?
Czegoś płacze rybacka dziewczyna,
Książę Pepi coś дума... coś marzy...



WŁADYSŁAW BEŁZA.

PIOSENKA.

—

Wlazł kotek, na płotek i mruga,
Piękna to piosenka, niedługa!

Nad srebrnem ruczajem u wzgórza,
Gdzie brzoza pochyla się biała:
Zosienka tak piękna jak róża,
Na chłopca za płotkiem mrugała.
Niby to szukała stokrotek,
Gdzie modra przewija się struga,
Lecz oczka jej biegły za płotek:
Wlazł kotek, na płotek i mruga!

A chłopiec, a miły, a hoży,
Wzrok jego do głębi przenika;
Na licu mu igra brzask zorzy,
I patrzy i kręci wąsika.
Na rozkaz tak ślicznych szczebiotek,
Z nas każdy powolny jak sługa;

WŁADYSŁAW BĘŁZA.

Więc chłopiec przesadza opłotek:
Wlazł kotek, na płotek i mruga!

Już przy niej, już gwarzy i ściska;
Ej! z chłopca to istna pokusa:
„Daj pokój! bo patrzą ludziska,
Daj pokój!“... Ba, ukradł całusa!
To cały kot z niego nie kotek,
Lecz ze mną rozprawa nie długa:
A ruszaj że sobie za płotek!...
Wlazł kotek, na płotek i mruga!

I poszedł skąd przyszedł chłopczyzna...
A czemu kradł całus jak złodziej?
Ba! ale figlarna dziewczyna,
Jak dawniej na wzgórzu przychodzi...
I niby to szuka stokrotek,
Gdzie srebrna przewija się struga,
Lecz oczka jej biegną za płotek:
Wlazł kotek, na płotek i mruga!

PRZY KAGANKU.

Już dawno trzecie kury odpiały,
Na dworze mroźno i słońco;
W lampce, migocąc ogarek mały,
Oświetla izbę wilgotną.



WŁADYSŁAW BEŁZA.

Mroczno, — cień długie rzuca załomy,
Na ścianach woda ocieka;
W kącie przetartej leży pęk słomy...
Ach! to mieszkanie człowieka.

Pod oknem postać jakaś schylona
Nad płótnem, blada jak płótno;
Piosnka poczęta na ustach kona,
Straszno, boleśnie i smutno...

W skostniałych palcach igła migota,
Źle patrzeć przez oczy łzawe:
Więc też powoli idzie robota,
A dni tak ciężkie i krwawe!

O! prędzej, prędzej! nitka się płacze,
A tu tak strasznie z tą nędzą!
Jeśli do jutra sukni nieskończę,
To mnie z tej izby wypędzą!

Lecz cóż mi jęki, cóż mi płacz pomoże?
Z oczami trzeba z ostrożna.
Robota pilna, nawet mój Boże!
Popłakać nad nią nie można.

Snu ledwie parę godzin zostaje,
Do pracy budź się o świcie...
Aż serce pęka — aż pierś się kraje,
Takież, mój Boże, to życie!

WŁADYSŁAW BELZA.

I znowu szyje pilna dziewczyna,
Jeno się miga robota;
I znowu jedna mija godzina,
Jutrenka wschodzi już złota.

Jeszcze ścieg jeden... ręki dołożę...
Głowa na chwilę choć zaśnie...
Jeszcze ścieg jeden! — A w tem, o Boże!
Ogarek u lampki gaśnie.

Jęknęła biedna... chce wstrzymać ręką,
Tchu w piersiach jednak nie stało!
.....
Słońce ciekawie patrzy w okienko,
Ale już dziewczę nie wstało.

DO POLEK
MODLĄCYCH SIĘ PO FRANCUSKU.

Wy się z francuskiej modlicie księgi,
Bogu dewocją kłamiąc jałową,
O! bo nie znacie owej potęgi,
Którą w ojczyste Bóg zaklął słowo.

Wy się modlicie mową salonów,
Co się wśród zimnych zszargała ludzi,

